

# E.F. BENSON

JAK ZDOBYĆ KOCHANKA I NIE ZDRADZIĆ MĘŻA?  
NIESTRUDŻONA LUCIA I NA TO ZNAJDZIE SPOŚÓB.

## Podbój Londynu

TA WSPANIAŁA KSIĄŻKA  
CZYTA SIĘ JEDNYM TĘCZEM.



# Benson Edward Frederic

*Mapp & Lucia 03*

## Podbój Londynu

Anglia na początku XX wieku.

Mieszkając w niewielkiej miejscowości można prowadzić ciekawe życie intelektualne i towarzyskie, nie dbając o wielkomiejskie rozrywki i uciechy.

Oczywiście nie sposób żyć modnie, nie mając kochanka. Ale jak zdobyć kochanka i nie zdradzić męża? Niestrudzona Lucia i na to znajdzie sposób.

Jak Luci udaje się podbić Londyn, pozostać sobą i triumfalnie powrócić do domu, dowiedzą się Państwo z tej książki, przenoszącej nas w czasy, gdy samotni kawalerowie w zapale oddawali się robótkom ręcznym, a gramofon uchodził za "bolszewicki wynalazek".

Zważywszy na to, że ciotka Filipa Lucasa, która zmarła na początku kwietnia, miała nie mniej niż osiemdziesiąt trzy lata i spędziła ostatnie siedem przykuta do łóżka w prywatnym domu wariatów, panowało ogólne i prawdopodobnie rozsądne przekonanie wśród przyjaciół jego i jego żony, iż ta śmierć nie będzie dla żadnego z nich tragedią nie do zniesienia. Zaiste pani Quantock wysłała do pani Lucas całkiem zgrabny liścik z kondolencjami i choć nie posłużyła się wręcz sformułowaniem „na szczęście”, z pewnością udało się jej to w bliższym lub dalszym znaczeniu zaimplikować.

Pani Quantock liczyła na odpowiedź, mimo iż napisała w liściku, że niech drogiej Luci nie śni się odpowiadać, był to jednak tylko ozdobnik, więc kazała swojej służącej, którą posłała do domu Przy Zagajniku natychmiast po obiedzie z listem, powiedzieć, że nic nie wie o odpowiedzi i że poczeka i zobaczy; bo może przecież pani Lucas poczyni choć najmniejszą aluzyjkę o tym, czego się spodziewa i co powodowało, że wszyscy umierali z ciekawości... Oczekując, Daisy Quantock zajęła się - jak wszyscy mieszkańcy osady w to piękne, wiosenne popołudnie - swoim ogrodem, sie-

kąc niewielkimi, lecz niszczyielskimi grabkami po klombach. Była ogrodniczką z rodzaju bezwzględnych i rzucała się na każde zielone ździebełko, na tyle nieostrożne, by nieśmiało wyjrzeć nad powierzchnię ziemi, podejrzewając, że jest to chwast. Zaistniała pewna różnica zdań pomiędzy nią a ogrodnikiem, który przychodził na popołudnie trzy razy w tygodniu, wskutek czego obwieściła mu rezygnację z jego usług. Tego roku zamierzała sama się zająć pracą w ogrodzie i wierzyła, iż wynikiem tego będzie gęstwina pięknych kwiatów oraz sterty pysznych jarzyn. Przy końcu ogrodowej ścieżki stały taczki z obornikiem, z którym miała przekopać swe przetrzebione klomby, jak tylko skończy rzeź niewiniątek. Po drugiej stronie płotu sąsiad Juruś Pillson walcował trawnik, na którym latem grywał w krokieta. Od czasu do czasu wymieniali między sobą głośnie uwagi. W miarę postępowania zadyszki, u obydwójga uwagi stawały się coraz rzadsze. Ostatnim pytaniem pani Quantock było: „Jurusiu, co robić ze ślimakami?” Na co Juruś wysapał: „Udaj, że ich nie widzisz”.

Pani Quantock ostatnio przytyła nieco dzięki diecie składającej się z kwaśnego mleka, które trzeba było obficie posłodzić, aby było jadalne; jednakże kwaśne mleko i piramidy surowych warzyw absolutnie zlikwidowały wszystkie symptomy suchot, spowodowanych lekturą krótkiego, aczkolwiek obrazowego podręcznika medycyny. Dziś pani Quantock zjadła duży, lecz normalny obiad, chcąc sprawdzić umiejętności nowej kucharki i rzeczywiście kucharka okazała się świetna, ponieważ małżonek pochłonił swoją porcję, a nie przewracał jedzenia widelcem po talerzu jakby to było siano. W konsekwencji nadwagi, przejedzenia i częstego schylania się pani Quantock zaczęło się kręcić w głowie, więc wyprostowała się, by otrzeźwieć, zastanawiając się, czy zawrót głowy był symptomem nagłej choroby. W tejże chwili de Vere, tak bowiem nieprawdopodobne nazwisko nosiła jej służąca, zeszła po schodkach prowadzących z jadalni, trzymając w dłoni list. Pani Quantock prędko zdjęła rękawice ogrodnicze z grubej skóry i otworzyła go.

Znalazła tam oficjalną formułkę podziękowania za wyrazy współczucia, które pani Lucas ogromnie ceniła, po czym nastąpiły takie głupie słowa:

*Wielki to cios dla mojego biednego Pepina i dla mnie samej. Ufaliśmy, że ciocia Amy pożyje z nami jeszcze kilka lat. Jak zawsze, droga Daisy, twoja zasmucona  
Lucia*

Ani słowa o oczekiwaniach!... Droga Daisy zgmiotła absurdalny list i oznajmiła - bzdura! - tak głośno, że Juruś Pillson z sąsiedniego ogródka pomyślał, że to do niego.

- Co mówisz? - zapytał.

- Juruś, podejdź na minutkę do płotu - zawołała pani Quantock. - Chcę z tobą pomówić. Juruś, spragniony ploteczek, puścił drążek walca, który nagle zwolniony głośno skrzypnął i zgrabnie uderzył go w łokieć.

- Paskudztwo! - zasyczał Juruś.

Podszedł do płotu. Był wysokim mężczyzną, mógł więc spojrzeć ponad sztachetami. Ujrzał panią Quantock, która ze złością wtykała list od Luci w pielony klomb.

- O co chodzi? - zapytał Juruś. - Czy będzie mi się to podobać? Jego twarz, czerwona i wilgotna z wysiłku, widoczna tuż nad

płotem, przypominała słońce zachodzące za szarym, płaskim, morskim horyzontem. - Nie wiem, czy ci się to spodoba - odparła Daisy. - Chodzi o twoją Lucię. Posłałam jej liścik z kondolencjami z powodu śmierci ciotki, a ona twierdzi, że to był straszny cios dla Pepina i dla niej. Mieli nadzieję, że staruszka pożyje jeszcze kilka lat.

- Nie! - Juruś otarł z wilgoci czoło wierzchem jednej ze swych ślicznych perłowoszarzych rękawiczek.

- A owszem - powiedziała rozsierdzona Daisy. - To jej własne słowa. Pokazałabym ci, gdybym tego nie zakopała. Stek bzdur! Mam nadzieję, że na długo zanim będę przykuta do łóżka siedem lat ktoś mnie udusi sznurowadłem albo czymkolwiek, co znajdzie się pod ręką. Dlaczego Lucia udaje, że jej przykro? Co to wszystko znaczy?

Juruś od dawna był wiernym giermkim Luci (pani Lucas, małżonki Filipa Lucasa, stąd Lucia) i choć bywało, że w myślach ją krytykował, wtedy gdy był sam w łóżku lub w kąpielu, zawsze stawał w jej obronie w obliczu krytyki innych. A Daisy krytykowała wszystkich wszędzie...

- Może znaczy właśnie to, co znaczy - zauważył z delikatnym sarkazmem, który nie sprawiał żadnego wrażenia na sąsiadce.

- Ależ to niemożliwe - zaprotestowała pani Quantock. - Ani Lucia, ani Pepino od lat nie widzieli ciotki na oczy, nawet o niej nie wspominali. Ostatni raz, gdy Pepino był u niej, to go ugryzła. Tydzień chodził z ręką na temblaku, nie pamiętasz? I strasznie się bał, że dostanie zakażenia krwi. W jaki sposób jej śmierć może być ciosem, a jeśli chodzi o pożycie...

Pani Quantock urwała, przypomniawszy sobie, że de Veré wciąż stała obok i chłoneła każde słowo.

- To wszystko, de Veré - skinęła w stronę służącej.

- Dziękuję pani - powiedziała de Veré, odmaszerowując z powrotem do domu. Miała buty na wysokim obcasie i za każdym razem, gdy uniosła nogę, obcas, który pograżył się pod jej ciężarem w miękkiej murawie, wydobywał się z odgłosem wyciąganego korka. Daisy podeszła bliżej do płotu, a światłość rozumowania indukcyjnego, wielce kultywowanego w Riseholme, przesłoniła furie wyzierającą z jej oczu.

- Jursiu, mam - ciągnęła dalej. - Zgadłam, co to znaczy.

Choć Juruś był oddany Luci, był w równej mierze oddany rozumowaniu indukcyjnemu, a w jego przekonaniu Daisy Quantock (wyjąwszy jego samego) miała z całej osady największe zdolności logicznego myślenia.

- No i co?

- Głupia jestem, że nie pomyślałam o tym od razu - powiedziała Daisy. - Nie widzisz? Pepino dziedziczy po cioci, ponieważ była niezamężna, a on jest jedynym bratankiem i prawdopodobnie dostaną mu się całe góry pieniędzy. Naturalnie więc twierdzą, że to straszny cios. Byłoby źle widziane, gdyby świętowali. Muszą opowiadać, że to był straszny cios, żeby udowodnić, że nie obchodzą ich pieniądze. Im więcej odziedziczyli, tym będzie to smutniejsze. To takie naturalne. Mam do siebie żal, że od razu nie wpadło mi to do głowy. Czy od tego czasu widziałeś się z nią?

- Nie mogliśmy pogawędzić - odrzekł Juruś. - Był tam Pepino i człowiek, który, jak mi się zdaje, jest radcą prawnym Pepina. Był straszliwie usłużny.

- Udowodnione! - stwierdziła Daisy. - I o niczym nie mówiono?

Na twarzy Jursia pojawił się grymas od wysiłku przypominania.

- Owszem, mówiono, ale ja rozmawiałem z Lucią, a tamci mówili ściszonymi głosami. Słyszałem jednak, jak ten prawnik nadmienił coś o perłach. Tak, pamiętam słowo „perły”. Może chodziło o perły starszej pani ?

Pani Quantock zaśmiała się.

- Raczej nie Pepina - stwierdziła. - Ma jedną w spince do krawata. W kształcie łożki, tak się to nazywa, ale kształtu tam niewiele. Kiedy publikuje się testamenty?

- Och, po dłuższym czasie - powiedział Juruś - Trwa to miesiące... I jest dom w Londynie, wiem.

- Gdzie? - dopytywała się Daisy. Twarz Jurusia przybrała wyraz skupienia.

- Nie wiem na pewno, ale wiem, że niedawno Pepino jeździł do miasta w sprawie jakichś napraw w domu ciotki. Zdaje się, że to był remont dachu. - To naprawdę nieważne, co remontowano - powiedziała niecierpliwie Daisy. - Chcę wiedzieć, gdzie stoi ten dom.

- Przerywasz mi. Mówiłem ci. Wiem, że potem poszedł do Harrodsa piechotą. Byli u mnie na kolacji z Lucią i sam mi powiedział. Więc dom musi być gdzieś niedaleko Harrodsa, naprawdę blisko, ponieważ wtedy padał deszcz i gdyby odległość nie była niewielka, wzięłby taksówkę. Może to być Knightsbridge.

Pani Quantock z powrotem nałożyła rękawice.

- Ależ ludzie są tajemniczy - stwierdziła. - Popatrz, nigdy ci nie powiedział, w jakiej dzielnicy stoi dom ciotki.

- Przecież nigdy o niej nie mówili - odparł Juruś. - Od lat była w tej klinice. - Można to nazwać kliniką - zauważyła pani Quantock - albo, jeśli wolisz, można to nazwać urzędem pocztowym. Ale to był dom wariatów. W takiej samej tajemnicy trzymają własność.

- Ależ o własności nigdy się nie mówi, aż dopiero po pogrzebie - rzekł Juruś. - Zdaje się, że jest jutro. Pani Quantock znacząco pociągnęła nosem. - Mówiliby, gdyby tam niczego nie było - zauważyła.

- Jaka ty jesteś okropna - stwierdził Juruś. - Jak...

Jego wypowiedź przerwało kilka głośnych kichnięć. Nawet mając tak piękne spinki do mankietów, niemądrze było stać zgrzanym bez marynarki.

- Jak co? - zapytała pani Quantock, gdy skończył kichanie.

- Zapomniałem. Wracam do walcowania. Troszkę chłodno. Zrobiłem już połowę trawnika.

Od kilku sekund dzwonił telefon. Pani Quantock zlokalizowała odgłos jako pochodzący z jego domu, a nie jej. Juruś był głuchawy, choć starał się udawać, że nie jest.

- Juruś, twój telefon dzwoni - powiedziała.

- Tak mi się wydawało - przyznał Juruś, choć wcale go nie słyszał.

- Przyjdź potem na herbatę! - krzyknęła pani Quantock.

- Z przyjemnością, ale najpierw muszę się wykapać.

Juruś pospieszył do środka, ponieważ dzwonek telefonu zwykle oznaczał pogawędkę z kimś zaprzyjaźnionym. Bardzo znajomy głos, aczkolwiek trochę schrypnięty i złamany, zapytał, czy to on.

- Tak, to ja, Luciu - powiedział miękkiem, wspierającym tonem współczucia. - Jak się miewasz?

Lucia westchnęła. Było to długie, świetnie słyszalne, zamierzone westchnięcie. Juruś mógł sobie wyobrazić ją, jak przybliży usta do słuchawki, żeby się upewnić, że dźwięk niósł.

- Całkiem dobrze - odparła. - Mój Pepino również, dzięki niebiosom, trzyma się. Właśnie wyszedł.

Mało brakowało, a Juruś by zapytał, gdzie, ale w ostatniej chwili zgadł.

- Rozumiem. A ty nie poszłaś. Cieszę się. To bardzo rozsądne.

- Czuję, że nie dam rady - ciągnęła - a on prosił, bym nie szła. To będzie jutro. Dziś zanocuje w Londynie...

I znowu Juruś chciał zapytać „gdzie?”, bowiem niemożliwością było nie pomyśleć, czy będzie nocował w domu znajdującym się w bliżej nie określonych okolicach Harrodsa.

- I wróci jutro na wieczór - powiedziała jednym tchem Lucia. - Zastanawiałam się, czy nie ulitowałbyś się nade mną i nie przyszedł na kolację. Wiesz, tylko coś przegryziemy, w domu nie umiemy się pozbierać. Nie przebieraj się.

- Z radością - odrzekł Juruś, chociaż zamówił sobie ostrygi. Ale można je zjeść jutro na gorąco. - Z wielką przyjemnością przyjdę.

- O ósmej, dobrze? Nikogo innego, oczywiście. Jeślibyś mógł przynieść ze sobą nasz duet Mozarta...



- A jakże - powiedział Juruś. - Powinnaś się czymś zająć, Luciu. Popracujemy nad nim.

- Drogi Juruś - powiedziała słabo Lucia.

Usłyszał, jak wzdycha ponownie i odkłada słuchawkę.

Juruś odszedł od telefonu, mając wrażenie, że jest ogromnie zajęty: o tylu rzeczach trzeba było pomyśleć i tyle zrobić. Najpierw musiał pomówić o ostrygach, a ponieważ nie było w domu służącej, krzyknął w dół kuchennych schodów. Pod nieobecność Foljambe musiał sam przygotować sobie kąpiel. Odkręcił kurek z gorącą wodą do połowy, żeby zdążyć znowu zbiec na dół i do ogrodu (nie miał już czasu dokończyć trawnika, jeśli chciał wziąć kąpiel i przebrać się do podwieczorku), aby wstawić walec z powrotem do szopy. Potem musiał wyjąć ubranie i dobrać coś, co byłoby odpowiednie na podwieczorek oraz na kolację, gdyż Lucia kazała mu się nie przebierać. Miał nowy garnitur, jeszcze nie noszony, dość odważny, ciemnobeżowe spodnie wyróżniały się bowiem krojem oksfordzkim. Patrząc na nie Juruś poczuł się całkiem chłopięco. Obstałował je w chwili szaleńczej odwagi i akurat cicha herbatka u Daisy, a następnie cicha kolacja z Lucią były najlepszą okazją na ich inaugurację, o wiele lepszą niż pojawienie się w nich po raz pierwszy w kościele w niedzielę, kiedy to ujrzałoby je całe Riseholme jednocześnie. Marynarka i kamizelka były ciemnogrnatowe, na podwieczorku byłyby niebieskie, a podczas kolacji sprawiałyby wrażenie czerni; do tego dobrał skarpetki z szarego jedwabiu, aż srebrzystego, i pasujący do nich krawat. Szukał ich dłuższą chwilę, a poszukiwania przerwały kłęby pary przedostające się do sypialni z łazienki. Wbiegł tam i przekonał się, że wanna jest aż po brzeg pełna wrzątku. Wczoraj woda była zaledwie letnia i najwyraźniej kucharka wzięła sobie do serca jego ostre słowa, które jej posłał po śniadaniu dzisiejszego rana. Musiał wyciągnąć korek, wypuścić część bulgocącej zawartości i dopełnić zimną.

Wrócił do sypialni i zaczął się rozbierać. Wszystkie te wieści o Luci i Pepinie z przenikliwym komentarzem Daisy Quantock były ogromnie interesujące. Panna Lucas przebywała od lat w tym domu opieki, czy też prywatnym domu wariatów, i Juruś nie przypuszczał, aby wszystkie opłaty wynosiły mniej niż piętnaście fun-

tów miesięcznie, a piętnaście razy pięćdziesiąt dwa to duża suma. Do tego dochodziła renta, powiedzmy pięcioprocentowa, a więc sam kapitał musiał być odpowiednich rozmiarów. No i ten dom w Londynie. Jeśli własnościowy, to nieźle powiększał kapitał; jeśli wynajmowany, nieźle dokładał do dochodów. No i opłaty, podatki, pensja dozorca, niewątpliwie jakiś margines. I te perły.

Juruś wyjął pół kartki papieru z tej szufladki w biurku, gdzie przechowywał połowy kartek i kawałki sznurka rozplątane z paczek, i zaczął kalkulacje. Oczywiście w dużym stopniu polegały na domysłach, a perły trzeba było w ogóle wykluczyć, ponieważ nikt nie mógł stwierdzić, ile warte są „perły”, nie znając ich liczby ani jakości. Lecz nawet bez nich, za to przyjąwszy całkiem niski czynsz za dom w okolicach Harrodsa, roczne rozchody zdawały się wynikać ze zdumiewającego kapitału.

- Powiedziałbym, że ni mniej, ni więcej, ale pięćdziesiąt tysięcy funtów - stwierdził Juruś. - Z tego dochodu dwa tysiące sześćset.

Gdy tak siedział nad cyframi, zrobiło mu się trochę chłodno. Z rozkosznym przedsmakiem cudownej, gorącej kąpieli pospieszył do łazienki. Cały wrzątek uciekł.

- Paskudnie! Do diabła! - zniecierpliwził się Juruś korkując wannę i odkręcając jednocześnie oba krany.

Oczywiście, że te kalkulacje dały podstawę dla jego wyobraźni i podczas gdy się ubierał, ta pracowała intensywnie pomiędzy spojrzeciami w kierunku odbicia spodni, widocznego w długim lustrze stojącym przed oknem. Co zrobią Lucia i Pepino z takim powiększeniem majątku? Lucia już i tak miała największy dom w Riseholme, z najbardziej elżbietańskim wystrojem, a także samochód i tyle nowych ubrań, ile chciała. Nie wydawała wiele na suknie, ponieważ jej wzniosły umysł gardził ubiorem, ale Juruś pozwolił sobie na cyniczną refleksję, iż perły mogą wpłynąć na jej elegancję. Przyjmowała tylu gości, na ilu miała ochotę; przecież więcej pieniędzy nie spowoduje przyrostu proszonych kolacji. No i jeździła do Londynu, kiedy tylko w jej mniemaniu w sztuce, teatrze czy muzyce pojawiał się coś, w czym kiełkowało ziarenko kultury. Towarzystwa (tak zwanego) nie cierpiała na wskroś, zupełnie jak mody, i zawsze twierdziła, że do Riseholme wraca z uczuciem intelektualnego głodu. Może utworzy stały fundusz

na rzecz obchodów święta majowego na miejscowych błoniach, ponieważ - jak twierdziła - ma zamiar świętować maik każdego roku. W zeszłym roku święto odniosło ogromny sukces, choć było męczące, bo wszyscy poprzebierali się w kostiumy z szesnastego wieku i tańczyli wiejskie tańce, aż słońce litościwie zaszło i pokuśtykali do domu. Wszystko to było wspaniale elżbietańskie, a spencerek Jurusia boleśnie go uwierał.

Lucia miała wspaniały charakter - pomyślał Juruś - i będzie umiała wydać dodatkowo dwa albo trzy tysiące rocznie w sposób budujący i kulturalny. (Czy Oksfordy mają mankiet u dołu, czy nie? Raczej nie - pomyślał - a poza tym są tak obszerne i opadające, że stopy wydają się w nich takie drobne.) Juruś wiedział, co on zrobiłby z dodatkowymi dwoma lub trzema tysiącami rocznie, zresztą często zastanawiał się, czy nie warto by spróbować to zrobić bez nich. Pragnął, och jak bardzo, mieć małe mieszkanie w Londynie (wystarczyłyby dwa pokoje), aby raz na jakiś czas zanurzyć się w życiu, które Luci zdawało się tak puste. Lecz wiedział, że nie ma takiego charakteru, siły i powagi jak Lucia, której rozrywki były jedynie artystyczne lub elżbietańskie.

Jego wzrok padł na dużą fotografię w srebrnej ramie z postacią Brunhildy, stojącą na stoliku przy łóżku. Na fotografii widniał podpis: „Od Olgi dla ukochanego Jurusia”. Jego kamizelka zrobiła się całkiem ciasna, gdy wziął głęboki oddech i wspomniawszy to cudowne półrocze, kiedy Olga Bracely, primadonna, kupiła Stary Dom, zamieszkała tutaj i zmieniła wszystkie wartości. Juruś uważał się za desperacko w niej zakochanego, ale nie tylko z tego powodu ten okres był tak podniecający. Znikły stare wartości: Olga uznała, że Riseholme to najlepszy dowcip wszechczasów, pokochała ich wszystkich i ze wszystkich wyśmiewała się, i nikomu to ani trochę nie przeszkadzało, za to spełniali wszystkie jej zachcianki jakby ich zaczarowała. To znaczy, z wyjątkiem Luci, sprawnie, choć nienaumyślnie zdetronizowanej przez Olgę, której berło pofrunęło w jednym kierunku, a korona w drugim. Potem Olga pojechała na operowy objazd Ameryki i po sześciu triumfalnych miesiącach tam przemieściła się do Australii. Jednakże powinna już być z powrotem w Anglii, ponieważ w tym sezonie śpiewa w Londynie, no i jej dom w Riseholme, tak długi czas zamknięty, znowu będzie tętnił życiem... Marynarka zapięła się jak marzenie, tylko

na ostatni guzik, reszta szeroka i niedbale luźna. Juruś wpiął ametystową szpilkę w swój szary krawat, zaczesał włosy z czoła na tupecik, tuszując całkowicie jego obecność i pospieszył na dół, by pójść na podwieczorek do Daisy.

Gdy wszedł, Daisy siedziała przy swoim biurku nad kartką papieru, trzymając ołówek w rękę i licząc coś na palcach. Jej ogrodowe grabki leżały razem z wilkami przy kominku, na dywanie widniały jedna czy dwie grudki ziemi ogrodniczej, które niewątpliwie pochodziły z jej butów, a obok niej, na podłodze, leżały rękawice. Juruś natychmiast wyciągnął wniosek, iż zdarzyło się coś ważnego i wróciła w pośpiechu do domu, ponieważ ten dywan był prawie nowy i Daisy nie znosiła, by nań spadła choć odrobina popiołu z papierosa.

- Trzydzieści siedem, czterdzieści siedem, pięćdziesiąt dwa i przenieść pięć - mamrotała, podczas gdy Juruś stał przed kominkiem, by jego nowy garnitur był w całości widoczny. - Poczekaj chwilę, Juruś... siedemnaście i pięć razem dwadzieścia trzy, nie, dwadzieścia dwa, zgubiłam się, muszę zacząć od nowa. Nie, to nie może być dobrze. Częstuj się, jeśli de Veré przyniosła podwieczorek, a jeśli nie, zadzwoń... ach, przeoczyłam cztery i razem wychodzi dwa tysiące pięćset funtów.

Na początku Juruś myślał, że Daisy po prostu oblicza jakieś zapóźnione domowe rachunki, ale jak tylko rzekła „dwa tysiące pięćset funtów”, już wiedział i nawet dla formalności nie zapytał, o jakie dwa tysiące pięćset funtów chodzi.

- Mnie wyszło dwa tysiące sześćset - przyznał - ale i tak ładnie się zgadzamy.

Naturalnie Daisy zrozumiała, że on rozumiał.

- Może przyjąłeś, że perły to kapitał - powiedziała - i dodałeś procenty.

- Wcale nie - odrzekł. - Skąd miałbym wiedzieć, ile są warte? Wcale ich nie brałem pod uwagę.

- Cóż, to dużo pieniędzy - stwierdziła Daisy. - Napijmy się herbaty. Co ona z tym zrobi?

Wydawało się, że jest całkiem ślepa na Oksfordy i Juruś zastanowił się, czy tylko z powodu słabego wzroku. Daisy była krótkowidzem, choć z niesłabnącym uporem w to nie wierzyła i nigdy nie założyłaby okularów. Lucia ułożyła na ten temat złośliwy epigram (w czasie gdy stosun-

ki między nimi dwiema nieco ochłodły), stwierdzając, że Daisy jest tak krótkowzroczna, że nie dostrzega swej krótkowzroczności. Rzeczywiście było to złośliwe, ale zupełnie genialne i Juruś przeczytał całą „The Importance of Being Earnest” (bo na tę sztukę Lucia wybrała się do miasta), w nadziei, że tam ten cytat znajdzie... A może nieświadomość spodni Jurusia była jedynie wynikiem zupełnego pochłonięcia Daisy sprawą domniemanych dochodów Luci. Albo spodnie, mimo wszystko, wcale nie były tak odważne, jak mu się zdawało?

Usiadł, niedbale zarzucając nogę na poręcz fotela, aby Daisy nie mogła jej nie zauważyć. Potem wziął kawałek ciasta.

- Jak uważasz, co ona z nimi robi? - zapytał. - Sam się nad tym zastanawiałem.

- Nie mam pojęcia - odparła Daisy. - Już teraz ma wszystko, czego zapragnie. A może będzie je gromadzić po to tylko, żebyśmy się wszyscy przekonali, gdy Pepino umrze, że był o wiele bogatszy niż nam się kiedykolwiek wydawało. Dla mnie to zbyt pośmiertne. Dajcie mi teraz wszystko, co mi się zamarzy, a potem niech będzie pogrzeb biedaka.

- Mnie też - przyznał Juruś, machając nogą. - Jednak nie wydaje mi się, by tak zrobiła Lucia. Rzeczywiście, pomyślałem...

- Chodzi ci o ten dom w Londynie - natychmiast przerwała Daisy. - Oczywiście, jeśli będą chcieli zatrzymać oba domy i w każdym służbę, żeby w każdej chwili można było skoczyć tu albo tam, to pochłonie lwią część. Lucia zawsze utrzymywała, że nie mogłaby mieszkać w Londynie, ale teraz, gdy ma dom, może to jej się udać.

- Będę dziś u niej na kolacji - oznajmił Juruś. - Może się z czymś zdradzi.

Pani Cjuantock czuła ogromne pragnienie po pracy w ogródku, a herbata była bardzo gorąca. Przełała ją na spodek i podmuchała.

- Lucia nie powinna tracić czasu - stwierdziła - jeśli chcą mieć coś z życia; przecież wiesz, Jursiu, że zaczynamy się starzeć. Mam pięćdziesiąt dwa lata. A ty?

Juruś nie lubił takich barbarzyńskich pytań. Od tak dawna był młodzieńcem Riseholme, że zdążył się do tego przyzwyczaić. Prawie nie wierzył w swoje czterdzieści osiem lat.

- Czterdzieści trzy - wyznał - zresztą, nasz wiek nie ma nic do rzeczy, póki mamy co robić i bawimy się dobrze, prawda? Jestem

też przekonany, że Lucia ma w sobie tyle życia i energii, co zawsze. Wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby osiadła w Londynie i tak dalej. Oczywiście, jest jeszcze Pepino, ale jego obchodzi tylko ta jego poezja i teleskop.

- Nienawidzę tego teleskopu - przyznała Daisy. - Kiedyś w nocy zabrał mnie na dach i pokazał coś, co nazywał Marsem, choć jestem gotowa przysiąc, że tydzień wcześniej twierdził, że to jest Wenus. Ale ponieważ za jednym i drugim razem niewiele widziałam, mała różnica.

Drzwi otworzyły się i wszedł pan Quantock. Robert przypominał niewielkiego, krągłego, brązowego i sarkastycznego chrząszczyka. Juruś wstał, by się z nim przywitać i stanął w pełnym świetle. Robert z całą pewnością zobaczył jego spodnie, bowiem wydało się, iż nie jest w stanie oderwać oczu od fałd rozkładających się wkoło jurusiowych kostek. Patrzył na nie jakby był Cortezem, a one jakąś nową planetą. Potem, nie mówiąc ani słowa, skrzyżował ręce na piersiach i odtańczył coś na kształt marynarskiego tańca.

- W górę go, Juruś! Hej, cumuj i stój!

- O czym on mówi? - zapytała Daisy.

Juruś, choć z natury był pogodnym człowiekiem, zawsze dodatkowo starał się zjednywać pana Quantocka. Był on najzłośliwszą osobistością w Riseholme i potrafił prawić ostre słowa bez namysłu, podczas gdy Juruś musiał zastanawiać się dłuższy czas, zanim przyszła mu do głowy cięta uwaga, a i tak jego wrodzona dobroć zazwyczaj nie pozwalała mu jej wykorzystać.

- Ma na myśli moje nowe ubranie - powiedział - i jest przy tym bardzo niegrzeczny. Są jakieś nowiny?

„Są jakieś nowiny?” było zwyczajowym zagajeniem konwersacyjnym w Riseholme. Lepszego nie wymyślono - zawsze były jakieś nowiny. Teraz też.

- Tak. Pepino pojechał na stację - oznajmił pan Quantock.- Podobny do wielkiego czarnego, kruka. Pomachał czarną dłonią. Ha! Dlaczego nie nazwać odejścia odejściem i już? A jeśli nie wiecie, to wam powiem. Dlatego, że pławią się w bogactwie. No, obliczyłem...

- Tak? - zapytali jednocześnie Daisy i Juruś.

- Czyżbyście też liczyli? - zdziwił się pan Quantock. - Może się założymy, kto trafi najbliżej. Ja mówię, że prawie trzy tysiące rocznie.

- Nie aż tyle - powiedzieli Juruś i Daisy, znowu równocześnie.

- No dobrze. Ale to nie powód, dla którego miałbym nie dostać kostki cukru do herbaty.

- Absolutnie - przyznała łagodnie Daisy. - Ale w jaki sposób wyszły ci trzy tysiące?

- Za pomocą czynności dodawania. Co do pensa. Po obiedzie poszedłem do biblioteki i tym, którzy potrafili dodawać, tyle wyszło.

Daisy zwróciła się do Jirusia.

- A więc dziś wieczór będziesz sam na sam z Lucią.

- Owszem - rzekł Juruś. - Mówiła mi, że Pepino wyjechał. Sądzę, że dzisiejszej nocy będzie spał w tym domu.

Pan Quantock pokazał swoje obliczenia i rozgorzała dyskusja. Gorzała jeszcze wtedy, gdy Juruś wyszedł, by odpocząć trochę przed pójściem na kolację i przećwiczyć duet Mozarta. Jeszcze nie grali go razem z Lucią, więc chciał przećwiczyć obie partie. Potem ona będzie mogła wybrać, którą woli. Foljambe wróciła z wychodnego i powiedziała, że gdy wyszedł na podwieczorek dzwoniła międzymiastowa, ale niewiele jej się udało zrozumieć.

- Ktoś bardzo się spieszył, psze pana - tłumaczyła - i wciąż mnie pytał, proszę mi wybaczyć, czy to Juruś, na co ja mówiłam, że nie i że po pana pójde, ale powiedziała, że wyśle telegram.

- A kto to był? - dopytywał się Juruś.

- Trudno powiedzieć, psze pana. Nie podała nazwiska, tylko ciągle pytała.

- Ona?

- Tak się zdaje! - potwierdziła Foljambe.

- Bardzo to tajemnicze - stwierdził Juruś.

Nie mogła to być żadna z jego siostr, ponieważ ich głosy przypominały onych, nie one. Położył się na sofce, by odpocząć, zanim zabierze się za Mozarta.

Wieczorem ochłodziło się, więc przywdział swą błękitną pelerynę z aksamitnym kołnierzem, po czym podążył w kierunku domu Luci. Pokojówka uśmiechnęła się blado na znak, że go rozpoznaje i wpuściła go, przybierając natychmiast pogrzebową minę. Szła przed nim nie swym zwykłym, szybkim krokiem, ale stąpała po-

woli, wreszcie otworzyła drzwi saloniku muzycznego i wymówiła jego imię ponurym szeptem. W zwykłych okolicznościach salonik był jasny i wesoły, teraz paliło się tam tylko jedno światło. Z najgłębszych ciemności dobył się szelest. Lucia wstała, by się przywitać.

- Jursiu drogi - powitała go - to bardzo miłe z twojej strony.

Juruś potrzymał jej dłoń dłużej niż zwykle i ścisnął ją nieco bardziej niż zwykle, dając wyraz swemu współczuciu. Lucia, przyjmując je, zwiększyła ucisk, a Juruś ścisnął jeszcze mocniej, chcąc jej przekazać, że rozumie, aż paznokcie jednego i drugiego zbieleły od wyrażania i przyjmowania współczucia. To wszystko było raczej bolesne, ponieważ skóra małego palca Jursia dostała się pomiędzy dwa pierścionki na jego palcu serdecznym i Jursiowi zrobiło się przyjemnie, gdy wreszcie porozumieli się całkiem.

Oczywiście nie mógł się spodziewać, że podczas tych kilku pierwszych chwil Lucia zauważy jego spodnie. Sama nosiła głęboką żalobę i Jursiowi wydało się, że jej czepeczek to ten sam, który z delikatnością wyrażał jej ból po śmierci królowej Wiktorii. Lecz w czarnym było jej do twarzy i z pewnością wyglądała świetnie. Natychmiast podano do stołu, wzięła więc Jursia pod rękę i chwiejnym krokiem przeszli do jadalni.

Juruś powiedział sobie, że jego rolą jest udzielenie współczucia i wsparcia. Lucia musi otrząsnąć się po tym ciosie. Światelko nadziei zabłysło, gdy zechciała grać duet Mozarta. I mimo że mówiła zniżonym, łamiącym się głosem, gdy siadali do stołu zapytała:

- Są jakieś nowiny?

- Właściwie przez cały dzisiejszy dzień nie wychodziłem z domu i z ogrodu - odparł Juruś. - Walcowałem trawnik. A Daisy Quantock - wiedziałaś? - pokłóciła się ze swym ogrodnikiem i wszystko będzie robić sama. I była tam, po sąsiedzku, z grabkami i taczka pełną nawozu.

Lucia uśmiechnęła się blado.

- Droga Daisy! - powiedziała. - Cóż to będzie za ogród! I co jeszcze?

- Poszedłem do nich na podwieczorek i w czasie, gdy mnie nie było, zadzwonił ktoś na międzymiastową. Paskudnie. Ta osoba nie mogła się w żaden sposób porozumieć i wysłał telegram. Nie mam pojęcia, kto to mógł być.



- Ciekawe! - Lucia ożywiła się. Potem przypomniało się jej. - Jursiu, ogarnęło mnie takie złe przeczucie, gdy dwa dni temu zobaczyłam ten telegram do Pepina leżący na stoliku.

- Dziwne - wymamrotał Juruś. - Jaka pyszna ryba! Jak się ci udaje zawsze mieć wszystko lepsze niż my? Smakuje morzem. A ja jestem taki głodny po pracy.

- Zniosłam go do biednego Pepina - ciągnęła Lucia - a on zrobił się całkiem blady. A potem (cały Pepino) pomyślał o mnie. „To złe wieści, kochanie”, powiedział, „musimy wspierać siebie nawzajem, abyśmy mogli je znieść”.

- Cały on - rzekł Juruś. - Pan Quantock widział go idącego na stację. Gdzie będzie dzisiaj nocować?

Lucia wzięła jeszcze trochę ryby.

- W domu cioci przy Brompton Square.

Ach, więc tam jest! - pomyślał Juruś. Jeśli u Daisy będzie się jeszcze świeciło, gdziekolwiek, byle nie na strychu, będzie musiał wpaść na minutkę, zanim wróci do siebie, i przekazać wiadomość.

- Ach, miała dom? - zapytał na głos.

- Tak, czarujący dom - przyznała Lucia. - Oczywiście cały pełen drogich wspomnień dla Pepina. Zniesie to z trudem, ponieważ bywał tam u cioci, gdy był małym chłopcem.

- Zostawiła mu go? - Juruś starał się udawać nie zainteresowanego.

- Tak, na własność - odpowiedziała Lucia. - Łatwiej będzie, gdy Pepino zdecyduje się go sprzedać. Piękne meble w stylu królowej Anny.

- Kochanie, to pyszne! - oznajmił Juruś. - Chyba warte fortunę.

Lucia z pewnością otrząsała się po wielkim ciosie, ale nie pozwoliła sobie na nadmierne otrząśnięcie i ze smutkiem pokręciła głową.

- Pepino nie umiałby się rozstać z rzeczami cioci - powiedziała. - Tak wiele wspomnień. Pamięta ją, jak siedzi przy orzechowym biureczku (wiesz, takie wysokie, co to ma klapę z przodu i wszystkie uchwyty przy szufladach są oryginalne) i rankiem przegląda rachunki. Jest jeszcze jej portret pędzla Sargenta nad kominkiem, wczesny. W jadalni są ładne chińskie krzesła chippendale. Musimy postarać się i zatrzymać niektóre rzeczy.

Juruś pragnął zadać sto pytań, ale nie było to rozsądne, ponieważ Luci wyraźnie sprawiało przyjemność, gdy smakowite kąski padały przy okazji wspomnień. Zaczynał nabierać przekonania, że cyniczna uwaga Daisy sprawdziła się i poza bólem utraty Luci i Pepinowi trafiła się całkiem niezła spuścizna. Od czasu do czasu wychynał rąbek triumfu, upychany przez Lucię z powrotem.

- Ale gdzie pomieścisz te wszystkie piękne rzeczy, jeśli sprzedacie dom? Wasz dom jest już doskonały.

- Niczego jeszcze nie ustaliliśmy - westchnęła Lucia. - Ani on, ani ja nie jesteśmy w stanie myśleć o czymkolwiek innym, tylko o drogiej cioci. Pepino pamięta czasy, gdy jej umysł był tak bystry i inteligentny. Bardzo przystojna kobieta na tym obrazie Sargenta. To wszystko stało się tak nagle. Gdy Pepino widział się z nią po raz ostatni, była pełna wigoru.

Pewnie wtedy, gdy go ugryzła - pomyślał Juruś. Na głos powiedział:

- Oczywiście, że to na was spadło niespodzianie. Jaki jest ten Sargent? Znaczek pocztowy, czy cała postać?

- Cała postać, o ile mi wiadomo - odpowiedziała Lucia. - Nie wiem, gdzie moglibyśmy go tutaj zawiesić. Jest też etażerka z połowy osiemnastego wieku. Lecz, oczywiście, nie możemy jeszcze o tym myśleć. Kieliszek porto?

- Ja ci naleję - zaoferował się Juruś. - Tego ci właśnie trzeba po tych wszystkich zmartwieniach i smutkach.

Lucia podała mu swój kieliszek.

- Tylko połowę. Jesteś taki kochany i rozumiejący, Jurusiu. Nie umiałabym rozmawiać z nikim innym i chyba dobrze mi robi ta nasza rozmowa. W piwnicze cioci jest trochę cudownego porto, twierdzi Pepino.

Wstała.

- Chodźmy do saloniku muzycznego - powiedziała. - Porozmawiamy jeszcze trochę, a potem zagramy naszego Mozarta, jeśli będę się czuła na siłach.

- To też ci dobrze zrobi - zapewnił Juruś.

Lucia mogła już znieść więcej światła niż wtedy, gdy wyłoniła się z mroku na kolację. Zasedli więc wygodnie przed kominkiem.

- Pepino będzie miał strasznie dużo zajęcia - oznajmiła. - Na szczęście jego prawnik jest z tej samej firmy, co cioci; to prawie przyjaciel rodziny. Wszystko, co należało do cioci, powiedział nam,

przechodzi na Pepina, choć doprawdy nie mamy pojęcia, co. Ale są opłaty spadkowe i podatki, i wiem, że póki ich nie spłacimy, będzie u nas bardzo biednie, a na dodatek te opłaty tak niesprawiedliwie rosną w proporcji do spadku. Oczywiście, wszystkie rzeczy z Brompton Square trzeba będzie wycenić, a my musimy opłacić dosłownie każdą; wycenią nawet dywany i chodniki, a są tam też śliczne persy. I jeszcze należność za wycenę i za usługi prawnika. A jak się z tym wszystkim uporamy, wzrośnie nam próg podatkowy...

- Bo od wyższego dochodu - wtrącił Juruś.

- No tak, można by to tak ująć - przyznała Lucia. - Ale Pepino twierdzi, że opłaty będą ogromne. I jest przepiękny salonik muzyczny.

Lucia rzuciła w jego kierunku jedno ze swoich świdrujących spojrzeń.

- Georgino, domyślałam się, że wszyscy w Riseholme dyszą z ciekawości, co dostał Pepino. To takie straszliwie wulgarne, choć sądzę, że naturalne. Czy wszyscy o tym mówią?

- Cóż, obito mi się o uszy - odpowiedział Juruś. - Lecz nie rozumiem, czemu miałoby to być wulgarne. Sam jestem zainteresowany. Przecież tu chodzi o ciebie i Pepina, a coś, co dotyczy przyjaciół danej osoby, musi tę osobę interesować.

- Caro, wiem o tym - powiedziała Lucia. - Wiesz, bardziej niż same pieniądze ciąży odpowiedzialność z nimi związana. Pepino i ja mamy wszystko; tyle, ile nam trzeba na zaspokojenie naszych małych potrzeb, a teraz spada na nas to wielkie pomnożenie bogactwa... wielkie, oczywiście, w porównaniu z naszymi dotychczasowymi skromnymi dochodami... i, jak powiedziałam, przynosi odpowiedzialność. Będziemy musieli korzystać mądrze i bez ekstrawagancji z tego, co ostanie się po spłaceniu wszystkich tych ogromnych opłat. Łąkę na końcu ogrodu oczywiście kupimy natychmiast i nigdy nie będziemy się bać, że ktoś ją zabuduje i popsuje nam widok. Następnie... cóż, chyba nowy teleskop dla Pepina. Lecz czegoż bym ja mogła pragnąć w Riseholme poza tym, co już mam? Mam muzykę, przyjaciół, mogę ich u siebie gościć, mam moje książki, moje kwiaty. Może przydałaby się biblioteczka, dobudowana do skrzydła. Tam Pepinowi nikt by nie przeszkadzał. I może od czasu do czasu kwartet smyczkowy gościnnie z Lon-

dynu. Sprawiłby nam wielką przyjemność, a przecież muzyka znaczy więcej niż tylko przyjemność, nieprawdaż? Ponownie prześwidrowała Jurusia spojrzeniem.

- No, a ten dom przy Brompton Square, gdzie urodziła się ciocia. Mielibyśmy go sprzedać?

Juruś dokładnie wiedział, co ona ma na myśli. Myślał akurat to samo, odkąd tylko wspomniała o saloniku muzycznym. Zdawało się, że zaakceptowała go, zagarnęła i pieściła.

- Chyba myślisz o zatrzymaniu domu i mieszkaniu tam od czasu do czasu.

Lucia rozejrzała się, jakby do pokoju wśliznęło się cichcem stu podsłuchiowaczy.

- Ciszej, Jurusiu V powiedziała. - Ani słowa o tym. Rzeczywiście myśleliśmy, Pepino i ja.

- Ale mnie się wydawało, że nienawidzisz Londynu. Zawsze jesteś taka szczęśliwa, gdy stamtąd wracasz i twierdzisz, że jest pospolity i krzykliwy.

- Owszem, w porównaniu z najcudowniejszą ciszą i powagą naszego Riseholme - odrzekła - gdzie nigdy nie zabrzmiałby fałszywa nuta, a przynajmniej prawie nigdy. Lecz w Londynie daje się wyczuć jakby wir, ruch, którego u nas brak. Głębokie wody, Jurusiu, sam środek toni! Może tu stajemy się zbyt uwrażliwieni, tu, gdzie wszystko jest harmonijne i kulturalne, może jesteśmy za bardzo chronieni. Gdybym szła za własnymi inklinacjami, nigdy nie opuściłabym naszego drogiego Riseholme ani na jeden dzień. Ach, jakie wszystko byłoby proste, gdyby człowiek mógł podążać za swoimi inklinacjami! Rankiem wśród mych książek, popołudniem w ogrodzie, po podwieczorku przy fortepianie, a na kolację do mojego Pepina i do mnie przyszedłby przyjaciel taki jak ty i bardzo na mnie nakrzyczał, jak za chwilę ty, że jestem taką niezdara z Mozartinem.

Lucia zakręciła elżbietańskim różnem, umocowanym wewnątrz szerokiego komina, i ponownie zmierzyła go wzrokiem jak ów marynarz z ballady Coleridge'a. Juruś nie miał wyboru, musiał słuchać... Elokwentne, wyważone zdania Luci nie były ani trochę improwizowane; wszystko, o czym mówiła, było najwyraźniej przemyślane i prawdopodobnie przedyskutowane. Możliwe, iż z Pepinem nie mówili o niczym innym od chwili tego

ciosu, który ich zdruzgotał, dlatego jej słowa nie mogły już być bardziej precyzyjne i kryształowo przejrzyste.

- Jursiu, czuję się jak emerytowany stary koń, którego nagle prowadzą z pastwiska z powrotem w uprząż. A jednak jest we mnie jeszcze życie i chęć działania, choć wydawało mi się, że będzie mi pozwolone zestarzeć się w pysznej ciszy i spokoju naszego drogiego, próżnującego, banalnego Riseholme. Lecz czuję, iż chyba tak nie będzie. Moje sumienie strzela nade mną batem, mówiąc: „Musisz znowu się ruszyć, rozleniwiona staruszek”. No i muszę myśleć o Pepinie. Drogi, zadowolony Pepino nie narzekałby nigdy, gdybym nie zechciała się ruszyć. Czytałby swoją gazetkę i grzebałby się w ogródku, i pisywał swe kochane wierszyki... taki słodki zaczął Wczoraj: - „Żalność”, sonet... i patrzyłby w gwiazdy. Lecz jakie to życie dla mężczyzny?

Juruś niespokojnie poruszył się na fotelu i Lucia z pośpiechem zaczęła prostować zawartą w wypowiedzi krytykę.

- Ty jesteś inny, mój drogi - oświadczyła - jest w tobie owa cudowna moc interesowania się wszystkim. Wszystkim. Lecz pomyśl, do czego Pepino miałyby dostęp w Londynie! Klub, do którego należy królewski astronom, jego drugi klub, polityczny (ostatnio polityka stała się jego obsesją). Czytelnia w Muzeum Brytyjskim. Nie, byłabym bardzo samolubna, gdybym tego wszystkiego nie dostrzegała. Muszę myśleć i myślę o Pepinie. Nie wolno mi być samolubem, Jursiu.

Pomysł, że Lucia miałyby wyjechać z Riseholme, padł jak uzbrojona bomba. W chwili, gdy wybuchła, Jursiowi wydało się, że widzi Riseholme rozlatujące się na tysiąc kawałków. A potem, przez dym, dostrzegł zarys Riseholme, nienaruszonego. Ktoś oczywiście będzie musiał zająć opuszczony tron i pokierować losami miasteczka. Przez myśl Jursia przeleciała analogia z Beau Nash i miastem Bath. Była to niepokorna myśl, lecz na tyle mętna, by móc rozgrzeszyć go ze zdrady. Po- zbył się jej.

- Ależ jak my sobie poradzimy bez ciebie? - zapytał.

- To słodkie, że tak mówisz, Jursiu - rzekła, obróciwszy rożnem.

Pierwszego maja pieczono na nim udziec barani, podczas gdy wszyscy siedzieli wokół odziani w kaftany i trykoty; i nie starcza-

ło perfum Arabii, by zlikwidować swąd pieczonego mięsa, który zalegał w pokoju jeszcze wiele tygodni później.

- To słodkie, ale nie powinieneś myśleć, że porzucam Riseholme. W Londynie będziemy (choć, jak mówiłam, niczego nie ustaliliśmy) może dwa czy trzy miesiące w lecie, a będziemy przyjeżdżać każdej niedzieli; być może też od listopada do Bożego Narodzenia i trochę na wiosnę. No i oczywiście Riseholme przyjeżdżałoby do nas. Pięć gościnnych sypialni, z tego co wiem, w tym cały mały apartament połączony z łazienką i salonikiem. Nie, drogi Juruś, nigdy nie porzuciłabym mojego drogiego Riseholme. Gdybym miała wybierać między Londynem a Riseholme, nie zawahałabym się.

- Czy to znaczy, że otworzycie oba domy? - zapytał podniecony Juruś.

- Pepino uważa, że dalibyśmy radę - powiedziała, całkowicie zacierając wrażenie zdruzgotanego siostrzeńca. - Wczoraj wieczorem zrobił obliczenia i wyszło mu, że płacąc stawki z wyżywieniem w drugim domu, rozumiesz, i mając warzywa ze wsi, jeśli będziemy ostrożni, będzie nas stać na to. Całkiem się podniecił i jeszcze długo po tym, jak położyłam się spać, słyszałam jak chodzi. Pepino ma głowę do szczegółów. Zamierza trzymać w Londynie wszystkie rzeczy, ubranie, gąbkę, cały komplet, żeby nie podróżować z bagażem i oszczędzać na napiwkach i drobnych sumkach. On mówi, i ma rację, że to w taki sposób uciekają pieniądze. No i nie będziemy płacić za garażowanie w Londynie, zostawimy samochód tutaj i będziemy się męczyć w miejskich taksówkach i metrze.

Juruś był niemal tak samo podniecony jak Pepino i nie umiał już zachować dyskrecji.

- Powiedz mi, jak uważasz, ile tego jest?

Lucia też rzuciła dyskrecję na cztery wiatry i zupełnie zapomniała, że przez dłuższy czas będą strasznie biedni.

- Około trzech tysięcy rocznie, według obliczeń Pepina, gdy się wszystko pospłaca. Faktycznie podwoją się nam dochody.

Juruś westchnął z czystej satysfakcji. Tak wiele zostało ujawnione, nie tylko z rzeczy przyszłych, ale i z przeszłości, ponieważ, jak dotąd, nikt nie wiedział, ile wynoszą dochody Lucasów. Sprytny Robert Quantock odgadł z taką dokładnością!

- Ależ to dla was przewspaniale - wykrzyknął. - Wiem też, że wasze wydatki będą piękne. Rozmyślałem nad tym dzisiejszego popołudnia, ale nie przyszło mi do głowy, że może tego być aż tyle. No i są perły. Naprawdę gratuluję wam.

Lucia nagle odniosła wrażenie, że dała zobaczyć zbyt duży kawałek srebrnej (a może raczej złotej?) podszewki płaszcza nieszczęść, w którego cieniu się znaleźli.

- Biedna ciocia! - westchnęła. - Nie zapominamy o niej przy tym wszystkim. Mieliśmy nadzieję, że pożyje jeszcze trochę dłużej.

To był cytat z listu do Daisy Quantock (prawdopodobnie też z listów do innych osób), lecz Lucia nie mogła wiedzieć, że Juruś już to znał.

- Zaraz, przecież przyszedłem odciągnąć cię od tych smutnych spraw - zreflektował się. - Nie wolno ci dłużej rozpamiętywać.

Lucia wstała energicznie.

- Jesteś dla mnie taki dobry. Gdybym siedziała sama, byłabym laka smutna.

Zacząła mówić gwarą dzieciinną, której czasem używali w połączeniu ze słówkami włoskimi.

- Poglamy, Juruśku? Musisz być dla mnie dobry, bo tyle dni nie głałam. Maś Moziarta? Która część łatwiejsia? Lucia chce łatwą.

- Lucia wybierze, którą zechce - powiedział Juruś, ponieważ przeciwiczył obie.

- Niech będzie sopran - zdecydowała Lucia. - Ojej, wygląda stłasnje tłudno. Stłasne setki nutek. A ja citać nie umię! No to gramy. Zaczynasz: *uno, due, tre*.

Światło przy fortepianie nie było najlepsze, ale Juruś nie chciał zakładać okularów, chyba żeby to było absolutnie konieczne, ponieważ nie sądził, że Lucia o nich wie, zresztą, jakoś okulary nie pasowały do spodni o kroju oksfordzkim. Nic to nie dało. Z pierwszej strony wyszedł straszny pasztet i Juruś się poddał.

- Juruś musi włożyć oczka - oświadczył. - Juruś stary i ślepy. Czekala go ogromna niespodzianka.

- A Lucia ślepa i stara - odpowiedziała Lucia. - Właśnie zrobiłam sobie oczka. Och, Juruś, jacy my się robimy *oecchio*, co? A teraz zacniemy od nowa. *Uno, due...* Po tym wszystkim Mozart poszedł świetnie, aż jedno i drugie zaczęło się w głębi duszy zastanawiać nad dokładnością wykonania towarzyszącej partii. Lu-

cia podejrzewała, że Juruś ćwiczył, lecz przecież sama wybierała partię. Jeśli Juruś przećwiczył, to z pewnością zabrał się za sopran. Luci nawet nie przyszło do głowy, że mógł być tak przezorny i przećwiczyć obie. Zagrali po raz drugi, wymieniając się. Też poszło dobrze. Zrobiło się późno i Juruś wstał.

- Co mam powiedzieć, jeśli ktoś, kto wie, że byłem u ciebie na kolacji zapyta, czy mi czegoś nie mówiłaś?

Lucia zamknęła klawisz fortepianu i skupiła się.

- Nie mów nic o naszych planach dotyczących domu przy Brompton Square, ale nie widzę powodu, dla którego ludzie nie mogliby wiedzieć, że dom jest. Nienawidzę tajemniczości, zresztą, gdy opublikują testament, dowiedzą się wszyscy. Więc powiedz o domu pełnym pięknych rzeczy. W podobny sposób dowiedzą się o pieniądzech. Więc mów, ile Pepino uważa, że tego jest.

- Rozumiem - rzekł Juruś.

Podeszła z nim do drzwi i wyszła do małego frontowego ogródka, gdzie kwitły żonkile. Noc była jasna, choć bezksiężycowa, a gwiazdy płonęły.

- Aldebaran! - oznajmiła Lucia, wskazując ogólnie w kierunku pobliskiego łuku niebios. - Ta jasna. Och, Juruś, jakie to uspokajające, spojrzeć na Aldebarana, gdy jest się zmartwionym i smutnym. Wynosi myśl ponad drobne przykrości i prywatne smutki. Pateny jasnozłote! Wspaniałe Szekspir! Wpadnij jutro po południu, dobrze; opowiesz mi, czy są jakieś nowiny. Naturalnie, nie będę wychodziła.

- Och, przyszłabyś na obiad - powiedział Juruś.

- Nie, drogi Juruś, pogrzeb jest o drugiej w Putney Vale. *Buona notte*.

- *Buona notte*, droga Luciu - odrzekł.

Juruś pospieszył do domu i rozczarowany zobaczył, że ani w saloniku Daisy Quantock, ani w bibliotece Roberta nie palą się światła. Jednak gdy wszedł na górę do swej sypialni, gdzie Foljambe zapomniała zaciągnąć rolety, zauważył, że w sypialni Daisy jest jasno. W tejże chwili ujrzał wciśniętą w szlafrok Daisy, która otwierała okno u góry i u dołu, bowiem najnowsza pierwsza zasada zdrowia wymagała sypiania w podmuchach wichru. Musiała zauważyć światło w jego sypialni i jego twarz w oknie, ponieważ



zaczęła gwałtownie dawać znaki w jego kierunku i z werwą otworzyła okno.

- No i? - zapytała.

- Przy Brompton Square - oznajmił Juruś. - Oraz trzy tysiące rocznie.

- Nie! - powiedziała Daisy.

W języku Riseholme proste słowo „nie” miało wiele znaczeń. Oczywiście, że używano go bez emfazy, wyrażając samo przeczenie, a jeśli ktoś chciał dodać przeczeniu wagi, mówił „absolutnie nie”. Lecz użycie słowa „nie” w taki sposób, jak właśnie zrobiła to Daisy, stojąca w oknie swojej sypialni, adresując je do Jurusia, niczemu nie przeczyło, znacząc (w kilku krótkich słowach) „w życiu nie słyszałam niczego równie wspaniałego, jestem na wskroś przejęta, proszę więc natychmiast mów dalej i powiedz mi więcej, a potem o tym porozmawiamy”.

Juruś jednak niczego natychmiast nie powiedział dalej. Zrobiwszy wrażenie, zamknął okno i spuścił roletę, zostawiając tak Daisy, wskutek czego przez połowę nocy nie mogła zasnąć i rozmyślała nad tą nadzwyczajną wieścią, zastanawiając się, co Pepino i Lucia zrobią z taką masą pieniędzy. Doszła do kilku wniosków: zgadła, że kupią łąkę za ogrodem i nowy teleskop, ale nie przyszło jej na myśl dobudowanie nowej biblioteki. Zanim zasnęła, stanął przed nią jeszcze poważniejszy problem i napisała liścik do Jurusia, który da służącej do zanieśienia z samego rana. Liścik był takiej treści: „Czy coś mówiła o domu? Co z nim zrobią? Nie powiedziałaś mi numeru”, zupełnie jakby kontynuowała rozmowę, gdyby tamten nie zamknął z takim pośpiechem okna i rolety, opuszczając kurtynę na ten wspaniały finał.

Foljambe przyniosła liścik razem z poranną herbatką Jurusia i szklanką bardzo gorącej wody, którą czasem pijał zamiast herbaty, jeśli podejrzewał, że poprzedniej nocy popełnił jakiś błąd dietetyczny, oraz małą fiolkę soli kruszwickiej, którą czasem dodawał do gorącej wody lub herbaty. Juruś był bardzo zaspany i tylko przewrócił się na łóżku tak, żeby Foljambe nie dostrzegła, w którym miejscu i łosi tupecik, oraz zdusił chrapnięcie, żeby nie domyśliła się, że chrapie. Lecz gdy powiedziała: „Telegram, psze pana”, Juruś usiadł zdumiony w swej piżamie z różowego jedwabiu.

- Nie! - powiedział z emfazą.

Rozdarł kopertę. Wypadł cały plik kartek. Juruś spojrział na pierwsze słowa i już wiedział, od kogo jest telegram. Nawet nie zadał sobie trudu sprawdzenia podpisu z ostatniej strony.

*Ukochany Juruś!*

*Dzwoniłam do Ciebie, aż straciłam cierpliwość, więc piszę. Bardzo to drogie, ale strasznie ważne. Wczoraj przyjechałam do Londynu i będę na sobotę w Riseholme. Przyjdę do Ciebie w sobotę na kolację, bo chcę wszystko wiedzieć. Przyjdź na obiad i na kolację w niedzielę. Poproś ludzi na jedno albo na drugie, szczególnie Lucię. Przywożę kucharza, ale zamów jedzenia ile będzie trzeba na niedzielę. Cudowne tournée po Ameryce i Australii. Na ten sezon wynajmuję dom w Londynie. Przyjadę samochodem. Błogosławieństwa*

*Olga*

Juruś wyskoczył z łóżka, zaledwie spojrzawszy na pisany ołówkiem liścik Daisy. Wyrzucił go od razu, zresztą i tak nie miał nic do powiedzenia, skoro poproszono go, by nie zdradzał planów odnośnie domu przy Brompton Square. Numeru nie znał. Telegram Olgi zatrudniał go na cały dzień, musiał przecież pozapraszać wszystkich jej znajomych na obiad lub na kolację w niedzielę, zamówić produkty i zaplanować kolacyjkę dla siebie i dla Olgi na następny dzień. Prawie nie wiedział, co pije - wrzątek, herbatę czy sole, tak był podniecony. Przewidywał też, że sprawa Luci będzie wymagała nad wyraz umiejętnej dyplomacji. Oczywiście, trzeba będzie najpierw zaprosić ją i prawdopodobnie będzie musiał ją przekonywać, by w ogóle zdecydowała się przyjść na obiad czy na kolację. Będzie musiał odpowiednio uczcić jej głęboką żalobę i ograniczyć towarzystwo do jednej lub dwóch osób, które sama wybierze. A jednak Juruś miał wrażenie, że Lucia nagnie zwyczaj i da się przekonać, zwłaszcza że wszyscy w niedzielę będą wybierać się do Olgi, i w najbliższej przyszłości musiałyby do znudzenia tłumaczyć, że była zaproszona, lecz nie czuła się na siłach pójść. A gdyby się za każdym razem drobiazgowo wytłumaczyła, całe Riseholme byłoby przekonane, że jej nie zaproszono. Troszkę dyplomacji - myślał Juruś po śnia-

daniu, krocząc w kierunku jej domu, bez kapelusza, ale z szyją owiniętą futrzanym kołnierzem.

Wprowadzono go do saloniku muzycznego, a pokojówka poszła po Lucię. Fortepian był otwarty, ćwiczyła więc. Na podstawce stał egzemplarz owego duetu Mozarta, który tak sprawnie czytała poprzedniej nocy. Przez chwilę Juruś myślał, że zapomniał zabrać swój egzemplarz, lecz gdy się bliżej przyjrzał, zobaczył, że nad trudniejszymi fragmentami partii sopranowej dopisano ołówkiem uwagi o palcach, czego on z pewnością nie zrobił. W tejże chwili spostrzegł Lucię idącą z ogrodu, toteż czym prędzej zasiadł w fotelu jak najdalej od fortepianu i zatopił się w „Timesie”.

Usiedli razem przy kominku. Juruś wyłożył swą misję.

- Dziś rano miałem wiadomość od Olgi - oświadczył. - Dostałem długachny telegram. Przyjeżdża na weekend.

Lucia uśmiechnęła się mroźno. Nie miała ochoty na wizytę Olgi. Riseholme głupiało na punkcie Olgi.

- Sama przyjemność dla ciebie, Jursiu.

- Przesłała specjalną wiadomość dla ciebie - oznajmił.

- Jestem wdzięczna za jej współczucie - powiedziała Lucia. - Mogła ewentualnie napisać bezpośrednio do mnie, lecz jestem pewna, iż miała jak najlepsze intencje. Skoro przesyła wiadomość przez ciebie, czy mógłbyś ty jej podziękować? Doceniam to.

W trakcie wypowiedzania tych lodowatych sentymentów Lucia zerwała się na nogi i przeszła za Jursiem. Jej uwagę zwróciło coś białego na podstawce fortepianu.

- Nie ruszaj się, Jursiu - ciągnęła. - Siedź tam, grzej się i zapal papierosa. Czy jeszcze coś?

Poszła w drugi koniec pokoju, gdzie stał fortepian i chociaż Juruś był z lekka głuchawy, całkiem wyraźnie usłyszał szelest papieru. Najbardziej elementarne podstawy uprzejmości nie pozwoliły mu się obejrzeć. Zresztą, doskonale wiedział, co się działo. Znowu zaszeleścił papier i tym razem już nie wiedział, co to znaczy.

- Czy jeszcze coś, Jursiu? - powtórzyła Lucia, wracając na miejsce.

- Owszem. To, co miałem ci powtórzyć, nie całkiem dotyczyło tamtej sprawy - powiedział. - Nie sądzę, aby słyszała o waszej żałobie.

- Dziwne - stwierdziła Lucia. - Myślałam, że śmierć panny Amy Lucas... A więc, o co jej chodziło?

- Bardzo pragnie - napisała „zwłaszcza Lucia” - abyś przyszła do niej na obiad lub na kolację w niedzielę. Oczywiście z Pepinem.

- To miłe z jej strony, lecz, naturalnie, całkiem niemożliwe - rzekła Lucia.

- Ależ, nie możesz tak mówić - perswadował Juruś. - Ona przyjeżdża tylko na jeden dzień i chce spotkać się ze wszystkimi starymi znajomymi. Zwłaszcza z Lucią, wiesz. Faktycznie poprosiła mnie, abym skompletował jej gości na obiad i na kolację. Więc, oczywiście, przyszedłem najpierw do ciebie zapytać, o której porze wolałabyś przyjść.

Lucia potrząsnęła głową.

- Przyjęcie! Jak uważasz, czy mogłabym?

- Przecież nie byłoby to takiego rodzaju przyjęcie - tłumaczył Juruś. - Zaledwie kilku twoich przyjaciół. Ani ty, ani Pepino nie zobaczycie się z nikim dzisiaj ani jutro. Do niedzieli on zdąży ci wszystko opowiedzieć. Zresztą, to takie niezdrowe, siedzieć i martwić się.

Jak tylko Lucia oznajmiła, że to całkiem niemożliwe, chciała by Juruś zaczął ją namawiać i była całkiem przygotowana, by zachęcić go do namawiania jej, jeśliby sam na to nie wpadł. Jego ostatnie słowa dały jej znakomite wejście.

- Czyżby? - zapytała. - Być może Pepino zechciałby pójść, jeśli rzeczywiście nie byłoby to przyjęcie. Nie można martwić się, masz rację, nie mogę pozwolić, by się martwił. Samolub ze mnie, że o tym nie pomyślałam. Kto u niej będzie?

- Właściwie decyzja należy do ciebie.

- No cóż, mógłbyś poprosić biedną Daisy z mężem - zgodziła się Lucia. - Sprawiliby im to przyjemność. Razem byłoby sześć osób. Wydaje mi się, że sześcioro wystarczy. Postaram się przekonać Pepina.

- Kapitalnie - powiedział Juruś. - Obiad czy kolacja? Lucia westchnęła.

- Raczej kolacja - oświadczyła. - Wieczorem człowiek czuje się bardziej zdolny do poczynienia takiego wysiłku. Oczywiście pod warunkiem, że Pepino będzie się czuł na siłach.

Zerknęła na zegar.

- Właśnie opuszcza Brompton Square - stwierdziła. - A potem na obiad przyjdzie jego prawnik. Będą mieli czas na rozmowę. Jest tak wiele spraw do załatwienia.

Juruś nagle przypomniał sobie, że nie zna jeszcze numeru domu.

- Z pewnością - rzucił. - To taki rozkoszny placyk, lecz raczej głośny od strony wjazdu, jak sędzę.

- Owszem, lecz pysznie spokojny w głębi - powiedziała Lucia. - Wiesz, ta ulica zakręca i kończy się ślepo. Dwadzieścia pięć stoi u samego wjazdu w zaułek. Od tyłu nie ma żadnych domów. Tylko cichy, stary placyk przykościelny... choć dzisiejszego ranka to przykry widok dla Pepina... i ścieżka do Ennismore Gardens. Mój salonik muzyczny ma okna z tyłu.

Lucia wstała.

- Cóż, Juruś, będziesz bardzo zajęty dzisiaj rano. Musisz skompletować wszystkich gości, a ja nie mogę ciebie zatrzymywać. Ale chciałabym ci zagrać kawałek Strawińskiego, który ostatnio wpadł mi w ręce. Strasznie nowoczesny, to oczywiście, i prawdopodobnie najpierw wyda ci się okropny, no i w najlepszym wypadku jest to żaloszny hałasik w porównaniu z muzyką nieśmiertelnych. A jednak coś w tym jest i nie powinno się potępiać wszystkich nowoczesnych dzieł, nie znając ich. Niewątpliwie był czas, gdy nawet największe sonaty Beethovena uważano za nowoczesne i rewolucyjne.

Poprowadziła go do fortepianu, gdzie na podstawce stał ów kawałek Strawińskiego. Juruś zrozumiał, co znaczył tamten tajemniczy drugi szelest.

- Usiądź przy mnie, Juruś - poprosiła - i obracaj strony szybko, gdy skinę głową. O, tak jak teraz.

Lucia przebrnęła cudownie przez pierwszą stronę, choć potem coś się zdawało psuć. Juruś spodziewał się, że cały utwór będzie dziwny i chaotyczny, lecz z pewnością Strawiński nie miał w zamierzeniu tego, co grała Lucia. Juruś nagle spostrzegł, że w mało widoczny sposób zmieniono tonację w samym środku taktu, czego nie zauważyła Lucia. Dalej grała z zadziwiającą łatwością i skinęła głową przy końcu drugiej strony. Na szczęście tonacja wróciła do oryginalnej. Czy byłoby rozsądne jej powiedzieć? I uznał, że nie; następnym razem, może później, Lucia zorientuje się.

Błyskotliwa rulada, złożona z gam chromatycznych biegnących w różnych kierunkach, zakończyła ten fajerwerk i Lucia z lekka się wzdrygnęła.

- Muszę nad tym popracować zanim będę mogła to osądzić... Jej palce błędziły po klawiaturze i znieruchomiały. A potem,

z tęsknym wyrazem twarzy, który Juruś tak dobrze znał, zagrała pierwszą część „Sonaty Księżycowej”. Juruś również zrobił beethovenowską minę i przy końcu westchnął krótko, jak zwykle.

- Boskie - oświadczył. - Nigdy nie zagrałaś tego równie dobrze. Dziękuję ci, Luciu.

Wstała.

- Musisz podziękować nieśmiertelnemu Beethovenowi - rzekła.

W głowie Jurusia aż huczało od rozumowania indukcyjnego, gdy biegł w zastępstwie, załatwiając sprawunki dla Olgi. Lucia z pewnością miała zamiar prowadzić drugi dom w Londynie, ponieważ wyraźnie powiedziała „mój salonik muzyczny”, mówiąc o domu przy Brompton Square. Łatwo też było odgadnąć, dlaczego zechciała łaskawie tknąć Strawińskiego choć koniuszkiem palca. Wyobrażała sobie siebie w nowoczesnym świecie, idącą z czasem, salonik przy Brompton Square rozbrzmiewa nie tylko pierwszą częścią „Księżycowej”...

Ależ to podniecające - pomyślał Juruś, który przez całą tę działalność umysłową zapomniał zabrać futrzanego kołnierza.

Oczywiście, najpierw poszedł do Daisy Quantock, ale nie chciał zostać dłużej, tylko zaprosić ich z mężem na niedzielną kolację u Olgi i powiedzieć pod jakim numerem jest ten dom przy Brompton Square. Zobaczył, że Daisy wykopała fosę wkoło swojego drzewka morwowego i z zapalem przycina siekierką wywleczone na światło dzienne korzenie; faktycznie poobcinała już wszystkie końce i obok leżała wielka sterta korzeni morwy przeznaczonych do wywiezienia na taczkach, opróżnionych z nawozu, do drewnutni.

- Dwadzieścia pięć, to łatwo zapamiętać - powiedziała. - Będą go sprzedawać?

- Niczego nie ustalili - odparł Juruś. - Kochanie, czy to nie nazbyt drastyczne? Czy ono nie uschnie?

- Ani trochę - oświadczyła Daisy. - Będzie rodzić dwa razy więcej owoców niż przedtem. Ostatniego roku miała jedną. Zawsze powinno się przeświecić korzenie drzewa owocowego, które nie chce rodzić. A perły?

- Nic nie wiadomo - odrzekł Juruś - prócz tego, że są na portrecie ciotki, namalowanym przez Sargenta.

- Nie! Sargenta?

- Owszem. Do tego siedemnastowieczne meble i chińskie krzeselka chippendale.

- Ile sypialni? - zapytała Daisy, wycierając siekierkę w trawę.

- Pięć zapasowych, sądzę więc, że siedem w ogóle - odpowiedział Juruś. - W tym jedna z salonikiem i osobną łazienką. A także przepiękny pokój muzyczny.

- Jurusiu, ona zamierza się tam wprowadzić - stwierdziła Daisy - bez względu na to, czy ci to powiedziała, czy nie. Nie liczy się tak sypialni w domu, który przeznaczasz na sprzedaż. Po prostu się tego nie robi i już.

- Niczego nie ustalili, mówię ci - powtórzył Juruś. - A więc przyjdiesz do Olgi w niedzielę na kolację. Ja muszę lecieć i pospraszając ludzi do niej na obiad.

- Nie! Obiad też?

- Tak. Chce się widzieć ze wszystkimi.

- I pięć zapasowych sypialni, mówisz? - zapytała Daisy zasypując fose.

Juruś spieszenie wyszedł frontową bramą, a Daisy upchnęła z powrotem ziemię i podążyła do domu, przekazać wszystkie nowiny mężowi. Miał w ramieniu reumatyzm, więc pomasaowała go, z. mim poszła odwołać kurczaka zamówionego na niedzielny obiad.

Juruś pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli najpierw uda się do domu Olgi i upewni, że powiadomiła dozorcę o swoim przyjeździe. O takich właśnie rzeczach primadonny czasem zapomniały. Na da, hu Starego Domu siedział jakiś człowiek ze zwojem drutu. Drugi siedział na kominie. Chociaż w Riseholme jeszcze nikt nie miał radiodbiornika, Juruś natychmiast stwierdził, że Olga kazała zainstalować go u siebie. I co na to powie Lucia? Po pierwsze, rzecz była zupełnie nieelżbietàńska i choć Lucia zносиła telefon, wyrażała się w ostrych słowach na temat radia. Sama miała w tej kwestii przykre doświadczenie, ponieważ gdy bawiła ostatnio w Londynie, go-

spodiny wieczoru włączyła odbiornik i towarzystwo zostało potraktowane obrazowym wykładem prowadzonym przez szpitalną pielęgniarkę na temat ropotoku... Jednakowoż Juruś zobaczy się z Olgą w niedzielę, zanim Lucia zjawi się na kolację, będzie więc mógł wyjaśnić, że ona nie cierpi tego instrumentu.

Następnie czekało go arcyprzyjemne zadanie zapraszania wszystkich na obiad. Była akurat godzina, gdy całe Riseholme wpadało i wypadało ze sklepów, i dowiadywało się nowin. Już wiadano, że poprzedniego wieczoru Juruś jadł kolację u Luci oraz że Pepino pojechał na pogrzeb swej ciotki, i wszyscy z niecierpliwością chcieli wiedzieć, czy też ustalono coś konkretnego o gigantycznej fortunie, którą mieli odziedziczyć Lucasowie... Pani Antrobus wysledziła Jurusia wchodzącego do domu Olgi (bystrość jej wzroku zadość czyniła jej głuchocie) i zainstalowała się, dostroiwszy tubę, w punkcie widokowym przy Starym Domu, chłonąc pejzaż i czekając, aż Juruś wyjdzie. Według popularnych szacunków spadek rósł jak nadmuchiwany.

- Cwierć miliona, jak słyszałam, panie Juruś - oznajmiła. -Oraz dom przy samym Grosvenor Square, co?

Zanim Juruś mógł odpowiedzieć, dwie córki pani Antrobus, Świnka i Gąsia, przybiegły podskakując i trzymając się za ręce! Świnka i Gąsia nigdy nie chodziły jak inni ludzie, ale podskakiwały i tańcowały, by udowodnić, jak bardzo dziewczęcym można być w wieku trzydziestu czterech i trzydziestu pięciu lat.

- Och, niech pan zostanie, panie Juruś - poprosiła Świnka.

- Wszyscy chcemy usłyszeć. A te perły, czy naprawdę są warte okupu królowej?

- Ach, ty głupia - skarciła ją Gąsia. - Nie wierzę w żadne perły.

- A ja nie wierzę w Grosvenor Square - powiedziała Świnka.

- Sama jesteś głupia!

Gdy opadły bulgocące emocje i Świnka trzepnęła Gąsię po łapach, obie równocześnie syknęły:

- Ciii!

- Cóż, niczego nie mogę powiedzieć o perłach - oznajmił Juruś.

- Co? Czego nie może powiedzieć? - domagała się pani Antrobus.

- O perłach - powtórzył Juruś w kierunku tuby pani Antrobus.



Tuba przypominała trąbę bardzo krótkiego słonia, a właścicielka wymachiwała nią, jakby się dopraszała o ciastko.

- O perłach, mamó! - wrzasnęły razem Świnka Gąsia. Nie przerywaj panu Juruśowi.

- Ten dom nie jest przy Grosvenor, ale przy Brompton Square - powiedział Juruś.

- Ależ to slumsy! - wykrzyknęła pani Antrobus. - Jestem rozczarowana.

- Bynajmniej, to czarujące sąsiedztwo - ciągnął Juruś. Wcale się nie spodziewał takiej reakcji. Z przyjemnością oczekiwał na okrzyki zadroszczącego zaskoczenia. - Jeżeli zaś chodzi o fortunę, to będzie tego około trzech tysięcy rocznie.

- I to wszystko? - zapytała Świnka z głęboką pogardą.

- Podłe grosze dla milionerów takich jak Świnka - stwierdziła Gąsia i znowu zaczęły sobie dawać klapsy.

- Są jeszcze jakieś nowiny? - niecierpliwiła się pani Antrobus.

- Tak - odparł Juruś. - Olga Bracely przyjeżdża jutro...

- Nie! - wykrzyknęły panie chórem.

- A jej mąż? - zapytała Świnka.

- Nie - powiedział Juruś bez emfazy. - A przynajmniej nic nie mówiła. Olga chce, aby wszyscy jej znajomi przyszli na obiad w niedzielę. Przyjdziecie panie wszystkie, prawda? Prosiła mnie, abym wszystkich zapraszała.

- Tak - odparła Świnka. - Och, jak cudownie! Uwielbiam Olgę. Czy pozwoli mi usiąść obok siebie?

- Hę? - odezwała się pani Antrobus.

- Obiad w niedzielę, mamó, u Olgi Bracely - wrzasnęła Gąsia.

- Ale jej tu nie ma - zauważyła pani Antrobus.

- Nie, ale przyjedzie, mamó - krzyknęła Świnka. - Chodź, Gąsiu. Tam jest pani Boucher. Powiemy jej o biednej pani Lucas.

Wózek pani Boucher stał naprzeciwko sklepu rzeźnika, gdzie jej mąż zamawiał pieczeń na niedzielę. Świnka i Gąsia zdążyły poinformować ją o biedzie Luci, zanim dotarł do niej Juruś. Jednakże spotkał się z innym przyjęciem i stał się bohaterem chwili.

- Ależ to gigantyczna fortuna. Ja twierdzę, że to gigantyczna fortuna - mówiła pani Boucher z naciskiem, gdy Juruś podchodził. - Dzień dobry, panie Juruś, słyszałam pańskie wieści i mam nadzieję, że Lucia je dobrze wykorzysta. A jeszcze Brompton Square! Miałam

ciotkę, to była siostra matki, rozumie pan, nie ojca, i ona tam mieszkała. Zawsze powtarzała, że woli mieszkać przy Brompton Square niż w Pałacu Buckingham! Jak pan uważa, co oni z tym domem zrobią? Zapewne tyle jest wart w złocie, ile zaważy. Jaki to dziwny zbieg okoliczności, że obie tam mieszkały! Czy są inne nowiny?

- Tak - rzekł Juruś. - Olga jutro przyjeżdża...

- To mi rzeczywiście nowina! - stwierdziła pani Boucher, gdy jej mąż wyszedł od rzeźnika. - Jakubie, Olga przyjeżdża jutro, tak twierdzi pan Juruś. Ale będziesz szczęśliwy! Jesteś wariacko zakochany w Oldze, Jakubie, nie zaprzeczaj. Stary flirciarz z ciebie, Jakubie, i tyle. Niewiele poświęcisz mi uwagi, póki Olga tu będzie. Wstydziałabym się, w twoim wieku. Mogłaby być twoją córką. Albo moją. No i trzy tysiące rocznie, mówi pan Juruś. Uważam, że to gigantyczna fortuna. Wiesz, pani Lucas. Myślałam, że może ze dwa. Jestem zdumiona. Cóż, gdy starsza pani Toppington (nie żona młodego pana Toppingtona, tego, co to ożenił się z siostrzenicą człowieka, który wynalazł gaz rozweselający, ale jego ojca, a może stryja, nie wiem na pewno), otóż gdy stara pani Toppington umarła, zostawiła dla syna, czy też bratanka, sumkę, od której miał taki mniej więcej procent i powszechnie uważano go za bardzo bogatego człowieka. Mieszkał w domu tuż obok kościoła w Scroby Windham, gdzie mój ojciec był proboszczem; dobudował tam nowe skrzydło z pokojem bilardowym...

Juruś wiedział, że nie przebrnie przez zadania tego ranka, jeśli wysłucha wszystkiego, co pani Boucher ma do powiedzenia o młodym panu Toppingtonie i wtrącił:

- No i bardzo prosi panią i pułkownika na obiad do siebie w niedzielę. Zwróciła się do mnie, abym zaprosił wszystkich jej starych znajomych.

- Ależ to miłe - ucieszyła się pani Boucher. - Oczywiście, że przyjdziemy... Jakubie, mięso na pieczeń. Nie będzie nam potrzebne. I tak zamierzałam dać ci kotlet cielęcy na kolację, więc po co nam pieczeń? Tylko weź kawałek steku dla służby, ładny kawałek. No, no, a to przyjemność, obiad u naszej drogiej Olgi! Toż to całe przyjęcie.

Kura pani Quantock, już wymówiona, przydała się Jurusiowi na jego własny sobotni obiad, kiedy to miał gościć Olę. Zanim sprawił się ze wszystkim, ranek minął, a nie miał ani chwili czasu, by po-

ćwiczyć grę na pianinie, popracować w ogródku lub wykonać choć jeden ścieg właśnie rozpoczętego haftu. Nowe niespodzianki oczekiwały go, gdy wrócił zmęczony do domu. Foljambe powiedziała mu, że Lucia przysłała pokojówkę z prośbą o pożyczenie jej poradnika do gry w brydża. Był zbyt zmęczony, aby się nad tym głębiej zastanowić, ale wydało mu się dziwne, że Lucia, która nie znosiła wszelkich gier karcianych, uważając, że są odpowiednie tylko dla ludzi tak pozbawionych inteligencji, że nie potrafią mówić ani słuchać, właśnie Lucia pożyczyła poradnik. Na lucinej skali próżności karty znajdowały się tuż za krzyżówkami. Co to mogło oznaczać?

Ani Lucia, ani Pepino nie pojawili się aż do niedzieli rano, choć Daisy Quantock zauważyła powrót Pepina w piątek po południu, zgiętego w pół i potykającego się z rozpaczy na chodniczku prowadzącym przez frontowy ogródek domu Przy Zagajniku. Lucia otworzyła drzwi, oboje potrząsnęli smutno głowami i weszli do środka. O ile było wiadomo, w sobotę nie wychodzili wcale i pojawili się teraz pierwszy w kościele w niedzielę rano, choć w przypadku Luci trudno mówić o pojawieniu się, bowiem zakryta była szczelnie nieprzejrzystym czarnym welonem. Lecz na tym, można by rzec, skończyła się żałoba (zresztą i tak wszyscy wiedzieli, że idą na kolację do Olgi, więc po nabożeństwie Lucia podniosła welon i w kruchcie

odbyło się coś na kształt recepcji, gdy podawała dłoń wychodzącym z kościoła znajomym). W ogólnym przekonaniu oznaczało to jej powrót do życia Riseholme.

Nie mniej widoczną osobistością był Juruś. Chociaż Robert z takim sarkazmem odniósł się do jego Oksfordów, Juruś postanowił już to mieć za sobą i po kościele obszedł błonie dwa razy, bardzo wolno, rozmawiając ze wszystkimi i przystając w pewnej odległości, aby wszyscy mogli dobrze się przyjrzeć. Prawdą jest, że ta okropna Świnka parsknęła śmiechem i zawołała:

- Ach, panie Jurusiu, widzę, że nosi pan już długie spodnie a jej matka, podchodząc, przyłożyła sobie tubę do ucha, jakby chciała wyostrzyć całość swej percepcji.

Poza zgrzytem ze Świnką, przyjęcie spodni zadowoliło Jirusia. Owszem, miały piękny krój, opadały w czarujących fałdach i spowodowały sensację całkiem poważną. A mimo wszystko ten ranek był denerwujący i Juruś poczuł ulgę, gdy wreszcie minął.

Ach, jaką pogawędkę uciał sobie z Olgą poprzedniego wieczoru! Przyszła do niego na kolację i siedziała tak długo, trzymając łokcie na stole, że Foljambe zaglądała trzy razy, czy może już sprzątnąć. Jej przygody, powiedziała Olga, są nieistotne, może opowiedzieć Jursiowi o występach w Ameryce i w Australii i o nadchodzącym sezonie londyńskim, kiedy zechce. Natomiast ona chce wiedzieć ze szczegółami wszystko, co zdarzyło się w Riseholme od czasu jej wyjazdu rok temu.

- Wielkie nieba! - zawołała. - I pomyśleć, że kiedyś to miejsce wydawało mi się tak spokojne, że nie powiem głuche, gdzie mogłabym odpoczywać i nie robić nic innego, tylko uczyć się. Ależ ludzie są głupi, że nie interesują się tak zwanymi drobiazgami! A teraz mów dalej o Luci. To była jego ciotka, tak? Podobno niespełna rozumu?

- Owszem. Pepino dostał po niej dom przy Brompton Square – zaczął Juruś.

- Nie! Tam właśnie wynajęłam domek na ten sezon. Pod jakim numerem?

- Dwadzieścia pięć.

- W miejscu, gdzie ulica wchodzi w zakręt, a z tyłu ma...

- Dobudowany duży salon muzyczny - rzekł Juruś.

- Jestem niemalże naprzeciwko. Ale mój domek jest mały. Wystarczy miejsca dla mojego męża i dla mnie, i jest jeden pokój w zapasie. Mów dalej, szybko.

- Do tego jakieś trzy tysiące rocznie i trochę pereł - ciągnął Juruś. - A dom pełen pięknych mebli.

- Będą sprzedawać?

- Niczego nie ustalono - odpowiedział Juruś.

- To znaczy, że twoim zdaniem nie będą. Myślisz, że ze wszystkim przeniosą się do Londynu?

- Nie, tak nie myślę - odparł bardzo ostrożnie.

- Ale ty jesteś taktowny. Lucia wszystko ci opowiedziała, ale podkreśliła twardo, że niczego nie ustalono. Więc nie będę nic z ciebie wyciągać. Po drodze spotkałam pułkownika Bouchera. Dlaczego ma tylko jednego buldoga?

- Ponieważ ten drugi strasznie warczał na panią Boucher. Oddał go bratu.

- A Daisy Quantock? Ciągłe zajmuje się spirytyzmem?

- Nie, skończyła z tym, choć wydaje mi się, że będzie nawrót. Po spirytyzmie było kwaśne mleko, a teraz są surowe warzywa. Zobaczysz jutro przy obiedzie. Przynosi ze sobą w papierowej torebce marchewkę, rzepę, seler naciowy. Surowe. Ale może nie przynieść. Od czasu do czasu jada zwyczajnie.

- A Świnka i Gąsia?

- Takie same jak zawsze. Natomiast pani Antrobus ma nową lubę. Ale ja chciałbym wiedzieć, dlaczego Lucia pożyczyła mój poradnik brydżysty. Przecież uważa, że karty są dla imbecyli.

- Ach, Juruś, to proste! - wykrzyknęła Olga. - Oczywiście, Mrompton Square, choć niczego nie ustalono. Przyjęcia, wiesz, na które będą przychodzić ludzie, co lubią grać w brydża.

Juruś zatopił się w myślach.

- Być może - zgodził się. - Ale to oznaczałoby niesamowitą drobiazgowość.

- A jak to inaczej wytłumaczysz? Na marginesie, założyłam w Starym Domu radio.

- Wiem. Widziałem, jak wczoraj montowali. Ale nie włączaj go jutro. Lucia go nie cierpi. Słuchała raz jedyny i był to wykład o ropotoku. A teraz opowiedz mi o sobie. Może przejdziemy do saloniku? Foljambe zaczyna się niecierpliwić.

Olga pozwoliła się odwieść od tematów tak ją intrygujących i opowiedziała o gigantycznym sukcesie amerykańskiego tournée oraz o ośmiotygodniowym sezonie zaczynającym się w Covent Garden w połowie maja. Jednakże konwersacja zawróciła w kierunku Riseholme.

- Śpiewam dwa razy w tygodniu - powiedziała. - Brunhildę, Lukrecję i Salome. Och, mój drogi, jakże to uwielbiam! Ale będę przyjeżdżała tutaj na każdy weekend. Wracając do Luci, jak uważasz, przeniesie się na ten sezon do Londynu? Wierzę, że tak będzie. Nowe światy do podboju.

Juruś milczał przez chwilę.

- Chyba masz rację z tym brydżem - powiedział wreszcie. - To tłumaczyłoby także Strawińskiego.

- Co mówisz? - zapytała Olga.

- Cóż, wczoraj rano zagrała mi kawałek Strawińskiego - odrzekł Juruś - a wcześniej nie chciała nawet słyszeć o czymkolwiek nowoczesnym. Wszystko się zgadza.

- Doskonale - ucieszyła się Olga.

Następnego wieczoru Juruś i państwo Quantock przyszli razem na kolację do Olgi. Daisy niosła mały papierowy pakunek. Niestety, ku ogólnemu rozczarowaniu, nie zawierał marchewki, a jedynie wieczorowe buty. Jak zwykle, Lucia i Pepino troszkę się spóźnili, ponieważ z przyzwyczajenia Lucia przychodziła ostatnia na każde przyjęcie, jak królowej Riseholme przystało, i robiła ceremonialny obchód gości. Oczywiście, wszyscy się zastanawiali, czy założy perły i znowu spotkało ich rozczarowanie, jej jedynymi ozdobami były bowiem dwie czarne bransoletki i broszka w kształcie dwóch splecionych kielbasek, wewnątrz której widniał lok włosów Beethovena. (Mówiąc szczerze, kilka lat temu włosy Beethovena wypadły i Lucia zastąpiła je loczkiem włosów Pepina w takim samym kolorze... Pepino nigdy nikomu

o tym nie powiedział.) Od pierwszej chwili było widać, że choć przywdziała szatę żalobną, umiała otrząsnąć się z bolesnego otepienia, które przychodzi po stracie.

- To takie miłe z twojej strony, że nas zaprosiłaś - powiedziała do Olgi. - To tak dobrze zrobi - dodała szeptem - mojemu biednemu Pepinowi. Mówiłam mu, że musi znów stawić czoła światu i nie pograżać się w smutku. Daisy, kochanie! Jakże miło ciebie widzieć

i pana Roberta. Juruś! Cóż, naprawdę uważam, że jesteśmy w pysznym towarzystwie.

Za nią szedł Pepino; zupełnie jakby przybyli członkowie rodziny królewskiej. Olga musiała usztywnić kolana, by nie dygnać.

Powitawszy tych, którzy mieli zaszczyt ją spotkać, Lucia stała się bardziej przyjazna niż łaskawa. Podczas kolacji między nią a Olgą siedział Robert Quantock, jednakże przy kolacji nikt nie przeszkadzał Robertowi, inaczej miał tendencję do zachowywania się jak pies z kością i warczał. Natomiast pozostawiony w spokoju, miał potem świetny humor.

- I jest pani tu tylko na dwa dni, Olgo - powiedziała Lucia. - Przynajmniej tak mi mówił Juruś, a on zwykle zna pani plany. Następnie do Londynu, jak sądzę, gdzie zajmą pani próby w operze. Muszę absolutnie postarać się, żeby pomieszkać w Londynie tydzień lub dwa tego roku i pójść na „Zygfryda” oraz na „Walkirię”. Gazety piszą, że w tym będzie pani śpiewać. Juruś, musisz mnie zabrać do Londynu, gdy wystawią tę operę.

A może... - urwała. - Pepino, czy mam zdradzić wszystkim naszym droгим przyjaciółom nasz sekrecik? Jeśli powiesz „nie”, zamilknę. Ale proszę, Pepino...

Jednakże Pepino otrzymał instrukcję powiedzenia „tak” i postąpił zgodnie z nią.

- Widzi pani, moja droga - ciągnęła Lucia - wskutek owej bolesnej tragedii, która wydarzyła się w zeszłym tygodniu, otrzymaliśmy pewną posiadłość. Pepino dostał w spadku dom przy lirompton Square, umeblowany i z pięknym salonikiem muzycznym. Więc myśleliśmy, ponieważ nie ma pośpiechu, by go natychmiast sprzedać, spędzić tam kilka tygodni w tym sezonie, oczywiście spokojnych, choć może przyjmując nielicznych przyjaciół. Wtedy mielibyśmy czas się rozejrzeć, a ponieważ dom stoi, czemu z niego w tym czasie nie korzystać? Udamy się tam przy końcu miesiąca.

To krótkie wystąpienie zostało szczegółowo przygotowane, ponieważ Lucia uważała, że Riseholme trafiłby ogromny cios, gdyby od razu wyjawiała cały ich plan. Należy to zrobić stopniowo. Riseholme powinno się najpierw dowiedzieć, że jadą do miasta na tydzień lub dwa, w zależności od sprzedaży domu. Następnie Riseholme usłyszy, że nie będą sprzedawać domu.

Rozejrzała się, by sprawdzić, jaki efekt wywarła na przedstawicielach Riseholme. Chór „nie” (z emfazą) buchnął z ust Jirusia, pani Quantock i Olgi, którzy oczywiście zdążyli już omówić tę sprawę, nawet Robert, bardzo zajęty kolacją, powiedział „nie” i pożerał dalej.

- Jacy jesteście słodcy, mówiąc „nie” - powiedziała Lucia, która doskonale wiedziała, że emfatyczny wykrzyknik oznaczał jedynie zaskoczenie i chęć dalszego słuchania, a nie zaprzeczenie, iż taka ewentualność jest w ogóle możliwa. - A jednak. Pepino i ja omówiliśmy już wszystko non evero, carissimo? I uważamy, że mamy jakby wezwanie do Londynu. Najdroższa ciocia Amy, wiecie, i te wszystkie jej piękne sprzęty! Nie chciałyby nigdy, aby sprzedano choć jedną rzecz i stąd wniosek, że spodziewała się, iż Pepino i ja nie porzucimy drogiego, starego roziinnego domu. Ciocia Amy urodziła się tam osiemdziesiąt trzy lata temu.

- Moja droga, jak to nas cofa w przeszłość! - rzekł Juruś.

- Nieprawdaż? - wtrąciła Olga.

Teraz Lucia rozwinęła, można rzec, pełną moc silników. Obecność Pepina dodawała jej paliwa. Robert sam ładował w siebie, można go było pominąć, natomiast Olga i Juruś chłonęli każde słowo.

- Przecież nie myślimy jedynie o przeszłości - ciągnęła - lecz o chwili obecnej i o przyszłości. Oczywiście, że mój duchowy dom pozostanie tutaj (czym są Niemcy dla lorda Haldane'a?), gdyż, och, tak wiele nauczyliśmy się w Riseholme, otoczeni jego cudowną powagą i radością życia, kulturą, jego zaangażowaniem we wszystko, co jest wartościowe w sztuce i literaturze, jego zwyczajami, jego prostotą.

- Tak - odezwała się Olga.

Od dawna już chciała powiedzieć Luci, że wynajęła dom przy Brompton Square akurat naprzeciwko jej domu, lecz nie śmiała przerwać potoków glorii na nich spływających.

Lucia dotknęła broszki z włosami Beethovena. Odniosła wrażenie, iż odpina się.

- Droga pani Olgo - rzekła. - Jakże to miłe z pani strony, to zainteresowanie naszymi drobnymi sprawami! Pani, człowieka o ogromnej misji w świecie muzyki! Jestem pokrzepiona. Cóż, Pepino i ja czujemy... nieprawdaż, spaso mio?... że gdy staje przed nami taka szansa posiadania salonu w Londynie, powinniśmy z niej skorzystać. W nowoczesnym świecie biegną prądy, o których nie mamy pojęcia. Chcemy się edukować. Chcemy wiedzieć, czym zajęty jest umysł kosmopolityczny. Oczywiście, że jesteśmy starzy, lecz na naukę nigdy nie jest za późno. Jakim skarbem będzie dla nas to wszystko, co uda się nam zebrać i przywieźć z powrotem do naszego drogiego Riseholme.

Nastąpiło ciche i głucho uderzenie o ziemię i palce Luci wróciły do miejsca, gdzie powinna była wisieć broszka.

- Georgino, moja broszka, broszka Beethovena. Spadła mi. Juruś schylił się dość sztywno, by ją podnieść. Praca z walcem

przypomniła mu o istnieniu mięśni w krzyżu. Olga wstała.

- To podniecające, pani Lucas! - oświadczyła. - Musi mi pani powiedzieć więcej. Pójdziemy już? Ja też uważam, że to cudownie, ponieważ właśnie wynajęłam na ten sezon dom przy Brompton Square.

- Nie! - zdziwiła się Lucia. - Który?



- Ach, jeden z tych malutkich - odparła Olga. - Naprzeciwno pani. Pod numerem czterdzieści dwa „a”.

- Takie kochane domki! - powiedziała Lucia. - Mam salonik muzyczny. Zawsze będzie do pani dyspozycji, jeśli zechce pani z niego skorzystać.

- Kapitalna kolacja - oznajmił Robert, który nie odzywał się od dłuższego czasu.

Lucia otoczyła ramieniem szeroką talię Daisy Ojuantock i w ten taktowny sposób zamknęła ewentualną kwestię pierwszeństwa. I Daisy, oczywiście, była o wiele starsza, ale Lucia to Lucia.

- Rzeczywiście, pyszności - zgodziła się. - Jursiu, weź ze sobą Heethovena.

- I nie siedźcie zbyt długo - dorzuciła Olga.

Jurusiowi wcale nie było potrzebne towarzystwo osób jego płci, chyba że młodych, przy których czuł się młodo, albo wiele od niego starszych, co miało taki sam skutek. A Pepino miał nieprzyjemny zwyczaj mówienia do niego „w naszym wieku” (co było zupełnie i nierozsądnym sugerowaniem lat), zaś gdy Robert popijał porto, wtórowały mu wszystkie dźwięki wielkiej i bezkresnej wody. Juruś pozwolił Robertowi wysączyć dwa kielichy i zerwał to sympozjum, po czym przeprowadził ich do saloniku, po drodze porywając swój tamborek. I haftował kapę na łóżko, ale wychodziła tak ślicznie, że zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej skończonego dzieła zarzucić na forte pian. Zauważył, że Lucia wzięła ze sobą swój foliak z nutami. Zajrzał do środka i zobaczył kawalątek Stawińskiego... Po czym, gdy wszedł w zasięg konwersacji pań, mało nie upadł wstrząśnięty.

- Ależ uwielbiam - mówiła Lucia. - To jeden z najwspanialszych wynalazków współczesnego świata. Mówiliśmy o tym wczoraj wieczorem, prawda, Pepino? Pani Olga powiedziała mi, że wszyscy w Londynie mają radio. Proszę, niech pani nastawi aparat, z przyjemnością posłuchamy. Ach, broszka z Beethovenem, dziękuję ci, Jursiu, *mille grazie*.

Olga przekręciła coś, korbkę czy pokrętło, i na chwilę zaległa < i sza. Prawdopodobnie zapowiedziano już następną pozycję. I wtedy, cud nad cudami, z tuby popłynęły pierwsze tony „Sonaty Księżycowej”.

„Sonata Księżycowa” (a w szczególności jej pierwsza część) była niemalże świętością w Riseholme. Należała do Luci, podobnie jak

hymn państwowy należał do monarchy. Jeśli tylko gdzieś organizowano przyjęcie z muzyką, wiadomo było, że prędzej czy później Lucia da się namówić i zagra pierwszą część „Księżycowej”. Chociaż nie wszystkich oszołomił fakt, że Lucia nie tylko zniosła włączenie, ale i zachęciła do słuchania tego mechanizmu (do niedawna tak odrażającego), czekało ich nieskończenie większe zaskoczenie, że pozwala, aby ten przedmiot wygrywał Jej melodię. A oto komponowała na swej twarzy tak dobrze wszystkim znaną minę beethovenowską, pochylona nieco do przodu, z brodą w dłoni, oczami spoglądającymi w dal, które przytomniały wraz z ostatnim taktem. Na końcu pierwszej części wszyscy wydobywali z siebie owo krótkie westchnienie, które się tu należało; tęskny smutek zniknął z twarzy, a Lucia, gestem uciszając wszelką chęć do komentarza bądź oklasków, uśmiechała się radośnie, wiedząc co teraz nastąpi. Uśmiech stawał się coraz szerszy wraz z rozwinięciem scherza, przechodził w malutką kaskadę śmiechu. Dłoń, na której opierała brodę raz jeszcze znalazła broszkę Beethovena i Lucia siedziała, chłonąc pilnie i radośnie, czasem tylko potrząsając głową w bezgłośniej krytyce i raz odezawszy się „Oj-jej”, gdy jasność pasażu nie spełniała jej wymagań, aż po koniec sonaty.

- Jak przyjemnie! - powiedziała na końcu. - Naprawdę przyjemne. Droga, stara melodia! Wydało mi się, że pierwsza część była troszkę pośpieszna, o ile pamiętam, Cortot traktował ją troszeczkę wolniej, bardziej legato, aczkolwiek ta gra jest warta pochwał.

Lucia nie widziała Olgi, która stała przy odbiorniku. Juruś spostrzegł, że podczas recitalu zerknęła do niedzielnej gazety. Teraz, gdy Lucia wymieniła Cortota, Olga szybkim ruchem rzuciła gazetę na jeden z foteli przy oknie i prędko zmieniła temat.

- Powinnam była przerwać - oznajmiła - ponieważ nie musimy uciekać się aż do radia, aby posłuchać tej sonaty. Bardzo proszę, niech nam pani zagra tę część, o której pani mówi. Chciejibyśmy dokładnie wiedzieć, co pani ma na myśli.

Lucia popłynęła do fortepianu.

- Tylko jeden takt albo dwa, czy mogę? - zamruczała. Wszyscy zamruczeli potwierdzająco i po raz wtóry wysłuchali pierwszej części sonaty.

- To tylko moja impresja na temat gry Cortota - zastrzegła się. - Jego interpretacja jest zbieżna z tym, co sama czuję.

- Niech się pani nie rusza - powiedziała Olga i wszyscy mruknęli „nie, nie” albo „proszę”.

Robert powiedział „proszę” o wiele później niż inni, ponieważ przysypiał. Mimo to miał ochotę na więcej muzyki - chciał pospać, a nie rozmawiać.

- Ależ mną dyrygujecie! - rzekła Lucia, przebiegając palcami lekkimi jak motyle po klawiaturze w tę i z powrotem. - Rzeczywiście, będę w Londynie odpoczywać po Riseholme. Pepino mio, mój foliał leży na mojej pelerynie, czy mógłbyś... Pepino uparł się, abym wzięła trochę nut, nie pozwolił mi wyjść bez nich.

To barwne wtrącenie nastąpiło podczas nieobecności Pepina. I dokładniejsze byłoby stwierdzenie, że posłała go z powrotem po nuty, ale to już nie było tak obrazowe.

- Dziękuję ci, *carissirno*. Kawalątek Strawińskiego. Jestem pewna, że pani Olga zna go na wskroś i jestem przerażona. Jursiu, czy mógłbyś przewracać strony?

Od piątku ów kawałek Strawińskiego poczynił ogromne postępy, nadal brzmiał dziwacznie i nowocześnie, lecz nie aż tak bardzo dziwacznie jak wtedy, gdy Lucia nie zauważyła zmiany tonacji. Jednakże rodowity Riseholmczyk ze zdziwieniem słuchał, jak arcykapłanka Beethovena i wróg wszelkiej nowoczesnej muzyki, nazywanej przez nią czystym bolszewizmem, odtwarza piskliwe i podzwaniające staccata, przy których tak często robiła zbolące miny. Jedno pasowało do drugiego - radio i pożyczony Jursiowski poradnik brydżysty. Lucia nie ćwiczyła kawałka Strawińskiego (mimo znacznej poprawy, jej wykonanie nadal kwalifikowało się jako ćwiczenie), ale nowe życie i nowoczesne idee w przygotowaniu do szarży na Londyn. Choć jeszcze, można by rzec, stała w porcie w Riseholme, w ogólnym przekonaniu Lucia już rzuciła cumy i szykowała się na szerokie wody.

- Bardzo ładne, mówię, że to bardzo ładne. Uuu! - oznajmił Robert na koniec kawałka. - To ci muzyka!

- Drogi panie Robercie, jest pan ogromnie miły - rzekła Lucia, obracając się na stołeczku. - A teraz absolutnie nie zagram ani nuty więcej. Lecz czy moglibyśmy... czy możemy posłuchać jeszcze trochę muzyki z twojego cudownego głośnika, pani Olgo? Sama przyjemność! Na pewno każę zainstalować radio w domu przy Brompton Square i będę go słuchała, podczas gdy Pepino będzie rozwiązywał

krzyżówki. Pepino nie umie myśleć o niczym innym, tylko o brydzu i krzyżówkach, i przerywa mi w środku ćwiczeń, pytając o rzeźbiarza ateńskiego, którego imię zaczyna się na P i ma jedenaście liter.

- Ach, wiem - oznajmił Pepino. - Praksyteles. Lucia klasnęła w ręce.

- Brawo! - wykrzyknęła. - Nie będziemy już siedzieć do rana, jak poprzednio.

Był pewien splendor w sposobie, w jaki Lucia poroztrącała jak kregle wszystkie artykuły jej własnej riseholmowskiej wiary, która upatrywała bolszewizm we wszystkich dziedzinach sztuki nowoczesnej, bezmyślność w krzyżówkach i brydzu oraz pustotę i bezcelowość Londynu... Jak tylko z radia popłynęła muzyka (pech chciał, że był to marsz pogrzebowy), spazm bólu przebiegł twarz Luci i Olga natychmiast wyłączyła to smutne przypomnienie daremnego żalu.

- Niech gra, podoba mi się ta melodia! - zabrzmiał głos rozespanego i bezmyślnego Roberta, pośpiesznie utopiony w szumie słów, tuszujących melancholijny zbieg okoliczności.

Było już późno. Lucia wstała.

- Pyszny wieczór! - oświadczyła. - I jakie to wspaniałe, że wkrótce będziemy sąsiadkami również w Londynie. Mój salon muzyczny zawsze będzie do pani dyspozycji. Jursiu, idziesz?

- Jeszcze nie w tej chwili - powiedział hardo Juruś.

Lucia nie była przyzwyczajona do takiego zachowania. Zwykle Juruś opuszczał przyjęcie razem z nią. Uniosła głowę do góry, lecz mijając go złagodniała.

- Przyjdiesz jutro na kolację? Nie będzie żadnej muzyki po dzisiejszej uczcie - ciągnęła, zapominając, że prawie cała uczta była jej dziełem. - Może tylko zagramy w brydzyka z dziadkiem, ty, Pepino i ja.

- Rozkosznie - zgodził się Juruś. Pożegnawszy swych gości, Olga szybko wróciła.

- Ach, Jursiu, same delicje - powiedziała. - A tak na marginesie, oczywiście to Cortot grał „Sonatę Księżycową” szybciej, niż ją gra Cortot.

Juruś odłożył tamborek.

- Tak mi się wydawało - oznajmił. - Takie rzeczy przydarzają się Luci. Ale teraz wiemy, na czym stoimy. Zorganizuje krąg

w Londynie, którego środkiem będzie sama. Świetnie! Wszystko jest jasne jak słońce. Jeszcze tylko o perłach nic nie wiemy.

- Wątpię w ich istnienie - rzekła Olga.

- O nie, myślę, że perły są - oświadczył Juruś po chwili intensywnego skupienia.

- W innym razie nie powiedziałyby mi, że Sargent namalował je na portrecie ciotki.

Olga parsknęła śmiechem.

- Ach, dlaczego człowiek musi spędzić choć godzinę z dala od Riseholme?

- Wolałbym, abyś nie spędzała - powiedział Juruś. - Mimo to wyjeżdżasz jutro.

- Owszem, do Paryża. Mam na swoje wytłumaczenie, że spotykam się ze swoim Jurusiem...

- Oto jest tu - rzekł Juruś.

- Tak, kochanie. Ale mnie chodzi o tego, któremu przypadło być moim mężem. Jurusiu, chyba zmienię nazwisko i stanę się tą, którą naprawdę jestem, czyli małżonką Jerzego Shuttlewortha. Czemu śpiewaczki i aktorki mają się nazywać madame Macaroni czy signora Manna? To mam na swoje wytłumaczenie, jak mówiłam, gdy mi przerwałeś, poza tym jest powód. Suknie. Mnóstwo nowych sukien.

- Opowiedz mi o nich - poprosił Juruś. Uwielbiał rozmowy o ubiorach.

- Jeszcze o nich nic nie wiem, jadę po to do Paryża, żeby się dowiedzieć. Jurusiu, będziesz musiał przyjechać do mnie, gdy osiądę w Londynie. A gdy pójdę ćwiczyć głos do salonu Luci, będziesz mi akompaniował. Aha, czy mam sobie wycieniować włosy?

Twarz Jurusia nagle pograżyła się w skupieniu.

- Założyłbym się, że... - zaczął. Olga po raz wtóry zaśmiała się.

- Jeśli się założysz ze mną trzy do jednego, że nie wiem, to chciałeś powiedzieć, to proszę bardzo.

- Przecież nie możesz wiedzieć.

- I owszem. Założyłbyś się, że Lucia obetnie sobie włosy.

- No, no - powiedział z podziwem Juruś.

Następnego dnia rano było wiadomo, że Lucia z Pepinem zamierzają spędzić kilka tygodni w Londynie zanim sprzedadzą

dom, a kto by zgadł, co to naprawdę oznaczało? Nadchodził czas rozpoczęcia prób do tegorocznego święta majowego i Foljambe, ów wzór pokojówki, zajęła się odświeżaniem jurusiowych trykotów, kamizeli i eleganckich botów myśliwskich z wykładanym mankietem. Jednakże gdy Juruś, będąc na kolacji u Luci następnego dnia, nadmienił o święcie majowym (nie ulegało wątpliwości, że Lucia znowu byłaby królową), w trakcie brydża z dziadkiem, mając pod ręką poradnik brydżysty na wypadek ewentualnych dysput o wartości kolejnych kolorów, powiedziała tylko:

- Te stare, kochane zwyczaje! Jakże osobliwe! Pięćdziesiąt dla mnie nad kreską, Pepino, a może sto? Sprawdź, a ty rozdaj karty, Juruś.

Całkowita apatia Luci do święta majowego wskazywała na dwie przyczyny: żalobę, która nie pozwoli jej zostać królową, albo nieobecność. W konsekwencji tego Juruś kazał poskładać i schować kamizelę, ponieważ poprzysiągł sobie, że nikt inny prócz Luci nie zmusi go, by cierpieć cały dzień czyścicowe męki jak w zeszłym roku... Cóż, z jej zachowania nie dało się wyciągnąć konkretnych wniosków. Być może dyktowała je żaloba. Lecz dowody wskazywały, że Lucia zamierzała całkiem poważnie zapuścić korzenie w Londynie. Z pewnością obstałowała Pod Znakiem Żonkila na błoniach, w tym samym miejscu, gdzie można było kupić poezje Pepina, karty następującej treści:

Philip Lucas z Małżonką  
mają zaszczyt prosić.....  
na.....  
w dniu.....  
o godzinie.....  
adres: 25 Brompton Square RSYp

Dowiedziała się o tym Daisy Quantock, ponieważ spostrzegła przygotowaną przez grawera tabliczkę i udało się jej odczytać odwrócony tekst w czasie, gdy sprzedawca się odwrócił, choć było to mylące i wcale niełatwe. A jednak dała sobie radę i z tego wynikało, że Lucia przewidywała, iż będzie kiedyś kogoś formalnie zapraszać do domu przy Brompton Square.

- Czyżby - dopytywała się Daisy z gorzką ironią - kazała sobie wydrukować takie karty, gdyby jechali tam tylko na tydzień lub dwa?

Jakby tego było mało, Juruś zauważył na biurku Luci kartkę pocztową z nadrukowanym u góry arkusika tekstem:

„Nadawca: Pani Philip Lucas, 25 Brompton Square, SW 3”.

Coraz jaśniej było widać (bo w trakcie tego tygodnia Riseholme nie potrafiło myśleć o niczym innym), że Lucia planowała dłuższy pobyt w jarmarcznej metropolii niż się chciała przyznać. Ponieważ nie zdecydowała się udzielać informacji na ten temat, zwyczajna duma oraz pogarda wulgarnej ciekawości nie pozwoliły nikomu zapytać jej wprost, choć oczywiście wypadało (a nawet wszyscy uważali to za swój obowiązek) starać się przeniknąć sprawę za pomocą wszelkich innych sposobów dostępnych człowiekowi. Gdy te strzępy dowodów utworzyły całość, Riseholme ujrzało w ponurym świetle prawdziwą naturę Luci. W powszechnym mniemaniu opinię publiczną wyraziła pani Boucher, przystanąwszy na błoniach w swoim wózku, aby ryknąć do tuby pani Antrobus:

- Dezerteruje z Riseholme i zostawia wszystkich swych przyjaciół, ot co! Ma zamiar błyszczeć w Londynie i wodzić Londyn za nos. Będą modne przyjęcia, zobaczycie, będą notatki w gazetach, a potem, gdy się sezon skończy, wróci tu i będzie się puszyć. Jeśli o mnie chodzi, to nie będę się tym wcale interesować. Możliwe, że przywiezie jakichś swoich modnych znajomych na niedzielę. W domu Przy Zagajniku będą książęta i hrabie. To właśnie ma w planach, mówię pani, i nic mnie nie obchodzi, kto to słyszy.

Na całe szczęście, dało się to bowiem słyszeć w promieniu ćwierci mili.

- No cóż, trudno, moja droga - powiedział pułkownik Boucher, pchając wózek żony.

- Trudno? A co ja mam do tego, Jakubie? - rzekła pani Boucher. - A teraz chodźmy do domu, bo spóźnimy się na obiad, a to byłoby nieładnie z naszej strony, bo spodziewam się księcia Walii oraz wielkiego kanclerza koronnego i będziemy grać w brydża, I rozwiązywać krzyżówki całe popołudnie.

Jej wściekłość i druzgocący sarkazm, jakkolwiek przesadzony, w ogólnym przekonaniu znalazł uzasadnienie. Przecież od lat

Lucia traktowała pobłażliwymi uśmieszkami każdego, kto tęsknił za tanimi uciechami i nerwową, małpią gadaniną Londynu. Zawsze powracała z wizyt w tamtym prawdziwie prowincjonalnym mieście, które uważało się za centrum, znużona fałszem i bezsensem miasta powleczonego zaledwie cienką warstwą kultury, unoszącego się pseudoateńskim entuzjazmem wobec każdej nowostki. W Riseholme mieli wiele zajęć, lecz były to zajęcia wartościowe, dotyczące Beethovena albo Szekspira, wyższych stref myśli i studiów nad prawdziwymi arcydziełami. A teraz, gdy śmierć ciotki Pepina dała im możliwość zamieszkania w tym błahym mrowisku nad Tamizą, odwracali się plecami do wszystkiego, co dotąd czyniło ich życie tak wspaniałym, a rzeczywistość pełną ważnych znaczeń; i ćwiczyli się, naprawdę ćwiczyli się w błahostkach, poczynając od Strawińskiego i brydża, a na krzyżówkach skończywszy. Zaledwie dzień wcześniej przed owym fatalnym zwrotem fortuny, Lucia wpadła do pułkownikostwa Boucherów w okolicach podwieczorku i znalazła ich pogrążonych w przyjemności rozwiązywania krzyżówki dla dzieci w po-południówce (ta przeznaczona dla dorosłych okazała się zbyt trudna). Lucia oznajmiła, że nawet ta wyrasta ponad możliwości jej biednej głowy i jak tylko przełknęła herbatę, pobiegła do domu dokończyć canto „Czyśćca” Dantego... Bezcelowe były tłumaczenia Luci, że nie spędzą przy Brompton Square dłużej niż tydzień, może dwa, do czasu sprzedaży domu. Daisy, dzięki swojemu sprytowi, w pracowni Pod Znakiem Żonkila, rozprawiła się z tą wersją. Najwyraźniej sumienie Luci cierpiało z poczucia winy - pani Boucher była przekonana, że Lucia ucieknie po cichu, pozostawiając wrażenie, że niebawem wróci.

Pani Boucher raz po raz energicznie dawała wyraz swoim rozważaniom, podczas gdy jej mąż pchał wózek do domu na obiad.

- Jeśli zaś chodzi o perły, Jakubie - oświadczyła wysiadając, zgrzana z oburzenia - gdybyś mnie zapytał, tylko zapytał, co myślę o tych perłach, musiałabym ci odpowiedzieć, że nie wierzę w żadne perły. Może jest gdzieś tam z pół tuzina perełek w starym pudełku na pigułki; nie twierdzą wcale, że nie istnieją, ale więcej pereł nie ujrzymy. Perły!

Juruś zszedł na śniadanie i nie zdążył otworzyć „Timesa”, gdy zadzwonił telefon. Właśnie minął szalony tydzień. Lucia nie poja-



wiła się wcale poprzedniego dnia i Juruś miał wyraźne przeczucie (choć nie zdążył go zapisać), że to ona. I owszem, a jej głos był rażny i rozbawiony.

- To Georgino? - zapytała. - Ci to ti, Juruś?

Juruś miał następne przeczucie, jeszcze silniejsze od poprzedniego.

- Tak, to ja - odparł.

- Juruś, ci psidzies powiedzieć pa-pa biednej Luci i Pepinowi? Wiedziałem - pomyślał Juruś.

- Czyżbyście wyjeżdżali? - zapytał.

- Tak, mówiłam ci tamtego wieczoru - powiedziała Lucia bardzo się spiesząc - gdy rozwiązywaliście krzyżówki z Pepinem. Na pewno mówiłam. Może nie słuchałeś, ale...

- Bynajmniej. Wcale mi nie mówiłaś - oświadczył twardo Juruś.

- Stłasn timer zły głos. Ale przyjdź, Juruś, około jedenastej, położymy. My baldzio śtlawaganczy i jedziemy siamochodem i może zostawimy go na dzień, dwa.

- A kiedy wracacie?

- Jeszcze nie wiemy dokładnie - odpowiedziała radośnie Lucia. - Biedny Pepino będzie tam miał dużo pracy. Nie wiem, jak długo mu to zajmie. No, to do jedenastej?

Juruś ledwo zdążył odłożyć słuchawkę, gdy rozległ się łomot do drzwi frontowych. Foljambe poszła je otworzyć, trzymając w jednej ręce talerz z bekonem. Była to tylko de Veré z egzemplarzem „Timesa” w garści.

- Z pozdrowieniami od pani Quantock - powiedziała de Veré - i czy pan Pillson zechciałby rzucić okiem na zaznaczony akapit, i potem oddać gazetę? Pani Quantock zobaczy się z panem, kiedy tylko zechce pan przyjść.

- I to wszystko? - zauważyła zdenerwowana Foljambe. - To czego chciałaś rozwalić dom?

De Veré nie udzieliła odpowiedzi, a jedynie obróciła się z wolna na swoich wysokich obcasach i skupiła na pejzażu.

Juruś także wyszedł do przedpokoju na te hałasy. Foljambe podała mu gazetę. Jeden z akapitów był zakreślony grubą niebieską kredką, a obok postawiono kilka wykrzykników.

*Pan Philip Lucas z małżonką przyjeżdża dziś z rezydencji Przy Zagajniku, Riseholme do Brompton Square 25.*

- Nie! - powiedział Juruś. - Powiedz pani Cjuantock, że zajrzę po śniadaniu.

- Pospieszył z powrotem do domu i otworzył własnego „Timesa”, by upewnić się, że nie zaistniała jakaś pomyłka; bynajmniej nie była to pomyłka w druku ani nie można tego było wytłumaczyć w żaden inny sposób. Chociaż ten fakt był już znany, nabierał wagi w druku. Druk również udowodniał, iż Lucia musiała wszystko ustalić przynajmniej do czasu, gdy wczoraj zabierano poranną pocztę, inaczej ta notatka nigdy nie ukazałaby się dzisiejszego dnia. Juruś połknął śniadanie, paskudnie parząc sobie język gorącą herbatą...

- Nie dość, że to oszukaństwo - wykrzyknęła Daisy, jak tylko się pojawił, nawet nie przywitawszy się z nim - o tym doskonale wiedzieliśmy, ale jeszcze tchórzostwo! Nie miała odwagi nam powiedzieć.

- Jedzie samochodem - oznajmił Juruś. - Wyruszają po jedenastej. Właśnie zaprosiła mnie, bym przyszedł i się pożegnał.

- Proszę, coraz większe oszukaństwo - orzekła Daisy. - Naturalnie, po przeczytaniu gazety odnieśliśmy wrażenie, że wyjeżdża popołudniowym pociągiem i poszlibyśmy się pożegnać po obiedzie, a jej by już nie było. Gdybym była tobą, nawet by mi się nie śniło pójść się do niej żegnać po tym wszystkim. Ona już otrząsa kurz Riseholme ze swych londyńskich bucików... A jeśli chodzi o mnie, to żadnych zabaw majowych w tym roku nie będzie.

- Absolutnie się zgadzam - przyznał Juruś.

-Ale gniewać się na nią? Zresztą, to takie interesujące. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby już wypisała kilka zaproszeń na tych kartkach, które widziałaś...

- Wcale nie widziałam kartek - zaprzeczyła skrupulatnie Daisy. - Tylko płytkę.

- Żadna różnica. Być może wypisuje zaproszenia teraz, a wyśle je w Londynie.

- No, to pójdz parę minut przed jedenastą i może zobaczysz -powiedziała Daisy.

- Nawet jeśli nie będzie ich pisała, może zauważysz koperty.

- Chodź ze mną - zaproponował Juruś.

- Absolutnie nie - sprzeciwiła się Daisy. - Jeśli Lucia nie ma ochoty poinformować mnie, że wyjeżdża, jedynym honorowym wyjściem

jest udawanie, że o niczym nie wiem. Z pewnością życzę jej miłej podróży. I tyle mam na ten temat do powiedzenia, nie interesują mnie jej dalsze posunięcia. Poza tym jestem bardzo zajęta, muszę dokończyć pielienie ogrodu, nie tknęłam go w ostatnich dniach, no i moja planszетка przyszła dziś rano. Razem z ouiją.

- A co to takiego?

- Podobne do planszетки, ale o większej... większej mocy. Dłużej trzeba czekać, bo nie pisze, ale wskazuje litery - powiedziała Daisy. - Poważnie wezmę się za planszетkę, bo wiem, że mam duże zdolności w tym kierunku, a teraz będę mieć na to czas, kiedy nie będziemy całymi dniami skakać w kryzach, żeby uczcić maj. Może dla odmiany święto majowe przeniesie się na Brompton Square. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Nic, co tyczy Luci, mnie nie zdziwi. Osobiście uważam, że świetnie sobie poradzimy bez niej.

Juruś poczuł, że musi jej bronić. Dostawało się jej ostro ze wszystkich stron.

- To przecież nie zbrodnia pojechać na kilka tygodni do Londynu-zauważył.

- Czy ktoś tak mówi? - zdziwiła się Daisy. - Uważam, że każdy powinien robić to, na co ma ochotę. Tylko wrzuszam ramionami.

Z pewnym wysiłkiem uniosła w górę swe pulchniutkie ramiona.

- Jak uważasz, Juruś, od kogo zaczniesz? Jest ta kuzynka, u której się czasem zatrzymywała, Aggie Sandeman, no i oczywiście jest Olga Mracely. Czy będzie zbierać znajomości po drodze, a od tych znajomości mszą inne znajomości, jak lawina? Czy zostanie przedstawiona na dworze? Oczywiście, że wcale mnie to nie interesuje.

Juruś spojrział na swój zegarek i wstał.

- Mnie owszem - oświadczył. - Ogromnie. Sądzę, że Lucia da sobie radę. Przecież żadne z nas nie chciało w zeszłym roku obchodzić święta majowego, a ona nas zmobilizowała. Umie popychać.

- Raczej rozpychać - zauważyła Daisy. - Wracaj tu i opowiedz mi dokładnie, jak było.

- Czy chciałabyś coś przekazać?

- Absolutnie nie - oznajmiła po raz wtóry Daisy i zaczęła rozwiązywać sznurek na paczce zawierającej instrumenty do wrózenia.

Juruś poszedł szybko drogą (zauważył, że samochód Luci już stoi u drzwi) i w górę po chodniczku prowadzącym obok zegara słonecznego, wokół którego zieleniał klombik Perdity, zwany tak, bowiem rosły w nim tylko te kwiaty, które zbierała Perdita. Tego dnia kwitły na nim w bukietach żonkile, fiołki i prymule. Dziwnie się zrobiło Jurusiowi na myśl, że Lucia nie będzie na okrągło mówić o klombiku Perdity, jak zwykle o tej porze co roku, ale będzie musiała zadowolić się tymi kwiatkami, jakie trafią się przy Brompton Square: może kilka przysypanych sadzą krokusików, jakiś barwinek... Czekwała na niego, posłała mu całusa przez okno i otworzyła drzwi.

- A teraz pogadamy - powiedziała, poprawiając bardzo twarzowy kapelusik, który Juruś widział po raz pierwszy.

Wcale nie przypominał żałobnego stroju, wręcz przeciwnie, zdawał się świadczyć o świetnym humorze noszącej go osoby.

- Usiądź, Jurusiu, i pocieszaj mnie. Biedna Lucia tak się smuci, że odjeżdża.

- Rzeczywiście, twój wyjazd jest dość niespodziany - przyznał.

- Nikomu nawet się nie śniło, że jedziesz dzisiaj, a przynajmniej do czasu lektury porannego „Timesa”.

Lucia westchnęła.

- Wiem - rzekła - ale Pepino uważał, że tak będzie najlepiej. Powiedział, że gdyby Riseholme wiedziało, kiedy wyjeżdżam, wszyscy wydawaliby przyjątko i obiadki na naszą cześć i bylibyśmy zupełnie wycieńczeni waszą dobrocią i gościnnością. Poza tym, tyle trzeba było załatwić, a my nie mieliśmy ochoty na weselenie się. Czy widziałeś się z kimś rano? Są jakieś nowiny?

- Widziałem Daisy.

- Mówiłeś jej?

- Nie. To ona pierwsza zobaczyła notatkę w „Timesie” i przysłała mi gazetę. Poza tym dostała właśnie ouiję. Przyszła w paczce dziś rano.

- Jakie to miłe - westchnęła Lucia. - Będę myśleć o tym, jakie Riseholme jest niustannie zajęte. Oczywiście wy wszyscy musicie przyjechać do mnie, ty pierwszy. Kiedy będziesz mógł przyjechać?

- Jak tylko mnie zaprosisz - odparł Juruś.

- Pozwól mi się zadomowić i za dzień lub dwa napiszę do ciebie. Zresztą, co chwila będziesz wypadał na drugą stronę ulicy, do Olgi.

- Jest w Paryżu.

- Nie! To rozczarowujące. Zdażyłam napisać do niej kartkę, zapraszając ją na kolację pojutrze. Zabierałam ją do Londynu i tam miałam wysłać.

- Może do tego czasu wróci - zauważył Juruś.

Lucia wstała i podeszła do biurka, a tam Juruś z przejęciem zobaczył cały stos zaadresowanych kopert ze znaczkami.

- Chyba nie będę ryzykować, ponieważ załączyłam karteczkę z zaprosinami na ten sam wieczór do signora Cortese z prośbą o przekazanie jej. Wiesz, to on skomponował „Lukrecję”, która, sądząc po gazetach, wchodzi na afisze w Londynie w pierwszym tygodniu sezonu operowego. Oczywiście, Olga śpiewa w partii tytułowej. Lepiej zaproszę ich wtedy, gdy będę miała pewność, że Olga już wróciła.

Juruś bardzo pragnął dowiedzieć się, do kogo były adresowane pozostałe koperty. Dostrzegł, że na wierzchniej widniał adres posła i domyślił się, że jest to poseł z okręgu Riseholme, ten, który był u Luci na obiedzie w czasie ostatniej elekcji.

- A co zamierzasz robić dziś wieczorem?

- Zjem kolację u kochanej Aggie Sandeman. Rzuciłam się na jej łaskę, ponieważ jeszcze nie będzie naszej służby. Miałam nadzieję, że spędzimy z nią cichy wieczór, ale okazuje się, że wydaje całe przyjęcie. Nie tego bym chciała, ale cóż poradzić? Och, Jursiu, pomyśleć tylko, że wy będziecie sobie w drogim, starym Riseholme, a biedny Pepino i ja będziemy musieli jeść i rozmawiać na wielkim przyjęciu.

Rozejrzała się tęsknie po pokoju.

- Żegnaj, drogi saloniku muzyczny - powiedziała, posyłając całusy na wszystkie strony. - Z jaką radością wrócę! A, Jursiu, niechący zapakowano twój podręcznik do brydża. Tak mi przykro. Odeślę ci go. Przychodź tu czasem i graj na fortepianie, żeby nie czuł się zbyt samotny. Musimy lecieć, bo Pepino zacznie marudzić. Pożegnaj od nas wszystkich i wytłumacz im. Klombik Perdity! Czy słodka Perdita wybaczy mi, że zostawiłam wszystkie jej śliczne kwiaty i uciekłam do Londynu? Przecież Szekspir napisał „Zimową opowieść” w Londynie, nieprawdaż? Cudne żonkilcie! I blade fiołki. Dam ci fiolečka, Juruśku, żeby ci przypominał, jak Lucia stąpa po długich, niepięknych ulicach, jak powiedział Tennyson.

Juruś odniósł wrażenie, iż Lucia nie pragnie więcej komentarzy ani pytań o jej odjazd, dlatego tak głądziła, póki nie znalazła się bezpiecznie w samochodzie. Spodziewała się, że Pepino będzie na nią czekał i zrzędził, jednakże wcale go nie było w samochodzie. Wobec czego ona zaczęła zrzędzić.

- Georgino, czy nie zechciałbyś skoczyć do środka i krzyknąć na Pepina? Tak bardzo się opóźnimy. I powiedz mu, że siedzę w samochodzie i czekam. O, jest! Pepino, gdzieś się podziewał? Wsiadajzesz i jedźmy, bo przez błonia biegają Świnka i Gąsia, i nigdy nie ruszymy, jeśli zaczniemy się ze wszystkimi całować. Jurusiu, ucałuj je ode mnie i powiedz, jak nam było przykro, że nie zdążyliśmy się z nimi pożegnać. Zamykaj szybko drzwi, Pepino, i każ mu jechać.

Silnik zamruczał i zaskoczył. Lucia odjechała.

Faktycznie gnębiło ją sumienie - pomyślał Juruś, podczas gdy radośnie pokrzykując podbiegały Świnka i Gąsia. - I wcale mnie to nie dziwi.

Nowina o wyjeździe Luci rozeszła się jak burza i do obiadu Ri-seholme wiedziało już, co robić, a mianowicie hermetycznie i na wieczność zamknąć usta na temat Luci. Można sobie było myśleć, co kto chciał; to wolny kraj, ale zalecano zachowywać milczenie. Lecz trudno było stosować się do tej niezrównanej rady dnia następnego, gdy przyszła wieczorna prasa. Oto cały świat mógł przeczytać dwa całkiem długie akapity w rubryce „Pogaduszki o piątej”, tuż nad renomowanym podpisem Hermiony, w całości poświęcone Luci i Brompton Square nr 25; a także cały świat mógł obejrzeć ją na jednym z jej najbardziej eleganckich zdjęć, na którym spogląda marzycielsko w dal i lekko w górę, a jej palce jeszcze spoczywają na klawiaturze (prawdopodobnie właśnie przebrzmiały ostatnie akordy „Sonaty Księżycowej”). Hermiona opisywał swoim niezliczonym czytelnikom, jak Lucia przybyła ze swej elżbietańskiej siedziby w Riseholme (gdzie sąsiadowała z panną Olgą Bracely) i zamierzała pozostać na sezon w wygodzie ślicznego domku przy Brompton Square, który właśnie otrzymał jej mąż w spadku po zmarłej ciotce. W domku tym znajdował się istny skarbiec wspaniałych sprzętów oraz czarujący salonik muzyczny, gdzie Hermiona wypił z Lucią herbatę w ślicznych filiżankach z porcelany

Worcester... (w tym miejscu Daisy, której dłonie trzęsły się z pasji, wykrzyknęła zranionym tonem: W dniu przyjazdu!) Pani Lucas (z domu Smythe, rodem z hrabstwa Warwick), jak całemu światu wiadomo, jest wybitną znawczynią muzyki i twórczości Szekspira, właśnie dzięki niej Riseholme stało się lokalnym ośrodkiem kultury i sztuki. Nikt nie powziąłby podejrzenia, iż ta błyskotliwa, piękna i dowcipna pani domu, której obecność dopełni i wzbogaci londyński sezon, jest prawdziwą sawantką.

Daisy zaczęła źle się czuć. Przebiegła wzrokiem ostatnie linijki i parsknęła:

- Dowcipna! Piękna!

Posłała de Vere do Jurusia z gazetą, prosząc o zwrot, bo jej jeszcze nie przeczytała do końca. Ale wydawało się jej, że powinien wiedzieć...

Juruś przeczytał rubrykę z podziwu godną wstrzemięźliwością, odesłał Foljambe z gazetą i podziękowaniem dla pani Quantock za wypożyczenie. Nic więcej. Daisy, która do tego czasu poczuła się lepiej, nauczyła się tekstu na pamięć.

Życie w nowych warunkach nie było łatwe. Rzut oka na prasę mógł przyprawić rodowitego Riseholmczyka o atak wściekłości lub głęboką, pełną obrzydzenia depresję. Po raz wtóry „Times” odnotował przyjazd pana Lucasa z małżonką do posesji przy Brompton Square nr 25. Pojawił się koszmarny akapit zatytułowany „Kolacja”, wyliczający osoby, które pani Sandeman gościła na uroczystej kolacji. Znalazł się tam ambasador, markiz, owdowiała hrabina, dwóch wicehrabiów z małżonkami, baron, trochę arystokratów i dygnitarzy, kawalerowie oraz pan Filip Lucas z małżonką. Wszyscy, prócz pana i Filipa Lucasa i jego małżonki, posiadali jakiś tytuł. Lista ta poruszyła nawet panią Boucher, która czytając ją przy śniadaniu zakrzyknęła:

- Nie spodziewałam się tego po nich. I mała to pociecha, że zapewne na kolację weszli jako ostatni.

Po czym zamknęła usta i nie wypowiadała się więcej na ten I»(ilesny temat; a gdy skończyła śniadanie (apetyt jej całkiem znikł), sprawdziła wszystkich uczestników owego hańbiącego zgromadzenia w „Who's Who”, należącym do pułkownika Bouchera.

Zawiadomienie o przyjeździe pana Filipa Lucasa z małżonką do posesji przy Bromptn Square 25 powtórzono raz jeszcze, na wypadek gdyby ktoś nie zauważył (Riseholme zauważyło). Ro-

bert Quantock spostrzegł, że w takim tempie trzy tysiące funtów rocznego dochodu szybko stopnieje i nie pozostanie nic prócz kilku wycinków prasowych. Było to spostrzeżenie bardzo mądre i miazdzące, o ile w tym przypadku miazdzenie miało sens. Owszem, pojawiła się niejasna nadzieja, że Luci nie powitano spontanicznie w Londynie, inaczej nie powtarzałyby anonsu tyle razy. Jednakże małe to było pocieszenie. Na dodatek kilka dni później Riseholme otrzymało druzgocący cios. Pani Agnieszka Sandeman prezentowała panią Lucas na dworze. Co gorsza, w najmniejszych szczegółach opisano suknię Luci. Miała też na sobie brylanty i perły.

Zmowy milczenia nie dało się dłużej utrzymać: natura ludzka jest naturą ludzką i Riseholme pękłoby, gdyby nie przemówiło. Jurusia, siedzącego w swoim malutkim saloniku z widokiem na ogród i zatopionego we wścieklej medytacji, wyrwał z zadumy czyjś głos w sąsiednim ogrodzie, wzywający go po imieniu. Wyjrzawszy, zobaczył niespotykany widok wózka pani Boucher ustawionego na trawniku Daisy.

Chyba jechała po ścieżce żwirowej prowadzącej do drzwi kuchennych - pomyślał. - Nie wiedziałem, że jest tam tak szeroko. Sprawdził, czy nie ma przekrzywionego krawata, po czym wychylił się.

- Jurusiu, chodź tu na minutę - zawołała Daisy. - Widziałeś?

- Owszem - odparł Juruś. - Idę.

Gdy dołączył do nich, pani Boucher deklamowała swoim donośnym głosem:

- Jeśli się tyczy pereł, nic nie mogę na ich temat powiedzieć, bo ich nie widziałam. Natomiast brylanty... jedyne, jakie posiadała, to były drobiazgi przy zegarku. Mogę na to przysiąc.

Panie nie zwróciły na niego uwagi. Daisy przypomniała opis sukni Luci.

- Uważam, że to była jej ostatnia suknia wieczorowa z doszytym trenem. Taki brokat.

- A jakże, bo plusz to taki aksamit - powiedziała pani Boucher. - Napisałabym do „Timesa”, że się mylą. Brokat! Bzdura! Przepycha się i rozpycha, nic to brylanty i perły. Powiedziałam, co myślę, i już. Nie zdziwiłabym się, gdybym przeczytała, że para królewska udała się na nieoficjalny obiad na Brompton Square.



- Dobrze, niech będzie - rzekła Daisy. - Ale co my mamy z tym zrobić?

- Zrobić? - zapytała pani Boucher. - W Riseholme jest pełno toboty, nieprawda? Na pewno nigdy nie narzekałam na brak zajęć i byłoby mi przykro, gdybym miała stwierdzić, że obecnie mam mniej zainteresowań niż tydzień temu w środę, czy tam czwartek... czwartek? kiedy oni uciekli? Bez względu na dzień, dla mnie to bez różnicy, a jeśli nie macie na dziś wieczór żadnych planów, to pułkownik i ja cieszylibyśmy się, gdybyście do nas przyszli na małą kolację. Pani i pan Juruś, i pan Robert oczywiście. Ale zostawmy te brylanty i perły. Ja zamierzam przywdziać na wieczór mą szmaragdową tiarę i kolbę z rubinów. Szafiry właśnie odesłałam do wyczyszczenia.

Lecz choć Riseholme było słusznie rozzłoszczone doczesnymi pasjami Luci, jej przepychankami i rozgłosem, rzadko kiedy w osadzie coś tak pobudzało ciekawość. Zresztą, jak tylko pierwsze emocje opadły, w zranionych sercach poczęło się inne, łagodniejsze uczucie: zaczęto postrzegać Lucię w nieco innym świetle. Prosto z bezpiecznego, kulturalnego życia Riseholme tralila w wielki, ruchliwy, rozgorączkowany świat i już zdążyła wycisnąć na nim swe znakomite piętno. Być może to ona dyktowała Hermionie, co ma pisać w tych szykownych artykułkach (ci, co najlepiej znali Lucię prawdopodobnie byli najbardziej kompetentni w formułowaniu odpowiednich wniosków), ale pod artykułkami widniał podpis Hermiony i teraz wszyscy wiedzieli, jak dowcipna i piękna była Lucia i jaki cudowny miała dom. Na dodatek w dniu swojego przyjazdu była gościem na szczególnie nobliwej kolacji, a od tego czasu przedstawiono ją nawet monarsze. To wszystko, uczciwie powiedziawszy, rzucało glorię na Riseholme, więc jeśli z jednej strony trudno się było za nią nie wstydzić, w innych okolicznościach jeszcze trudniej było nie porzuć się dumnym. Przybyła i ledwo zdążyła spojrzeć, zwyciężała. Można było uznać ją za swego rodzaju ambasadora, a w takim świetle jej zwycięstwa były zwycięstwami Riseholme. Lecz poi żucie dumy nie tuszowało wstydu ani wstyd dumy. Za każdym razem, gdy dygocąc z nerwów sprawdzano w gazecie, jakiego przestępstwa dopuściła się teraz, wszyscy po cichu cieszyli się z kolejnych triumfów Riseholme.

Dopiero następnego dnia po jej prezentacji przyszły do Riseholma wieści z kwatery głównej samej pani ambasador. Codziennie Juruś spodziewał się, że się odezwie i antycypując zaproszenie do apartamenciku z łazienką i salonikiem dokładnie przejrzał szafę, aby upewnić się, że zaprezentuje się godnie. Mała walizka, oświadczyła Foljambe, absolutnie pomieści wszystko, garnitur z Oksfordami i buty z tkanymi wierzchami. Gdy nadszedł długo oczekiwany list, Juruś uważał, że jest przygotowany i może wyruszyć tegoż popołudnia, więc niecierpliwie rozdarł kopertę i oparł list o imbryk z herbatą.

*GEORGINO MIO!*

*Odkąd wyjechaliśmy wszystko wiruje jak w kalejdoskopie i nie miałam ni chwili. Lecz dzisiejszego wieczoru (ach, jaka ulga) Pepino i ja zjedliśmy kolację sami za sobą, zupełnie a la Riseholme, i po raz pierwszy miałam wolne pół godziny, by poćwiczyć w moim saloniku muzycznym i napisać do Ciebie. (Skrzyczałbyś mnie za moją grę, zardzewiałam zupełnie.)*

*No, a teraz kolej na króciutką kronikę. Pierwszego wieczoru poszliśmy na wielkie przyjęcie do drogiej Aggie. Trochę ciekawych ludzi; przyjemnie rozmawiałam z włoskim ambasadorem i zajrzałam do nich następnego dnia, ale z nikim nie pogadałam dłużej, bo Aggie wciąż przyprowadzała kogoś nowego, żeby mnie przedstawić, i twoja biedna Lucia całkiem straciła głowę, dopiero potem posortowaliśmy ich wszystkich z Pepinem. Zdawałoby się, że wszyscy wiedzą o naszym przyjeździe i zapewniam cię, od tego czasu telefon jest prawdziwie natrętny, choć wszyscy są tacy mili. Czy byśmy poszli na obiad tu? Na kolację tam? Tu będzie prywatny pokaz, tam troszkę popołudniowego muzykowania; zapewniam cię, że nigdy dotąd mnie tak nie rozpieszczano.*

*My sami też już mieliśmy gości, kilku starych przyjaciół, jak na przykład nasz miejscowy poseł, pan Garroby-Ashton (raz go widziałam - pomyślał mimochodem Juruś). Uparł się, abyśmy przyszli do niego na herbatę do Izby Gmin. Wiedziałam, że Pepino będzie zainteresowany, więc poszliśmy. Herbatka na tarasie i przyjemna pogaduszka z premierem, który podszedł do nas i strasznie długo siedział przy naszym stoliku. Tak żałowałam, że nie możesz być z nami i szkicować Tamizy, właśnie takie widoczki potrafisz malować ślicznie! Cudowna rzeka, powtarzałam sobie: „słodka Tami*

*zo, bież cicho, aż skończę pieśń". A potem biegiem do domu, bo idziemy na kolację albo do teatru. Na dodatek najdroższa Aggie (niewiarygodnie dobra dusza) uparła się, żeby mnie przedstawić i nie mogłam jej zawieść. Czytałeś opis mojej sukni? Byłam taka ilu, że to wydrukowali w gazecie! To takie pospolite i w ogóle, a wiesz, jak ja nie cierpię rozgłosu, ale mówią mi tutaj, że muszę się z tym pogodzić i nie mieć żalu.*

*Dom powoli się organizuje, ale jest mnóstwo drobnych zmian i napraw, z którymi muszę się uporać zanim odważę się pokazać komuś tak krytycznemu jak Ty, Georgino. Wrzeszczałbyś na widok dywanu w pokoju jadalnym! Wiem, że dostałbyś od niego niestrawności. Ale jak tylko skończę, uprę się, abyś przyjechał bez względu na twoje plany i został bardzo długo. Ustalimy daty, gdy przyjadę w którąś sobotę.*

*Twoja ukochana Olga wróciła, ale jeszcze jej nie widziałam. Zaprosiłam na wieczór signora Cortese'go i ją. Wydawało mi się, że byłoby przyjemnie, ale oboje byli zajęci. Mam nadzieję, że nie pokłócili się. Jej dom stoi akurat naprzeciwko mojego, jest taki malutki, ale sądzę, że w zupełności wystarcza jej i jej małżonkowi. Będzie śpiewała na otwarcie sezonu operowego w „Lukrecji". Muszę się postarać i pójść, nawet jeśli wpadłabym tylko na jeden akt czy dwa. Pepino (ależ on ekstrawagancki) wykupił łożę na dwa wieczory w tygodniu. To jego prezent urodzinowy dla mnie, więc nie mogłam na niego nakrzyczeć! Poza tym sprawimy przyjemność przyjaciółom, jeśli wypożyczymy ją wtedy, gdy sami nie będziemy z niej korzystać.*

*Całuję wszystkich w drogim Riseholme. Czuję się całkiem lak wygnaniec i czasem tęsknię do tamtej słodkiej ciszy i spokoju. Lecz bez wątpienia Londyn bardziej pasuje Pepinowi, a ja muszę sobie jakoś radzić w tym nieustającym pośpiechu. Miałam nadzieję przyjechać na przyszłą niedzielę, ale pani Garroby-Ashton (słyszałam, że przy następnych królewskich urodzinach on ma otrzymać tytuł) koniecznie chce, abyśmy spędzili ten dzień u nich... Dobranoc, drogi*

*Lucia*

Juruś pochłonał ten list jednym haustem, a potem zaczął od początku, małymi łydkami. Przy pierwszym czytaniu odniósł wrażenie, iż pisała go zupełnie inna osoba, ale gdy go smakował po łycku,

poznał w każdym zdaniu cudownie typową Lucię. Ona nie przystosowywała się do nowych okoliczności, ona przystosowywała okoliczności do siebie z całym swoim sprytem i skutecznością, i niezniszczalną energią. Owszem, czasem należało czytać pomiędzy wierszami i odejmować mniej więcej dwie trzecie, by uwolnić się od przesady; a gdy Lucia pisała o nie zawiedzeniu najdroższej Aggie, która uparła się przedstawić ją na dworze, czy o pani Garroby-Ashton koniecznie chcącej, by pojechała do nich na ten weekend, który miała spędzić w Riseholme, Jursiowi przypomniało się, jak, jej zdaniem, zmuszono ją do pełnienia funkcji królowej majowego święta. Zwykłą siłą woli zmusiła każdego z nich, by się przeistoczył w Marian albo w Robin Hooda, czy kogoś innego, po czym, gdy już zapędziła wszystkich do roboty, oznajmiła, że to ona zaharowuje się na śmierć w związku z ich zabawą majową. To oni zmusili ją do zorganizowania całego przedsięwzięcia, uparli się, by została królową, prowadziła tańce, śpiewała ze wszystkich najgłośniej, by ją koronowano i przed nią bito ukłony. Byli jak wosk w jej dłoniach, a teraz, w nowych okolicznościach, Juruś był przekonany, że Aggie nie miała innego wyjścia, a pani Garroby-Ashton, zapędzona w róg na tym tarasie Izby Gmin, podczas gdy słodka Tamiza cicho płynęła, nie miała wyboru, musiała zaprosić Lucię na niedzielę. Siła woli i nieustraszony upór prowadziły ją, jak zawsze, prosto do celu. Tak została królową Riseholme i w Londynie tak samo pewnie pięła się w górę; i już zaczynała mówić, że wszyscy upierają się przy zapraszaniu jej na obiad bądź kolację, gdy faktycznie tracili wszelką władzę pod naporem jej woli. Nic jej teraz po Riseholme, była zajęta czymś innym; Juruś by jej tylko przeszkadzał, a więc winny był dywan w jadalni.

Dobrze - pomyślał Juruś z goryczą. - Skoro ona mnie nie chce, ja nie chcę jej. I już.

Energicznie schował list i zaczął myśleć, co ze sobą zrobić tego dnia. Było już na tyle ciepło, że mógł posiedzieć na dworze i malować. Zaczął właśnie szkic swego domu od strony błoni. Czekąco pianino, jeśli zdecydowałby się poświęcić ranek na muzykę. Nie przeczytał jeszcze gazety, powinien pozbierać nowiny; obok mieszkała Daisy Cjuantock, która z radością posiedziałyby nad planszatką, zaczynającą już pisać całymi wyrazami (poprzednio stawiała bezsensowne kreski i zawijasy). Jednakże żadna z tych

rzeczy, które obok długich rozmów, domowych zajęć i manikiuru od lat wypełniały mu życie i wymagały poważnego wysiłku, nie wzbudziła jego zainteresowania. I dobrze wiedział, czemu zagasła iskierka: zabrakło Luci. Choć powtarzał sobie, że jej nie chce, zaczynał bardzo za nią tęsknić, podobnie jak cała reszta Riseholme. Dręczyła ich i denerwowała, była wybitną hipokrytką (całe to udawanie, że nie zna duetu Mozarta i rozpacz po śmierci ciotki), była pozerką, była sztuczna i była snobką, ale miała w sobie coś,

To wszystkich pobudzało, aczkolwiek z trudem, do wzmożonej działalności; a chociaż działała na nerwy, nie pozwalała nikomu zgnuśnić. Juruś lubił malować, lecz przyjemność nabierała zupełnie specyficznego charakteru, gdy wiedział, że szkic pokaże I uci, a ona, wiedząc o malarstwie mniej więcej tyle co nosorożec, odsunie obraz na odległość ręki, przekrzywiając nieco głowę i mrużąc oczy, i oznajmi: - Tak, Jursiu, ładnie, bardzo ładnie. Ale

Czyżbyś poprawnie ocenił śródplan? I może więcej głębi w tle, nie uważasz?

A gdy grał na pianinie, wiedział, że zwinność jego palców inspirowała myśl, że zagra dla niej; a jeśli po kryjomu ćwiczył duet, Mory mieli grać razem, miał nadzieję, że uda się mu ją zaskoczyć choć zapewne podejrzewałyby, skąd u niego takie umiejętności), lesii zaś chodzi o rozmowy, bezskutecznie trzeba by zaprzeczać, /e nie kleiły się, gdy nałożono tabu na poczynania Luci.

Musimy się pozbierać - pomyślał Juruś - i zacząć od nowa. Musimy ruszyć z miejsca i nauczyć się działać bez niej, ponieważ ma świetnie sobie radzi bez nas. Pójdę, zobaczę, jak idzie planszетка.

Daisy już ją miała w dłoniach i ołówek nabierał rozpędu. Dzień czy

dwa wcześniej napisał nie raz, ale kilkanaście razy jakiś dziwny hieroglif, dający się rozczytać jako mistyczne słowo ABFOU. Toteż Daisy uznała (oczywiście), iż siła władająca owymi tajemnymi zawirowaniami zwie się Abfou, co wydawało się bardzo stare i egipskie. Dlatego też, wnioskowała, zawijasy, które nie dawały się przypasować do żadnej znanej kombinacji liter w angielskim, najprawdopodobniej były pismem arabskim. Czemu Abfou pisał swe imię alfabetem łacińskim, a przesłania po arabsku nie obchodziło Daisy, gdyż kto wie, jakie warunki panowały tam, po drugiej stronie?

Właśnie gdy wchodził Juruś, skończyła kartkę i choć widział na niej wyłącznie arabski, planszетка poruszała się tak szybko i chętnie, że Daisy zupełnie zapomniała zapytać, czy są jakieś nowiny.

- Za każdym moim posiedzeniem Abfou staje się coraz bardziej bezpośredni - powiedziała Daisy. - Jestem pewna, że niebawem dowiemy się czegoś ogromnie ważnego. Juruś, połóż dłoń na planszette. Zawsze wierzyłam w twoje moce mediumistyczne. Najpierw się skoncentruj, to znaczy wyrzuć wszystko ze swoich myśli. Posiedźmy minutę z zamkniętymi oczyma. Oddychaj głęboko. Rozluźnij się. Czasem pogrążysz się w lekkiej hipnozie, tak jest napisane w książce, to znaczy, że poczujesz się senny.

Przez chwilę panowała cisza. Juruś chciał powiedzieć Daisy

o liście od Luci, ale to z pewnością przeszkodziłoby Abfou'owi, więc przysunął krzesło, położył dłoń na dłoni Daisy, zamknął oczy

i oddychał głęboko. Zaczęły się dziać nadzwyczajne rzeczy.

Planszетка zadygotała, zaczęła podskakiwać jak gotujący się czajnik i suwać po papierze. Nie miał pojęcia, co oznaczają jej wybryki, wiedział tylko, że coś pisze. Być może po arabsku, ale pewnie i zdecydowanie. Wydawało mu się, że wcale jej nie popycha, prawie że ją powstrzymywał ze względów bezpieczeństwa. Otworzył oczy, ponieważ nie mógł nie popatrzeć na tę manifestację sił nadprzyrodzonych, a także chciał się upewnić (choć właściwie niczego nie podejrzewał), że jego towarzyszka, mówiąc bez ogródek, nie pcha.

Dokładnie takie same myśli przebiegały przez głowę Daisy i też otworzyła oczy.

- Juruś, coś ciągnie moją dłoń - zawołała podniecona. - Nawet staram się trochę to powstrzymywać.

- Moją też i ja również powstrzymuję - przyznał Juruś. - Cudowne! Czy nadal uważasz, że to arabski?

Ołówek pociągnął i stanął.

- Arabski - stwierdziła Daisy, przyglądając się przesłaniu - ale jest też pełno angielskiego.

- Nie! - Podniecony Juruś założył okulary, nie zważając na to, czy Daisy o nich wie, czy nie.

- Na mój gust to wygląda jak angielski, ale co za charakter! Popatrz, tu jest „Abfou”, prawda? I tam znowu „Abfou”.

Pochylili głowy nad zapisaną kartką.

- Jest „L” - krzyknęła Daisy - i tutaj też. I jeszcze „L od L”. I jeszcze „umrzeć” powtórzone dwa razy. Nie sądzę, aby to znaczyło, że Abfou umarł, ponieważ mamy namacalny dowód, że żyje. I jeszcze widzę „myszom”.

- Gdzie? - zapytał niecierpliwie Juruś. - Co może znaczyć „myszom umrzeć”?

- Tutaj - Daisy wskazała palcem. - Nie, tu nie jest napisane „myszom umrzeć”. Najpierw jest „umrzeć”, potem pełno arabskiego, a potem „myszom”.

- Nie wydaje mi się, że tu pisze „myszom” - oświadczył Juruś chociaż, oczywiście, ty lepiej znasz charakter Abfoua niż ja. Mnie to raczej przypomina „muzeum”.

- Może on chce, bym wysłała cały jego arabski tekst do Muzeum Brytyjskiego - zastanawiała się Daisy, zabłyszczawszy geniuszem. - Odczytają i powiedzą, co znaczy.

- Ale tu masz znowu „myszom” albo „muzeum” - pokazał

Juruś - a ten pierwszy wyraz to... to z pewnością... Riseholme! Klseholme myszom albo Riseholme muzeum. Nie mam pojęcia, co może znaczyć jedno czy drugie.

- Na pewno coś znaczy - powiedziała Daisy. - A tu mamy następne duże L. Jak uważasz, czy chodzi o Lucię? Ale „umrzeć”...

Nie, „umrzeć” nie ma nic wspólnego z „L”. Między jednym a drugim jest „muzeum” i dużo arabskiego.

Lepiej zapiszę dokładny czas, jak porządny naukowiec -stwierdziła Daisy. - Za piętnaście jedenasta. Nie, ten zegar spie-i/v się trzy minuty w porównaniu z kościelnym.

Nie, to ten na kościele się późni - przyznał Juruś. Nagle podskoczył. - Wiem! Popatrz: „L od L”, czyli list od Luci. Absolutna prawda. Dostałem dziś rano i mam go w kieszeni.

Nie! - wykrzyknęła Daisy. - To znak od Abfoua, że naprawdę jest z nami i wie, co u nas się dzieje. Dowód mamy jak się patrzy.

Oboje byli tak pochłonięci zapiskami, że Daisy nawet nie wyraziła najmniejszego zaciekawienia listem, ani Juruś nie zechciał podzielić się treścią.

No i „umrzeć” - powiedział Juruś, spoglądając przez okno. - Ciekaw jestem, co to znaczy.

- Naprawdę nie chcę, by dotyczyło Luci - rzekła Daisy ze stoickim spokojem - ale nie przychodzi mi do głowy nikt inny.

Wzrok Jursia błędził po błoniach. Pani Boucher poruszała się pędem na swoim wózku, popychana przez męża. W oddali spacerował ksiądz pleban, pani Antrobus, Świnka i Gąsia... chyba nikt inny nie umarł. A potem wrócił i popatrzył na frontowy ogródek Daisy.

- A co się stało twojej morwie? - zapytał mimochodem. - Liście jej zupełnie opadły. Nie powinnaś była prześwietlać jej korzeni nie wiedząc na pewno, jak to się robi.

Daisy podskoczyła.

- Jursiu, trafiłeś! To morwa umarła. Czyż to nie cudowne? Juruś okazał odpowiednie zaskoczenie.

- Dziwne, naprawdę bardzo dziwne. List od Luci, umarła morwa. Rzeczywiście wierzę, że coś w tym jest. Ale popatrzmy jeszcze na tekst. Teraz, jak na to patrzę, wydaje mi się, że tu na pewno pisze „muzeum Riseholme”, a nie „myszom Riseholme”. Jedyne problem, że w Riseholme nie ma muzeum.

- Za to myszy nie brakuje - zauważyła Daisy, która doświadczyła pewnych kłopotów z owymi gryzoniami. - Może Abfou chce podzielić się ze mną radą o jakiejś starożytnej egipskiej pułapce... Jeśli nie jesteś dziś rano za bardzo zajęty, Jursiu, to może spróbujemy jeszcze raz i zobaczymy, czy nie napisze nam czegoś bardziej konkretnego. Osiągnijmy pełnię skupienia się w sobie, jak każe podręcznik.

- A co to takiego? - zapytał Juruś.

Daisy poinformowała go, jakie są zasady posługiwania się planszatką. Skupienie się w sobie oznaczało jakby połączenie intensywnej koncentracji z całkowitą pustką w głowie.

- Chyba chodzi o to, aby skupić myśli na niczym - stwierdził Juruś, przeczytawszy instrukcję.

- Właśnie - przyznała Daisy. - Opróżniasz głowę z myśli, a potem skupiasz się. Mamy być jedynie narzędziem, przez które zadziała Abfou.

Najpierw wykonali więc kilka głębszych oddechów i rozluźnili się, a potem zasiedli znowu. Niemal natychmiast planszетка ruszyła po papierze, podążając pewnie i miarowo. Czasami zatrzymywała się na kilka minut, udowadniając tym samym autentyczność siły wiodącej, ponieważ mimo wysiłków, by się ze-



brać w sobie, myśli Daisy i Jursia pełne były spraw, o których chcieli usłyszeć od Abfoua, więc gdyby jedno albo drugie świadomie popychało planszетkę, przerw nie byłoby wcale. Kiedy wreszcie planszетка przekreśliła papier, dając do zrozumienia, że przekaz się skończył, rezultat był zdumiewający.

Abfou zapisał dwie kartki papieru kancelaryjnego, pismem prostym i wysokim, zupełnie nie przypominającym stylu Jursia czy Daisy. Tym samym po wtóre udowodnił, że jest prawdziwy (o ile takie dowody były konieczne). Pismo było względnie łatwe do odczytania i prócz dłuższego akapitu pod koniec, napisanego w całości po arabsku, był pisany prawie wyłącznie po angielsku.

- Popatrz, aż cztery razy napisał „Lucia” - powiedziała ożywiona Daisy. - Oraz „Pieprz”. Jaki pieprz?

Juruś syknął.

- Ależ Pepino, oczywiście - stwierdził. - To naprawdę dziwne. I popatrz, co tu dalej jest napisane: „duże to warzycho”... nie, „dużo towarzystwa, dużo ważnego towarzystwa, wyżej i wyżej”.

- Biedna Lucia! - rzekła Daisy. - Jakie to sarkastyczne. Oto, co Abfou myśli o całej sprawie. Na marginesie: jeszcze mi nie powiedziałaś, o czym pisała, zresztą wszystko jedno, to jest bardziej interesujące... Teraz trochę arabskiego, a przynajmniej innie się wydaje, że to arabski, bo niczego nie mogę odczytać, a po tym... nie do wiary, tu stoi „od Olgi”. Czy Olga się do ciebie odezwała?

- Nie - odparł Juruś - ale Lucia pisze o niej w liście. Może o to i chodzi.

- Bardzo możliwe. Mogę też odczytać „Riseholme” i to nie jest „myszom”, to bardzo wyraźnie „muzeum”, i... nie, tego nie odczytam, choć to wygląda na angielski, i jeszcze „opera”, to znowu „Olga” i „umrzeć”, czyli morwa. A potem: „lepiej pracować niż nie robić niczego. Nie żyw... co?”

- Mokrych - odczytał Juruś. - Nie, „przykrych”.

- Tak, „nie żyw przykrych myśli o nikim, lecz zwróć je ku rozwijającym czynom”. Jursiu, czyż to nie wspaniałe? Ale potem już tylko po arabsku, co za szkoda! Mógł napisać więcej o muzeum. Z pewnością pošlę wszystkie początkowe pisma arabskie do Muzeum Brytyjskiego.

Juruś zamyślił się.

- Jakoś nie wydaje mi się, aby to miał na myśli Abfou - powiedział. - Napisał „Muzeum Riseholme”, a nie „Muzeum Brytyjskie”. Z tego wyrazu w żaden sposób nie zrobisz „Brytyjskie”.

Juruś zostawił Daisy nad tekstem, pracującą nad wyłowieniem wszystkiego angielskiego, i umówił się na popołudnie w celu dalszych studiów.

W minutę po jego wyjściu u Daisy zadzwonił telefon.

- Jak ja nie lubię, gdy mi ktoś przerywa - mruzczała do siebie, biegnąc do aparatu.  
- Tak, tak. Kto mówi?

Głos Jurusia wyrażał całe opanowanie kogoś szalenie podnieconego.

- To ja. Właśnie odebrałem drugą pocztę i mam list od Olgi. „Od Olgi”, pamiętasz.

- Nie! - rzekła Daisy. - Mów szybko, czy pisze coś o...

Lecz Juruś odłożył już słuchawkę. Chciał przeczytać swój list. Daisy usiadła, wprost oszołomiona tą rewelacją. Najwyraźniej Abfou znał przyszłość na równi z przeszłością, ponieważ Juruś nic nie wiedział o liście Olgi, gdy w piśmie pojawiły się słowa „od Olgi”. A jeśli w tym liście ona napisze coś o „operze”, to będzie jeszcze bardziej wspaniałe.

Zaskoczona Daisy zobaczyła, że dochodzi południe. Ranek minął jak błyskawica (i to błyskawica o największej mocy objaśniającej). Daisy pochwyciła szpadel i grabki, chcąc poświęcić pół godziny przed obiadem na pracę w ogrodzie. Czowała się do pewnego stopnia rozdrażniona, bo choć spędzała w ogrodzie całe dni, zasiadając do planszетки dopiero po zmierzchu, gdy już nie sposób dostrzec labiryntu bawełnianych nici, porozciąganych nad obsianymi grządkami, by nie dopuścić do nich wróbli (zdarzyło się, że kilkoma nierozważnymi krokami zniszczyła całe fortyfikacje); mimo poobcieranych dłoni i zbolałego krzyża coraz mniej nadążała ze swoimi uprawami. Tamten łotr Simkinson, którego zwolniła za lenistwo, gdy przyłapała go w szopie z rozsadamami na paleniu fajki i rozwiązywaniu krzyżówek w czasie pracy, rzeczywiście utrzymywał niezły porządek w jej ogrodzie objając się w nim trzy razy w tygodniu. Owszem, prześwieciła korzenie morwy (i przy okazji zamordowała drzewo), co jej zajęło cały dzień, a choć śmierć tej wiekowej rośliny dała Abfou'owi pretekst do uwiarygodnienia się, dowody stawały się tak niezbite, że mało brakowało,

a Daisy życzyłaby sobie, aby nie istniały. Na dodatek w głębi duszy zaczynała wyrzucać sobie, że wypełła pewną liczbę młodych flanc, niedawno rozsadzonych przez Simkinsona, sądząc, że to chwasty. Na klombach i grządkach chwastów nie było już na pewno, ale nie pojawiła się tam też żadna inna roślina. Ponadto albo pomieszały się jej te małe drewniane tabliczki, albo właśnie zasadziła brokuły i la okrągłym klombie pod oknem jadalni zamiast floksa Drummonda. Wydawało się jej, że wysiane nasienie zaopatrzyła we właściwe tabliczki, ale wtedy było bardzo ciemno, a bez wątplenia rano na tabliczce było napisane „brokuły”. W takim razie u samego końca małego kuchennego ogródka wyrośnie grządka floksów. W obu miejscach nasiona już skielkowały, więc niezadługo będzie wiedzieć najgorsze.

No, i jeszcze skalniak, który kazała zrobić Simkinsonowi i który len zaniedbywał dla krzyżówek. Choć Daisy pracowała sześć do ośmiu godzin w ogrodzie codziennie od tamtego czasu, nie znalazła ani chwili, by tknąć choć kamień i szczątki zalegające ścieżkę niczym lawina uniemożliwiały dostęp do szopy z rozsadami, gdzie trzeba było się piąć jak alpinista. Te szczątki pochodziły ze średniowiecznych budowli z terenu starego opactwa, były tam kwiatony i części gotyckich okien, które wykopano przy budowie nowej boczniccy kolejowej, i prawie każdy sobie trochę tego wziął prócz pani Boucher, która stwierdziła, że to są śmiecie. Do tego była jeszcze pewna ilość skamielin, amonitów i szpatu oraz dziwaczne, przewiercone kamienie i kawałki talku, ponieważ jednego roku Lucia zapędziła wszystkich do badań geologicznych, wszyscy kupili młotki i obstukiwali ściany starego kamieniołomu, odłupując te skamieniałe relikty, przy okazji obtłukując sobie palce. W tym samym roku zaorano teren starego rzymskiego obozowiska pod miastem, a Riseholme szło za pługiem niczym stado wron. Juruś zebrał kilka tac fragmentów mieniącego się szkła, pułkownik Boucher wybierał ceramikę, a pani Antrobus znalazła brązową fibulę, czyli agrafkę. Daisy dostało się kilka kawałków rzymskiego muru i część rzymskiej rynny, które obecnie zalegały wśród materiałów na skalniak. Kupiła też, mniej więcej za cenę Ich wagi w złocie, tuzin monet z brązu. Tych, oczywiście, nie zamierzała umieścić w skalniaku, ale schowała bardzo dokładnie, po czym zupełnie zapomniała gdzie. Teraz, przy tych wszystkich

skojarzeniach archeologicznych, wynikłych z kontemplacji materiału na ogródek skalny, nagle przypomniało się jej, że chyba włożyła je głęboko do szuflady w stoliku od kart.

Daisy poczuła się chora na widok wszystkich tych antycznych kawałków - zaśmiały jej ścieżkę i wcale sobie nie mogła wyobrazić, jak utworzą skalniak choć w części atrakcyjny. W jaki sposób skonstruowanie kamiennej tralki, rynny oraz amonitu mogłoby stworzyć ciekawy widok? Poza tym kto miałby je skonstruować? Nie nadążała za pozostałymi potrzebami ogrodu, a zresztą, gdzie ów skalniak miałby się mieścić? Chyba jedynie tam gdzie szparagi, a wołała szparagi.

Robert ryczał przez okno jadalnego, że obiad na stole. Daisy pomyślała, że chyba lepiej będzie schować dumę w kieszeń i poprosić Simkinsona, aby wrócił. To jasne, że jeśli Daisy ma wypełniać rolę pośrednika między starożytnym Egiptem a nowymi czasami, ogród jeszcze szybciej popadnie w zaniechanie niż teraz. Niewątpliwie Robert zgodzi się schować dumę zamiast niej i powie Simkinsonowi, że nie dadzą sobie rady bez niego, że gdy nazwała go bumelantem, miała na myśli jego oddanie pracy, czy co tam będzie konieczne.

Robert miał dobry humor tego dnia, ponieważ rumuńska ropa naftowa, która stanowiła podstawę jego dochodu, opublikowała wyższe dywidendy niż zwykle, więc przyrzekł, że odszuka Simkinsona i wyjaśni mu znaczenie słowa „bumelant”, a jeśli ten nie zrozumie, załatwi sprawę honoru niewielkim napiwkami.

- I powiedz mu, że wcale nie będzie musiał robić skalniaka - powiedziała Daisy.  
- Nigdy mu się ten pomysł nie podobał. Może wykopać dół i zakopać w nim wszystkie skamieliny i architektoniczne szczątki, wszystko. W ten sposób najłatwiej się ich pozbędziemy.

- A co ma zrobić z ziemią wykopaną z tego dołu, kochanie? - zapytał Robert.

- Wsypać ją z powrotem, jak mi się zdaje - stwierdziła dość ostro Daisy.

Robert był tak zadowolony, że ją przyłapał, że nawet jej tego nie wytknął.

Po obiedzie Daisy odszukała monety. Dziwne, tak długo nie pamiętała, gdzie je schowała, a teraz nagle przypomniało się jej. Była skłonna przypisywać to olśnieniu Abfou'owi. Natomiast pojawił się problem, co z nimi zrobić, skoro się odnalazły. Na niektórych

można było dostrzec zarysy profili cesarzy rzymskich. Obiło się jej o uszy, że istnieją monety rzymskie o wielkiej wartości i była przekonana, że to właśnie te. Może razem z tekstami arabskimi powinna wysłać je do Muzeum Brytyjskiego, do identyfikacji? Po czym upuściła je wszystkie na podłogę, bowiem odurzyła ją pewna myśl.

Wybiegła pędem do ogrodu, wołając na Jurusia, który ustawiał bramki do krokieta.

- Jurusiu, mam! - oznajmiła. - Jasne jak słońce. Abfou chce, abyśmy założyli muzeum w Riseholme. Pomyśl, ile zarobilibyśmy w lecie na turystach amerykańskich! Wszyscy hurmem przyjechaliby je zobaczyć. Kazałabym płacić szylinga od osoby i sześć pensów za katalog.

- Zastanawiam się, czy właśnie to Abfou miał na myśli.

- Napisał - upierała się Daisy. - Nie możesz zaprzeczyć!

- Ale co mielibyśmy umieścić w tym muzeum?

- Mój drogi, pełno jest antyków i staroci, których nikt nie chce trzymać w domu. Są te piękne fragmenty kamieniarki opactwa, które mam ja i które po prostu marnują się w moim ogrodzie, gdzie nikt ich nie może zobaczyć. I moja rynna. Podarowałabym wszystko muzeum, skamieliny też i może jeszcze kilka monet. I jeszcze szczątki rzymskich murów.

Juruś stanął, trzymając w dłoni bramkę.

- To jest pomysł - przyznał. - A ja mam tyle kawałków ślicznego tęczowego szkła, co wiecznie się u mnie obijają. Mógłbym je podarować.

- I ceramika pułkownika Bouchera - krzyknęła Daisy. - Zaledwie parę dni temu mówił, jak bardzo jej nie cierpi, choć nie chce jej wyrzucić. Będziemy mieli problem, czego nie wziąć, a nie co

i skąd brać. Poza tym, jestem pewna, że o to właśnie chodziło Abfou'owi. Musimy natychmiast zawiązać komitet. Ty, pani Boucher i ja, to chyba wystarczy. Duże komitety są pomyłką.

- Luci nie? - zdziwił się Juruś, nadal wiemy.

- Nie. Absolutnie nie - powiedziała Daisy. - Tylko przysyłałaby nam rozkazy z Londynu i musielibyśmy wszystko odkręcać po jej powrocie. Oprócz tego upierałaby się, że to jej pomysł i mianowała się przewodniczącą!

- Coś w tym jest - zgodził się Juruś.

- Oczywiście, że jest - oświadczyła Daisy. - A teraz idę prosto do pani Boucher. Juruś kilka razy zgrabnie uderzył młotem ustawioną bramkę.

- Ja też pójdę - oznajmił. - Muzeum Riseholme! Abfou'owi chyba naprawdę o to chodziło. Znowu będziemy mieli zajęcie.

Komitet spotkał się tego samego dnia po południu, a także następnego dnia po południu i plan szybko nabrał kształtów. Robert, unoszący się na złocistych obłokach ropy rumuńskiej, został wezwany jako doradca finansowy. Po przeprowadzeniu pewnych obliczeń ocenił plan pozytywnie. Przez całe lato tłumy gości płynęły przez miasto, a na pewno ciekawscy Amerykanie nie ominą muzeum znajdującego się w miejscowości tak bardzo elżbietańskiej.

- Nie wiem, co będziecie trzymać w tym waszym muzeum - powiedział - ale sądzę, że pójda to zobaczyć, a jeśli nie znajdą wiele, to i tak zostawią po szylingu od osoby. A jeśli, jak mówi pani Boucher, jej mążonek wypożyczy nam swoją dużą stodołę za niewielką opłatą, to plan wasz ma szansę przynieść zyski.

Natychmiast poruszono kwestię funduszy na przystosowanie stodoły do potrzeb muzeum. Robert oświadczył, iż mógłby wyposażyć stodołę w konieczne sprzęty, jeśli by mógł zgarnąć dochód, lecz jego chęć do zajęcia się całą stroną finansową spowodowała, że cały komitet wyraził gotowość podzielenia się takimi obowiązkami, skoro trzeźwo myślący człowiek interesu wyraźnie dostrzegął możliwości. Do tej chwili nie pojawiła się wcale przyziemna kwestia pieniędzy - miało powstać muzeum, dzięki któremu znowu mieliby zajęcie. Komitet miał nim zarządzać. Z ochotą poświęciliby mu cały swój czas, ponieważ Riseholme było jednym z tych szczęśliwych miejsc, gdzie przysłowie „czas to pieniądz” absolutnie się nie sprawdzało, ponieważ nikt tam nigdy nie zarobił ani pensa na czasie. Lecz zważywszy na ocenę Roberta, że od strony finansowej muzeum byłoby korzystnym przedsięwzięciem, naturalnie komitet chciał mieć swój udział. Troje członków przekazało na ten cel po pięćdziesiąt funtów, po czym doradziło Robertowi, aby wstąpił do rady nadzorczej i dołożył resztę. Profity, o ile takie będą, zostaną podzielone pomiędzy członków, proporcjonalnie do wkładu. Zarządzałyby tym finansista Robert, a cała reszta zatrudni się przy kompletowaniu eksponatów.

Wszystko wskazywało na to, że ich nie zabraknie, ponieważ niemal każdy w Riseholme miał zmagazynowane najróżniejsze starocie i „okazy” zalegające po domach i potrzebujące wiecznego odkurzenia, i których nie wypadało wyrzucić. Kilka ciekawszych obiektów jedynie wypożyczono, między innymi monety Uaisy i fibulę pani Antrobus, lecz znakomitą większość, jak na przykład szkiełka Jurusia i ceramikę pułkownika Bouchera z wielką chęcią podarowano. Napłynęły przeróżne rzeczy: spory kawałek elżbietańskiego kołowrotka, móżdziej z tłuczkiem, stopy rzymskich kafli, duży drewniany pal bez mrugnięcia okiem zatytułowany pręgierzem, kilka nieczytelnych dokumentów na pergaminie ze zwisającymi pieczęciami, należących do proboszcza; wojskowa mapa terenu, obszerne kolekcje skamielin i rzeźbionych kamieni z opactwa, stare haftowane kołdry z łątek, kołyska, tak przeżarta przez korniki, że bez wątplenia datująca się od czasów anglosaskich, butelki o dziwacznych kształtach, dzban z pasiastej ceramiki, wilki do kominka, tak masywne, że nie nadające się do użytku oraz (po specjalnym głosowaniu rady parafialnej) dyby, które dotychczas stały na błoniach przy sławie. Znowu w Riseholme wrzało od pracy, bowiem skamieliny należało posortować (już na wstępie przekonano się, że nawet muzeum może cierpieć od nadmiaru amonitów), uszyć story do okien, wypisać tabliczki, poskładać z kawałków ceramikę, skompletować gabloty, sporządzić katalog. Minał martwy okres, trwający od dezercji Luci, i z pewnością cała sprawa nabierała specjalnego smaczku dzięki temu, że Lucia nie miała nic wspólnego z muzeum. Gdy zechce złożyć wizytę w swoim porzuconym królestwie, przekona się, jak oryginalnie i efektownie radzą sobie bez niej, a także, iż nie ma dla niej miejsca w komitecie i prawdopodobnie nie znajdzie się też miejsca dla elżbietańskiego różna, od którego tak często dymił kominek w jej saloniku muzycznym.

Rzeczywiście, Riseholme było bardziej zajęte niż zwykle nie tylko gorączkowymi przygotowaniem do otwarcia muzeum na czas przed sezonem turystycznym oraz zanim Lucia wreszcie przyjedzie na weekend, jak obiecywała, ale i serią parapsychologicznych eksperymentów. Daisy Quantock absolutnie szczerze przyznała, że wcale nie był to jej własny pomysł, ale Abfoua, jej

egipskiego przewodnika. To prawda, że przy interpretowaniu wskazówek Abfoua okazała się sprytna jak biblijny Józef, ale całe uznanie należało się Abfouowi, który najwyraźniej bardzo interesował się sprawami Riseholme. Nawet zaproponowała, że podaruje tę kartkę papieru kancelaryjnego, na której widniały słowa „Riseholme muzeum” (nie „myszom”), lecz w ogólnym przekonaniu komisji, która podziękowała jej za hojność, wystawienie karty na widok publiczny nie byłoby taktowne, gdyż owa sybillińska strona zawierała też sarkastyczne uwagi o Luci. Ponadto udowodniono, że Abfouowi bez wątpienia chodziło o otwarcie muzeum, ponieważ później kilkakrotnie napisał: „Bardzo zadowolony z planów muzeum. Abfou popiera”. Dlatego wszyscy chcieli skontaktować się z Abfou'em i członkowie riseholmowskiej socjety zamówili nie mniej niż cztery planszетки i ouije. Jak na razie, Abfou nie zmanifestował swojej obecności inaczej jak po (prawdopodobnie) arabsku (owszem, wyniki te bardzo przypominały początkowe próby nawiązania kontaktu z Daisy). Chociaż zalecała skrybom, aby nie tracili nadziei i cierpliwości, bo przewodnik wkrótce uraczy ich wszystkich angielszczyzną, wcale nie pragnęła, aby to stało się szybko. W kontaktach z nią stawał się z dnia na dzień coraz bardziej angielski i gdyby Simkinson, po szczegółowych wyjaśnieniach dotyczących prawdziwego znaczenia słowa „bumelant”, nie zgodził się na powrót do jej ogrodu, ten z pewnością zdegenerowałby się w prawdziwą dżunglę, gdyż Daisy nie mogła mu poświęcić ani minuty.

Jednakże Simkinson okazał się całkiem miły.

- O tak, proszę pani, z przyjemnością wrócę - oświadczył. - Wiedziałem, że długo bez mnie pani nie wytrzyma i nie oczekuję żadnych tłumaczeń. A teraz rozejrzyjmy się i zobaczmy, co pani narozrabiała. A cóż to się stało mojej morwie?

Takie już miał Simkinson przyzwyczajenie - zawsze mówił o „moich” kwiatach i „moich” szparagach, gdy miał na myśli jej.

- Prześwietlałam korzenie - wyjaśniła Daisy.

- Cóż, proszę pani, zrobiła pani, co mogła, by ją prześwietlić na dobre - stwierdził Simkinson.

- Ale nie wydaje mi się, żeby uschła. Sądzę, że się pozbiera. Jak wiadomo, Abfou twierdził, że umarła, ale może miał

na uwadze coś innego - pomyślała Daisy. Podeszli do okrągłego klombiku pod oknami jadalni.



- Floksy - powiedziała Daisy z nadzieją w głosie.

- Brokuły - oznajmił Simkinson, przyjrzawszy się małym, zielonym kielkom. - A co z tamtym długim klombem? Wysiałem tam pełno jednorocznych, ale nie widzę, aby coś wschodziło.

Przeszył ją rozbawionym wzrokiem.

- Chyba pani pęła, co? - spytał. - Będę musiał zdobyć mnóstwo sadzonek, jeśli chce tam pani trochę koloru. Za późno, żeby znowu siał.

Daisy żałowała, że z nim wyszła i zmieniła temat na weselszy.

- Cóż, jednak nie chcę skalniaka - oświadczyła. - O to nie musi się pan martwić. Te wszystkie kamienie wywiozą stąd za dzień lub dwa.

- Cieszę się, proszę pani. Będę się znowu mógł dostać do mojej szopy. No cóż, postaram się zaprowadzić tu porządek. Najlepiej od razu powyrywam te brokuły, chyba nie życzy sobie pani, aby rosły pod oknem, co? Niech się pani nie porywa na więcej niż walcowanie trawnika, proszę pani, jeśli koniecznie pani chce coś robić w ogródku. Wtedy nie wejdzie pani w szkodę.

Było to raczej przykre, takie usadzenie na miejscu, ale Daisy nie miała ochoty ryzykować następnej kłótni. Z ulgą zobaczyła, że w oknie pokoju jadalnego stoi Juruś (przyszedł polidżować, którym to terminem obecnie określano procesy metafizyczne, ujawniane za pośrednictwem planszетки lub planszy ouiija). Niewątpliwie odchwaszczanie traciło na znaczeniu w porównaniu z lidżowaniem.

- Nie wydaje mi się, abym powiedział ci, o czym pisała Olga - rzekł Juruś, jak tylko znalazła się w zasięgu głosu. - Mówiliśmy wyłącznie o muzeach. Aha, przyszła planszетка dla pani Boucher. Ale złamała się w trakcie przesyłki i teraz ją skleją.

- Wątpię, aby zadziałała - odparła Daisy.

- Co pisała Olga? Zupełnie zapomniałam cię zapytać.

- Zachowała się bosko - oznajmił. - Zaprosiła mnie na wieczór premierowy. Śpiewa Lukrecję i ma dla mnie bilet.

- Nie! - rzekła Daisy, wykonując próbną jazdę po bibule, by sprawdzić, czy ołówek jest dobrze naostrzony. - To ci będzie wydarzenie! Myślę, że pojedziesz.

- Powiedzmy - odparł Juruś. - Na dodatek przedstawienie będzie transmitowane przez radio. Ja zaś będę słuchać oryginału.

- Bardzo interesujące - zauważyła Daisy. - Proszę, zatrzymasz się przy Brompton Square, akurat naprzeciwko Luci. Odezwała się do ciebie? Co pisze?

- Najwyraźniej świetnie jej idzie - powiedział Juruś. - Ani chwili wytchnienia. To, co uwielbia.

Daisy odsunęła planszетkę na bok. Będzie na to czas po tym, jak porozmawia o Luci.

- Czy i do niej pojedziesz?

Juruś powiedział sobie, że powstrzyma się od złośliwości. Nie brał udziału (albo robił to w niewielkim stopniu) w radosnym zdeptywaniu lucinego majestatu.

- Z radością, jeśli mnie zaprosi - odrzekł. - Pisze, że zaprosi. Oczywiście, złożę jej wizytę.

- Ja bym nie złożyła - stwierdziła cierpko Daisy. - Gdyby mnie zapraszała pięćdziesiąt razy, powiedziałabym pięćdziesiąt razy „nie”. Przecież ona nas rzuciła. Nie chciałabym jej w naszym komitecie muzealnym nawet gdyby... gdyby nawet podarowała nam swoje perły i powiedziała, że należały do królowej Elżbiety 1. Zastanawiasz mnie, Jursiu. Nie masz temperamentu.

- Owszem, mam - zaprzeczył Juruś - i przyznam, że jej list sprawił mi przykrość. Ale jakie to ma znaczenie?

- Żadnego, oczywiście, jeśli zatrzymasz się u Olgi - przyznała Daisy. - Znienawidzi ciebie za to!

- Nic na to nie poradzę. Lucia mnie nie zaprosiła, a Olga tak. Dwukrotnie przypominała Oldze, że może ćwiczyć w jej saloniku muzycznym, gdy tylko zechce. Miłe, nieprawdaż? Jaka byłaby szczęśliwa, gdyby mogła mówić, że Olga wciąż ćwiczy u niej. Czyż nie jesteśmy złośliwi? Lepiej połidźmy.

Gdy następnego dnia Juruś przyjechał na Brompton Square, dowiedział się, że Olga zjadła obiad wcześniej oraz że ma zjeść kolację sam, a potem pojechać do niej do opery.

- Zaraz padnę z nerwów - oświadczyła Olga, kiedy ją zobaczył. - Zawsze jestem w takim stanie przed występem. Wreszcie robię się tak zdesperowana, że biorę się w garść. Jeżeli - mówię „jeżeli” - przeżyję do północy, będziemy tu mieć małe przyjęcie. Przyjdzie Cortese i księżniczka Isabel, i jeszcze jedna czy dwie osoby. Jursiu, twój przyjazd świadczy o twojej wielkiej odwadze,

wiesz, ponieważ mojego męża nie ma w domu, i jestem bezbronną kobietą, przy której znalazł się Don Juan. Jak się ma Riseholme? Mów mi o Riseholme. Czy zaręczyłeś się już ze Świnką? I czy na klombie Daisy wyrosły brokoły czy floksy? Twój list był pełen tajemnic. Niczego jeszcze nie wiem o muzeum. Czy zamierzacie udusić Lucię, dać ją do wypchania i postawić w hallu? Po prostu nadmieniałeś o muzeum, jakbym wszystko wiedziała. Jeśli nie zaczniesz mówić, to ja zacznę wrzeszczeć.

Juruś ochoczo rzucił się do pracy, uszczęśliwiony tym, że może coś dla Olgi zrobić. Długo i z emfazą mówił o historii Riseholme od czasu pierwszego arabskiego objawienia na planszecie i Abfoua, aż po powrót Simkinsona. Olga z uwagą wysłuchiwała kroniki i wstała całkiem rażno, gdy weszła pokojówka i przypomniała, że już czas.

- A jednak brokoły - zaśmiała się. - Obawiałam się, że będą to jednak floksy. Jesteś aniołem, Juruś. Pomogłeś mi przetrwać straszną godzinę. Dam ci co zechcesz dla muzeum. Poczekaj po spektaklu na mnie przed drzwiami dla wykonawców. Wrócimy razem.

W tej samej chwili, gdy na scenie pojawiła się Olga, wiadomo było, że opera odniesie sukces. Cortese, który dyrygował, skomponował muzykę dobrą i bardzo do niej pasującą; ona zaś śpiewała, grała i wyglądała świetnie. Po pierwszym akcie kurtyna wędrowała do góry raz po raz i dopiero gdy widownia się nasyciła, Juruś mógł rzucić kilka spojrzeń tu i tam na obecnych. W półmroku niewielkiej łoży na drugim balkonie dostrzegł kobietę posyłającą w jego kierunku całusa oraz mężczyznę machającego programem. Gdy obraz nabrał ostrości, zobaczył, kim byli. Pobiegnął na górę spotkać się z nimi i oto była Lucia w zaskakująco krótkiej spódnicy, z obciętymi i wycieniowanymi włosami. Na jej szyi widniały trzy sznurki drobnych perełek.

- Georgino mio! - wykrzyknęła. - Ależ to niespodzianka! Przyjechałeś ujrzeć jak nasza Olga triumfuje. Nazywam to prawdziwą lojalnością. Dlaczego nie powiadomiłeś mnie, że przyjeżdżasz?

- Pomyślałem, że odezwę się jutro - odparł Juruś, a jego oczy wędrowały od pereł do fryzury i do nóg.

- Czyżbyś nocował w mieście? - zapytała. - Nie wracasz pociągiem o północy? Kochany stary pociąg, gdy budzisz się w Riseholme! Będziesz w swoim klubie?

- Nie, jestem u Olgi - wyznał Juruś.

Zdawało się, że Lucię trafił chwilowy atak katalepsji, ale pozbierała się.

- Nie! Naprawdę? - zdziwiła się. - Uważam, że to nieładnie z twojej strony. Mogłeś mnie powiadomić, że przyjeżdżasz.

- Ale pisałaś, że dom nie jest gotowy - tłumaczył. - Natomiast ona mnie zaprosiła.

Lucia uśmiechnęła się jasno.

- Cóż, wybaczam ci - powiedziała wspaniałomyślnie. - Jeszcze nie możemy się odnaleźć. I wcale nie widzieliśmy się z najdroższą Olgą, a raczej panią Shuttleworth, tak bowiem jest na afiszach. Oczywiście, odwieziemy cię i będziesz musiał wpaść do nas na chwilkę, zanim przyjedzie pani Shuttleworth. Jak sądzę, będzie bardzo zmęczona i zechce od razu się położyć.

Mówiąc to obiegała wzrokiem widownię i od czasu do czasu uśmiechała się lub unosiła dłoń w nieokreślonym kierunku.

- Ach, oto Elsie Garroby-Ashton - rzuciła. - Któż to z nią, Pepino? Lord Shrivensham z pewnością. A więc pojedziesz z nami i tłośkę pogadamy, Jursiu. O, tam jest pani ambasadorowa włoska. Najmilsza Gioconda! Wyjątkowo słodka. Popatrz na łożę królewską, co za zgromadzenie! Tam jest łoża królewska, tam na lewo, duża, na pierwszym balkonie. Jak na mój gust zbyt blisko sceny, traci na tym iluzja...

Nagle Lucia wstała i złożyła głęboki dyg.

- Wydaje mi się, że nas widziała, Pepino, chyba lepiej ukłoń się. Nie, już patrzy gdzieś indziej, nie zdążyłaś. Ileż ludzi w łoży najdroższej Aggie. Kto to może być? Ach tak, Toby Limpsfield. Pamiętasz, spotkaliśmy go u Aggie, pierwszego wieczoru tutaj. A więc spotkamy się przy głównym wejściu, Jursiu, i pojedziesz z nami. Nie wątpię, że będziemy jeszcze kogoś podwozić, ale gdy ma się samochód, trudno nie podwozić przyjaciół. Zawsze podwożę. Niebawem zaczną nas nazywać „podwozicielami Londynu”, jak powiedziała Marcia Whitby.

- Obawiam się, że nie mogę - wyznał Juruś. - Czekam na Olgę. O ile mi wiadomo, będzie u niej małe przyjęcie.

- Nie! Doprawdy? - zapytała Lucia z całą riseholmowską emfazą. -Kto będzie?

- Zdaje się, że Cortese - powiedział Juruś, obawiając się, że Lucia nie przeżyje, gdy usłyszy o księżniczce - i jeden czy dwóch wykonawców.

Luci ślinka napłynęła do ust. Przełknęła szybko. Właśnie na takie przyjęcie pragnęła zaproszenia. Jakże byłoby cudownie móc poczynić mimochodem aluzijkę do maciupęknego przyjętka u Olgi wieczorem po premierze... właściwie trudno by to nazwać przyjęciem, zaledwie kilku intimes: ona, Cortese i tak dalej. Może mogłaby udawać, że nic nie wie o przyjęciu i wpaść po sąsiedzku, żeby jej entuzjastycznie pogratulować? A może udać, że nie przyjechał samochód i trzymać się w pobliżu wejścia dla artystów razem z Juruś (Pepino mógłby pojechać samochodem do domu), i Olga ją podwiezie? A może powinna zrobić wyraźną aluzję, że bardzo chciałyby pójść tam choć na minutę? A może, skoro już wie, że to przyjęcie będzie, po prostu udawać, że na nim była. Chyba jednak najlepszym sposobem będzie aluzja w kierunku Jirusia...

Jej chwilowy brak zdecydowania przerwało pojawienie się Corlesego wśród orkiestry oraz przygaszenie świateł. Juruś pospieszył z powrotem na swoje miejsce na parterze, nie dając jej więcej szans i czując, że udało mu się uciec, bowiem Lucia już wierceła go wzrokiem, właśnie tak, jakby czegoś chciała i zamierzała to mieć. Uznał, że absolutnie się mylił, sądząc, iż Lucia się zmieniła. Była zupełnie taka sama, przesunięta do większego wymiaru. Rozwinęła się: być może to dziwne, ale w Riseholme była zaledwie pakiem.

Ciekaw jestem, co ona robi? - pomyślał Juruś, zasiadając na swym miejscu. - Strasznie chce przyjść.

Opera skończyła się triumfalną fetą z bukietami, wywoływaniem i ukłonami. Był to swego rodzaju ewenement, premiera oraz londyńska prapremiera „Lukrecji”. Zrobiło się późno, zanim wreszcie wyszła ukwiecona Olga.

Przyjęcie, które w zamyśle wcale nie miało być przyjęciem, cudownie rozrosło się w trakcie wieczoru, ponieważ przyjaciele przysyłali pozdrowienia i gratulacje, a Olga ich zapraszała do siebie, więc gdy z Juruśm zajechali na Brompton Square, wzdłuż całego zakrętu stały samochody.

- O niebiosa, ileż to ja ludzi zaprosiłam - zdziwiła się. - Za to będziemy się świetnie bawić. Krzesel nam absolutnie nie starczy, ale możemy siedzieć na podłodze. Kolacji też nie wystarczy, ale wiem, że mamy szynkę. Nie ma nic lepszego ponad szynkę. Och, Juruś, jestem szczęśliwa.

Naprzeciwko, po drugiej stronie wąskiego placyku, Lucia obserwowała przybywanie wszystkich tych samochodów. Aby lepiej widzieć, przeniosła się na balkon saloniku. Stamtąd pilnowała wysiadających przez lornetkę teatralną. Był lord Limpsfield i ambasadorowa Włoch, pan Garroby-Ashton, Cortese i jakaś kobieta, której pan Garroby-Ashton się uklonił, a jego małżonka złożyła dyg. Fala przeszła. Za nią księżna Whitby (Marcia - Lucia podsłuchiwała, że tak do niej mówiono) weszła na schodki i też dygnęła, ale, jak dotąd, na pewno Olga i Juruś jeszcze nie przyjechali. Tak wielu znamienitych gości zjawilo się przed gospodynią, lecz Lucia natychmiast pojęła, że była to szykowna nieformalność najwyższego lotu. Z pewnością witał ich pan Shuttleworth, ale jakże to wszystko było wspaniałe!... Po czym błysnęła myśl, że Olga przyjedzie, a z nią Juruś i Lucia poczuła, że robi się cała jaskrawozielona z bezsilnej zazdrości. Juruś w tym towarzystwie! To niemożliwe, aby on się tam znalazł, a ona nie, a z pewnością tak będzie, jeżeli czegoś nie wymyśli. Juruś pojedzie z powrotem do Riseholme i opiszę to zgromadzenie, i powie, że Luci wcale tam nie było: domyślał się, że jej nie proszono.

Luci przyszło coś do głowy. Pospieszyła na dół i wyszła z domu. Samochody jeszcze podjeżdżały, może więc zdąży. Ustawiła się na posterunku w samym środku cienia padającego od lampy gazowej stojącej nieopodal drzwi wejściowych domu Olgi i czekała.

Na placyk zajechał jeszcze jeden samochód pełen kwiatów. Olga wysiadła, a Lucia skoczyła do niej.

- Och, pani Shuttleworth! - wykrzyknęła. - Wspaniale! Cudownie! Niespotykanie! Gdyby żył Beethoven! Nie mogłam myśleć o zaśnięciu, musiałam skoczyć przez ulicę i podziękować pani za tę rewelację! Juruś drogi! Tylko uścisk ci dłoń, to wszystko. Wszystko! Nie będę was zatrzymywać. Widzę, że ma pani gości. Cudowna królowa śpiewu!

Czasem Olga miała dobre serce. Na chwilę spojrzała Juruśowi w oczy.

- Och, proszę, niech pani wejdzie - zapraszała - bardzo proszę. To nie jest przyjęcie, to po prostu wpadł każdy, kto się dał namówić. Juruś, bądź tak kochany i pomóż mi wnieść te wszystkie kwiaty. Jakie to miłe z pani strony, że pani przyszła. Wiem,

że wybaczy mi pani, jak pobiegnę, ponieważ wszyscy (mam nadzieję, że wszyscy) moi goście już są, a nie ma nikogo, kto by się nimi zajął.

W ślad za nią postępowała Lucia. Nie zwracając już uwagi na Jurusia, wśliznęła się tuż za Olgą do malutkiego frontowego saloniku. Panował tam ścisk. Dlaczego Lucia nie przewidziała takiej możliwości? Dlaczego nie posłała wcześniej liścika Oldze, prosząc, aby traktowała jej dom jak własny i zaprosiła gości tam, do obszernego pokoju muzycznego? Zwykła uprzejmość sąsiedzka. Lecz gorycz i żal wkrótce ulotniły się, wyparte słodyczą chwili obecnej. Wkrótce pograżyła się w rozmowie z panią Garroby-Ashton, rozdając równocześnie uśmiechy i skinienia głowy wszystkim, z którymi zawarła bliższą, dalszą lub jakąkolwiek znajomość. Osobistość krwi królewskiej stała przy kominku i było to jedyne ziarnko goryczy, ponieważ Lucia nie miała bladego pojęcia, kim była owa dama. Następnie wszedł Juruś w charakterze kwiaciarni i Lucia napotkała następne ziarnko goryczy, bowiem Olga podprowadziła go do tej osobistości i przedstawiła. Nic to, z łatwością wyciągnie z Jurusia tytuł damy, nie pytając. Juruś uklonił się całkiem niezdarnie, upuścił większość kwiatów i powiedział: „paskudztwo”.

Lucia odpląnęła od pani Garroby-Ashton i stanęła w pobliżu księżnej Whitby. Wydawałoby się, że Marcia nie poznała jej od razu, ale to dało się szybko naprawić, i po krótkiej, a miłej rozmowie Lucia zaprosiła ją na obiad, na którym spotka Olgę, jednocześnie notując w pamięci, by zaprosić Olgę na ten sam dzień na obiad, żeby spotkała się z księżną Whitby. Następnie przysunęła się w pobliże centrum uwagi, po drodze usidlając lorda Limpsfielda, używszy drogiej Aggie jako przynęty. Musi pamiętać i zadzwonić do niej następnego dnia rano i zaprosić ją, by przyszła spotkać lorda Limpsfielda.

To wystarczyłoby na razie. Lucia pozwoliła sobie cieszyć się chwilą. Zgromadzeni mszyli na dół, na kolację, a Lucia, która przykleiła się do lorda Limpsfielda, spłynęła uszczęśliwiona do maciupkiej jadalni Olgi. Zobaczyła natychmiast, że nie wystarczy krzeseł dla gości. Stały tam dwa małe okrągłe stoliki i to wszystko, cała reszta będzie musiała stać i raczyć się przy wąskim bufecie biegnącym wzdłuż jednej ze ścian.

- Bawimy się w komórki do wynajęcia - zawołała wesoło Olga. - Szybsi zdobędą miejsca siedzące, a inni nie. Tony, usiądź koło księżniczki Cortese, ty siadaj z drugiej strony. Wszyscy dostaniemy coś do jedzenia wcześniej czy później. Juruś, stań przy bufecie, kochany jesteś, i bardzo się tam przydawaj. Aha, najpierw pobiegnij na górę i przynieś papierosy, są niezastąpione, gdy rwie głód. Idzie nam świetnie. Marcia, kochanie, zostało jedno krzesło, zajmij je.

Lucia pozostała nieco w tyle, żeby zaprosić Olę pojutrze na obiad, a Olga powiedziała, że z przyjemnością przyjdzie, a więc udało się zorganizować rozkoszne małe przyjęcie. Do całkowitej pełni szczęścia jeszcze przydałaby się prezentacja jak dotąd anonimowej księżniczce i poznanie jej imienia. Lucia zręcznie podniosła jej wachlarz i wyraziła, jak bardzo się jej podobał, więc udało się jej zamienić z nią kilka cennych słów, lecz wciąż nie wiedziała, jak się nazywa. Zapytanie kogokolwiek było nie do pomyślenia, ponieważ wtedy można by się domyśleć, że Lucia nie wie.

Juruś wpadł, jak to się mówi w Riseholme, zobaczyć się z Lucią następnego dnia rano, gdy Olga pojechała na próbę do Covent Garden. Znalazł Lucię w salonie muzycznym, pochłoniętą Strawińskim. Przyjęcie u Olgi nie trafiło do „Timesa”, niestety, i Lucia nadal nie wiedziała, kim była księżniczka.

Choć poprzedni wieczór był najprzyjemniejszy ze wszystkich dotąd spędzonych w mieście, rozsądniej będzie udawać przed Juruś, że tego rodzaju wydarzenie było najzwyczajniejsze w świecie, więc przez pewien czas Lucia nic o tym nie wspomniała.

- Ach, Georgino! - ucieszyła się. - To miłe z twojej strony, że wpadłeś. Dzięki *buona fortuna* mam dzisiaj rano wolną godzinę, zanim Sophy Alingsby - droga Sophy, nadzwyczajny umysł - zabierze mnie na jakiś zamknięty pokaz, więc mamy czas na rozmowę. Tak, to ten salon muzyczny, a zanim pójdziesz, oprowadzę cię po reszcie naszej siedziby. Niezły ten pokój - tam są te sławne krzesła Chippendale - jak tylko się zainstalujemy na dobre, wydam przyjęcie wieczorowe albo dwa, z muzyką. Będziesz musiał przyjść.

- Z radością - rzekł Juruś.

- Żyliśmy w prawdziwym wirze, a z dnia na dzień jest coraz gorzej - ciągnęła Lucia. - Czasem Pepino i ja wychodzimy razem,



częściej zdarza się tak, że on idzie na kolację tu, a ja tam - tak się robi w Londynie, wiesz - i czasem prawie go nie widzę cały dzień. Dziś rano jeszcze go nie widziałam, a właśnie mi powiedziano, że wyszedł. Tak się świetnie bawi, że moje zmęczenie jest nieistotne. Ach, ten telefon! Nigdy nie przestaje dzwonić. Czasem zaczynam myśleć, żeby w ogóle pozbyć się go z domu, bo nie daje mi spokoju. Ciągle ktoś chce rozmawiać z Papinem lub ze mną

Mimo wszystko podążyła śpiesznie do aparatu. Bynajmniej nie myślała o pozbyciu się telefonu, ponieważ dopiero co go zainstalowano.

Rozmowa, niestety, okazała się rozczarowująca, gdyż dotyczyła pary butów. Jednakże Juruś nie musiał o tym wiedzieć i oznajmiła, przykładając palec do czoła:

- Tak, postaram się o 3.30 (co nie znaczyło nic) - po czym szybko odłożyła słuchawkę. - Ani chwili spokoju - zwróciła się do Jirusia. - Dryń, dryń, dryń od rana do nocy. A teraz opowiedz mi o Riseholme, Jirusiu. Chcę się pograżyć w wielkim i pysznym spokoju. O rety, któż to idzie nam przeszkodzić?

Był to tylko Pepino. Wydawał się nie zagoniony i raczej niepotrzebnie wyjaśnił, że wyszedł tylko do apteki przy Brompton Road kupić szczotkę do zębów. Niósł ją w papierowej paczusce.

- Ten monter przychodzi dziś rano, Luciu - powiedział. - Chciałaś telefon u siebie w sypialni, prawda?

- Tak, kochanie, skoro już doprowadziliśmy go do domu, to niech będzie rozmieszczony dogodnie - odparła. - Jestem przekonana, że kilka dobrych mil w górę i w dół po schodach... właśnie mówiłam Jirusiowi...

Pepino zaśmiał się.

- Postawiła ich na nogi, Jirusiu - rzekł. - Lucia nie pozwoliła na żadne londyńskie lenistwo. W rekordowym czasie doprowadziła do domu telefon. Nie dała im spokoju, póki nie założyli.

- To bardzo mądre - przyznał taktownie Juruś. - Inaczej niczego się nie załatwi. Jeśli chodzi o Riseholme... bardzo byliśmy zajęci.

- Kochana stara miścina! - rozrzewniła się Lucia. - Opowiedz mi wszystko.

Juruś szybko rozważył, czy powinien wspomnieć o muzeum, /decydował się jednak tego nie robić, ponieważ z którejkolwiek by na to nie spojrzeć strony, prócz tego, że umożliwiło dogodne

pozbycie się interesujących śmieci, muzeum miało charakter konspiratorski; było elementem polityki zemsty na Luci za jej dezercję oraz demonstracją, jak cudownie radzili sobie wszyscy bez niej. Wobec czego tylko mamy konspirator udzieliłby informacji osobie, przeciwko której to wszystko było skierowane.

- Cóż, Daisy doświadcza prawdziwie nadzwyczajnych rzeczy

- powiedział. - Ma planszę ouija i planszетkę - najczęściej posługujemy się planszетką - i dość szybko okazało się jasne, że otrzymuje przesłania od przewodnika z zaświatów.

Lucia zaśmiała się wysokim metalicznym tonem o dość złowrogim wybrzmieniu.

- Droga Daisy - rzekła. - Gdyby tylko chciała wziąć sobie rozsądek za przewodnika. Przypuszczam, że przewodnikiem jest Chaldejski astrolog lub król Nebuchadenezor.

- Bynajmniej - odparł Juruś. - To Egipcjanin i nazywa się Abfou. Na krótką chwilę Lucia poczuła, jak przeszywa ją zazdrość.

Mogła sobie dobrze wyobrazić, jakie podniecenie ogarniało Riseholme, jak Juruś wpadałby do niej, by jej o wszystkim powiedzieć, jak sama kupiłaby ouiję i otrzymywałaby dwa razy więcej przesłań niż Daisy. Nie mogła ścierpieć, że Daisy ma Abfoua całkiem dla siebie i zaśmiała się chichotliwie.

- Daisy jest nieoceniona - przyznała. - Co jej przekazał Abfou?

- Było to bardzo dziwne - powiedział Juruś - Tego ranka, kiedy przyszedł twój list, Abfou napisał „L od L”, jeśli to nie oznacza „list od Luci”, to nie wiem, co innego mogłoby to być.

- Równie dobrze mogłoby znaczyć „landrynki z Leamington”

- rzekła uszczypliwie Lucia. - I co jeszcze?

Juruś poczuł, że konwersacja podchodzi niebezpiecznie blisko muzeum i usiłował lekko zmienić temat.

- Ee, takie tam sprawy. No i miała straszne kłopoty z ogrodem. Zwolniła Simkinsona za to, że rozwiązywał krzyżówki zamiast podwiązywać krzewy i uparła się, że sama wszystkiemu podoła. Posiała brukselkę na okrągłym klombie pod oknem jadalni.

- Nie! - rzekł Pepino, słuchający z rozrzewnieniem kroniki.

- Owszem, a w warzywniku floksy.

Spojrzał na Lucię i uświadomił sobie, że patrzy na niego oczyma jak świdry, a więc zaczął się obawiać, że przeszedł zbyt gwałtownie od Abfoua do upraw Daisy.

Kontynuował wylewnie.

- Poza tym wykopała wszystkie sadzonki Simkinsona i prześwietliła korzenie morwy, i prawdopodobnie ją zamordowała - ciągnął. - Ponadto, jak było tak ciepło w zeszłym tygodniu, nie, jeszcze tydzień wcześniej, wydobyłem swój ekwipunek malarski i zacząłem szkicować mój dom od strony błonia. Foljambe ma się świetnie i, i... - nic już nie umiał wymyśleć prócz muzeum.

Lucia odczekała, aż mu się concept skończył.

- Co jeszcze powiedział Abfou? - zapytała. - „L od L” nie zajęłoby wam wiele czasu.

Juruś musiał ponownie rozważać o mądrości milczenia. Lucia wyraźnie się czegoś domyślała i gdy przyjedzie na weekend, przekona się, że całe Riseholme jest pochłonięte sprawami muzeum, a wtedy jego powściągliwość nabierze bardzo podejrzanych barw.

- Ach, tak, muzeum - powiedział z udaną lekkością. - Abfou powiedział nam, żebyśmy założyli muzeum i idzie nam świetnie. W stodole pułkownika Bouchera. I Daisy dała te wszystkie kawałki, z których miała zrobić skalniak, a ja dam moje rzymskie szkło, pułkownik Boucher da ceramikę i mapę terenu, no i jest pełno skamielin, i trochę monet.

- Komitet? - zapytała Lucia.

- Tak. Daisy, pani Boucher, i ja, zaproponowaliśmy Roberta - opowiadał z afektowaną beztróską.

Powtórnie poczuła, jak przeszywa ją jakiś bezimienny ból. Nieobecna, obecna, to ona powinna być przewodniczącą komitetu, powinna powiedzieć im dokładnie, co mają robić i jak. Zresztą, czuła, że to wszystko da się naprawić podczas weekendowej wizyty w Riseholme.

Na razie wystarczyło jej, że wyciągnęła sekret z Jurusia jak korek z butelki, z hałasem i strumieniem wynurzeń.

- Bardzo ciekawe - oświadczyła. - Muszę pomyśleć, co mogłabym wam dać do muzeum. Cóż, miło się nam pogadało.

Juruś nie umiał jej powiedzieć, że gdyby już przeniesiono z błonia do stodoły, gdyż miał w pamięci, że to Lucia i Pepino podarowali je Radzie Parafialnej. Obecnie Rada Parafialna podarowała je muzeum i dlatego to Rada powinna zmierzyć się z darczyńcami, a nie on.

- Sympatyczna pogawędka - przyznała Lucia. - I cóż za miłe przyjęcie było poprzedniego wieczoru. Tylko wpadłam, aby pogratulować naszej drogiej Oldze pozytywnego, doprawdy bardzo pozytywnego odbioru „Lukrecji”, ponieważ myślałam, że mogłaby się poczuć urażona (artyści są tak wrażliwi), gdybym nie złożyła mojego maleńkiego trybuciku, a potem sam widziałeś, że nie chciała mnie puścić, tylko nalegała, abym weszła. Było to dla mnie bardzo przyjemne, można było spotkać tak wielu przyjaciół, i zająrzałam z prawdziwą radością.

W ten sposób Lucia dokładnie sformułowała to, co chciała przekazać. Absolutnie nie zamierzała ucierać Oldze nosa, ale chciała pokazać Juruśowi, gdzie jest jej własne miejsce. Najzwyczajniej z sympatii poszła na ulicę, aby pogratulować Oldze, po czym zawleczono ją na przyjęcie.

Niestety, Juruś nie wierzył ani jednemu słowu: zdążył już dojść do wniosku, że Lucia zastawiła pułapkę, gdyż tak prędko i na czas zjawiła się z cienia rzucanego przez lampę gazową. Dlatego też odezwał się dokładnie takim samym tonem. Lucia będzie wiedzieć...

- Rzeczywiście, to miłe z twojej strony - powiedział entuzjastycznie. - Jestem przekonany, że Olga ogromnie doceniła twoje przyjście. Zapominalska, nie zaprosiła ciebie od razu! Jeśli zaś chodzi o pozytywny odbiór „Lukrecji”, to wydaje mi się, że odniosła najwspanialszy sukces, jaki sobie można wyobrazić.

Lucia poczuła, że jej zachowanie nie całkiem odniosło zamierzony skutek. Chociaż nie chciała, aby Juruś (i Riseholme) wiedział, że ona uczestniczyła w bezkrytycznym uwielbieniu Olgi, z pewnością nie chciała, aby Juruś powtórzył Oldze, że nie uczestniczyła. Poza tym jeszcze chciała dowiedzieć się czegoś bliższego o księżniczce.

- Niewątpliwie, Juruśu drogi, to wielki sukces. Była przy wspaniałym głosie i wyglądała czarująco. Jak wiesz, jestem strasznie krytyczna, ale z pewnością mogę to powiedzieć. Tak. A przyjęcie było pyszne. Wiele interesujących osób. Zauważyłam, że wesoło rozmawiałeś z księżniczką.

Pepino, który spał, gdy Lucia wróciła w nocy i nie widział się z nią rano, nie słyszał o księżniczce.

- Księżniczka? Która? - zapytał Lucię.

Jak on mógł? Lecz przewodnik Luci (ważniejszy niż Abfou wobec biednej Daisy) musiał mieć na specjalnym względzie jej problemy tego ranka, gdyż zaledwie Pepino wyrzekł te nieszczęsne słowa, zadzwonił telefon. Lucia podążyła do aparatu i protestując z powodu męczącego przeszkadzania, pozostawiła odpowiedź Jurusiowi.

- Tu pani Lucas - rzekła Lucia. - Covent Garden? Tak. Proszę mnie połączyć... Dzwoni kochana Olga. Zapewne w sprawie „Walkirii” na przyszły tydzień...

Jurusia olśniła pewna myśl. Był przekonany, że Lucia odpowiedziałaby na pytanie Pepina natychmiast, gdyby wiedziała, jak nazywa się księżniczka. Zauważył, że mimo iż Lucia cały czas była w pobliżu, nie została przedstawiona czołowej osobistości wczorajszego wieczoru i olśniła go myśl, że Lucia nie zna nazwiska damy. Zauważył też, że Lucia pilnie słucha zarówno telefonicznego rozmówcy, jak i jego. Jeśli Lucia (nie miał już co do tego wątpliwości) chce wiedzieć, to musi nagiąć swój dumny kark i go zapytać...

- Tak, droga divo, to ja - powiedziała Lucia. - Nie mogłam wcale zasnąć. Całą noc miałam w uszach „Lukrecję”. Wspaniałe. Pani do mnie dzwoniła?

Mina jej zrzędała.

- Jestem rozczarowana, że nie może pani przyjść - powiedziała. - Jest pani niegrzeczna. Będę musiała sprezentować pani małe kalendarzyki, gdzie będzie można takie rzeczy zapisywać...

I znowu przewodnik Luci ją wsparł. Jej twarz pojaśniała. Jaśniała niemal nieziemsko, podczas gdy Lucia słuchała przeprosin Olgi i dalszych propozycji.

- W niedzielę wieczorem? - powtórzyła. - Niech chwilę pomyślę... tak, jestem wolna. Cieszę się, że mówi pani o niedzieli, ponieważ pozostałe wieczory mam zajęte. Cudownie. Z przyjemnością znowu spotkam księżniczkę Isabel. Do widzenia.

Triumfalnie odłożyła słuchawkę.

- O co mnie pytałeś, Pepino? Ach tak, księżniczka Isabel. Droga Olga nalega, abym przyszła w niedzielę na kolację, to ponownie ją spotkam. Jaka to miła kobieta.

- Myślałem, że na niedzielę jedziemy do Riseholme - zauważył Pepino.

Lucia zrobiła mały gest rozpacz.

- Moja biedna głowa! - wykrzyknęła. - To ja powinnam nosić kalendarz przypięty na łańcuchu. Co mam zrobić? Nie chciałabym rozczarować drogiej Olgi. Ale ty jedź, Pepino, jak zamierzałeś. Wiem, że tęsknisz za haustem wiejskiego powietrza. Jestem przekonana, że Juruś da ci kolację jednego wieczoru, a drugiego przyjedzie do ciebie. Zrobisz tak, Juruś, kochanie? Kochany jesteś. A teraz, kogo mam zaprosić w miejsce Olgi na jutrzejszy obiad? Chyba panią Garroby-Ashton. O rety, dochodzi dwunasta, a Sophy skrzyczy mnie, jeśli każe jej czekać. Ależ ten czas rano leci! Dopiero zaczęłam ćwiczyć grę na pianinie, kiedy przyszedł Juruś i prawie z nim nie pogadałam, a tu już czas wychodzić. Nie wiem doprawdy, co będzie z moją poranną pocztą. Mimo to nalegam, żebyś pojechał po swoje wiejskie powietrze, Pepino. Ja tu będę miała wystarczająco dużo zajęć ze wszystkimi moimi zaległościami.

Lucia musiała napisać jeden liścik przed wyjściem i w czasie, gdy go na kolanie pisała, posłała Pepina, aby pokazał Juruśowi dom.

Liścik zaadresowała do pana Stefana Merriall w redakcji „Gazety Wieczornej” i posłała go przez umyślnego. Za ledwie się drzwi za nim zamknęły, a przyszła Sophie Alingsby i razem podążyły na zamknięty pokaz wystawy postkubistów, aby zatopić się w sztuce owych nadzwyczajnych twórców. Było trochę portretów i trochę pejzaży. Zwykle z łatwością dało się odróżnić jedno od drugich, ponieważ bliższe oględziny ujawniały oko lub jakieś usta, albo drzewo czy dom. Lucia szczególnie entuzjasmowała się widokiem mostu Waterloo, ale pomyliły się jej numery w katalogu i okazało się, że jest to portret żony artysty. Na szczęście nie wyczytała na głos, że ogląda most Waterloo, choć wymknęło się jej coś na temat rzeki, ale to można było łatwo zatuszować entuzjazmem.

- To zbyt cudowne! - powiedziała. - W jakiś sposób trafiają aż do sedna każdej rzeczy! Jak mówił Wordsworth: „sam puls maszyny”. To pulsujące, nieprawdaż?

Pani Alingsby była wysoka, dziwna i egzaltowana, ubrana jak rajski ptak, którego stargał wicher. Miała świetne koneksje, długie proste włosy spadające na czoło i czasami na oczy, a na głowie nosiła szkarłatną dżokejkę z przypiętą z przodu gigantyczną kameą.

Nienawidziła wszelkiej sztuki sprzed 1923 roku i sporo z tego, ro powstało później. Jednakże w przypadku muzyki opowiadała się za prymitywizmem i uważała, że Bach był dekadentki. W literaturze preferowała opowieści bez wątku, a poezję bez metrum i znaczenia. Lecz zgromadziła wkoło siebie grupę interesujących banitów: mężczyzn wyglądających jak kobiety i kobiety nie przypominające niczego, i choć nikt nie wiedział, o czym mówili, o nich się mówiło. Lucia trafiła na jedno z jej przyjęć, podczas którego siedzieli w pokoju o czarnych ścianach i słuchali wczesnej muzyki włoskiej na szpinet, a do kosza na węgiel drzewny, ustawionego w błękitnym kominie, dosypywano kadzidła... Luda uważała, że do pewnego stopnia ta znajomość może się przydać, gdyż na pewno pobudzała zainteresowanie.

- Wordsworth? - zapytała Sophy. - Aaa, tamten, wiem o kogo ( i chodzi. Pisywał o jeziorach Westmorland. Drętwy smutas.

Nałożyła swe wielkie okulary w rogowych oprawkach, aby przyjrzeć się portretowi żony artysty. Jej ciało zaczęło poruszać się zwinnym kolistym rytmem.

- Cudowne! Cóż za rytm! - orzekła. - Sigismund jest z nich wszystkich najbardziej rytmiczny. Ciebie powinien namalować, zrobiłby z ciebie coś wspaniałego. Coś andanta, niemalże adagio. Będzie u mnie w niedzielę. Przyjdź, to go spotkasz. Śniadanie około wpół do pierwszej. Wegetariańskie. Z koktajlami.

Lucia chętnie przyjęła owo niepospolite zaproszenie. Będzie to posiłek interesujący i progresywny. W początkowych tygodniach z rozmysłem eksperymentowała; zamierzała zagarnąć w swą sieć wszystko, co posiadało znamiona dystynkcji, po czym stopniowo to posortować. Nie była snobką w ciasnym tego słowa znaczeniu. Myłaby bardzo niezadowolona, gdyby na jej liście znajdowały się wyłącznie nazwiska osób wysoko urodzonych. Oczywiście, takie osoby były bezpieczne - trudno było popełnić błąd, jeśli się zaprosiło na herbatę księżną, ponieważ księżna jako taka posiadała dystynkcję, lecz nawet gdyby przyszły wszystkie księżne co do jednej - herbatka mogłaby być rozczarowująca, chociażby w pokoju roilo się od księżnych. Lucia chciała samej pianki z fali życia, z samego wierzchu. Polowała na wszystko, co przejawiało taki charakter, a także na wszystko to, co było obiecująco dziwaczne, nawet jeśli przy tym musiała bywać na wegetariańskich koktaj-

lach i dać się sportretować jak żona artysty, której brew widniała w jednym rogu obrazu, a zamiast twarzy miała coś na kształt suszonego kalafiora.

Zawsze tak postępowała. Bez względu na to, co myśleli ci śmieszni starzy mieszkańcy Riseholme, natychmiast zwabiła zonglera, geologa i psychoanalityka i eksploatowała ich, póki nie pękli.

Niestety, Pepino nie był tak szybki jak ona. Od kadzideł u Sophy zaczął kichać, w ślad za prymitywnymi dźwiękami szpinetu zaczął chrapać - tyle go uwzniośliły. Choć więc Luci nie przeszkadzało zameczanie się na śmierć, ponieważ Pepino tak interesująco się bawił, wcale nie miała nic przeciwko temu, aby pojechał wypocząć na niedzielę do Riseholme. W tym czasie ona zje wegetariański obiad z postkubistami i kolację z księżniczką. Doprawdy nie wiedziała, na co czeka z większą niecierpliwością, ponieważ księżniczka była bezpieczna, lecz postkubiści mogą się okazać niebezpiecznie korzystni pod względem towarzyskim. Trudno było mieć swoją kolekcję księżnych i księżniczek, gdyż były zbyt niezależne. Lecz gdyby nagle zrobiła się moda na postkubizm, Lucia już umiała sobie wyobrazić, że jej salonik muzyczny, ba, nawet sławne krzesła chippendale, zostają pomalowane na czarno, a portret cioci pędzla Sargenta łąduje na strychu. Nie mogła modą pokierować, ponieważ nie była (jeszcze) tutaj najwyższym arbitrem, jak w Riseholme, lecz gdyby taka się rozszalała, z pewnością będzie umiała jak nikt inny sprawić wrażenie, że to ona odkryła postkubizm.

Lucia spędziła pracowite popołudnie przy korespondencji i telefonie, w międzyczasie wpadając do pani Sandeman na filiżankę herbaty, która uratowała jej życie. Przekonała się że nie ma potrzeby opowiedzenia najdroższej Aggie o przyjęciu, które odbyło się poprzedniej nocy u Olgi, ponieważ przyniesiono już „Gazetę Wieczorną”, a w niej znalazł się barwny opis podany niezrównanym stylem Hermiony. Hermiona przekonał się, że w puzderkowej rezydencji primadonny przy Brompton Square znalazło się wielu przyjaciół - *très intimes* - zaproszonych, aby uczcić gigantyczny sukces „Lukrecji” i pogratulować pani Shuttleworth. Wśród gości znalazła się księżniczka Isabel, która przywdziała swe cudowne turkusy, rozmawiająca z signorem Cortese (księżniczka Isabel mówiła płynnie po włosku). Pośród innych przyjaciół Hermiona



zauważył księżną Whitby, lorda Limpsfielda, panią Garroby-Ashlon i panią Lucas.

W ostatnim tygodniu czerwca tajemnica wieczoru piątkowego zawisła nad sobotnim porankiem...

Nie ma wątpliwości, że późnym wieczorem do domu Przy Zagajniku zajechała taksówka wioząca kogoś z dworca, lecz z powodu ciemności nie udało się ustalić, kto to był. Wcześniej, po południu, dokładnie wymyto wszystkie okna. Być może po prostu potrzebowały mycia, lecz gdyby tą taksówką przyjechał Pepino czy Lucia, zapewne zmanifestowałyby w jakiś sposób swoją obecność albo kolektywnemu oku Riseholme, albo kolektywnemu uchu (zresztą przyjechaliby razem samochodem). Lecz Daisy była pewna, że fortepian milczał, ani też u nikogo nie zadzwonił telefon. A także, gdy wyjrzała przez okno około wpół do jedenastej w nocy, i trochę później, gdy kładła się spać, nie zobaczyła żadnych świateł w domu Luci.

A jednak ktoś przyjechał, a ponieważ pokoje służby wychodziły na tył domu, prawdopodobnie był to służący lub kilku służących. Sprawa ogromnie zainteresowała Daisy, więc zeszła niespokojnie na dół, by przez kwadrans połóżować w nadziei, że Abfou jej powie. Zupełnie nie była w stanie nic sensownego wymyśleć, zaś Abfou, napisawszy raz czy dwa „muzeum”, przeszedł na gwałtowny i niezrozumiały arabski. Nie zadzwoniła do Jurusia po pomoc w rozwiązaniu zagadki, miała bowiem nadzieję, że rozwiąże ją samodzielnie i będzie mieć dla niego gotową odpowiedź. Znowu udała się na górę i po sesji głębokiego oddychania oraz kąpieli stóp naprzemiennie w gorącej i zimnej wodzie w celu spowodowania senności, Daisy była rozbudzona jak nigdy. Jej świetnie wytresowany umysł biegł za śladami prowadzącymi donikąd. Nie potrafiła znaleźć niczego, co prowadziłoby w jakimś rozwojowym kierunku. O Luci nie było wiadomo nic, prócz informacji ogólnie dostępnych dla każdego, kto wydał pensa na „Gazetę Wieczorną”. Nie napisała do nikogo, nie dała żadnego znaku i gdyby nie „Gazeta Wieczorna” w oczach Riseholme mogłaby uchodzić za zmarłą. Lecz „Gazeta Wieczorna” udawadniała, że żyje i to jak, jeśli wierzyć Hermionie. Widziano ją tu, tam i wszędzie w Londynie. Hermiona zauważył ją rozmawiającą

z przyjaciółmi w parku, zasiadającą z przyjaciółmi w łoży w Operze, na zakupach na Bond Street, kibicującą grze w polo (u licha, nie odróżniała konia od krowy!) w Hurlingham, a nawet na tratwie w Henley. Sama też wydawała przyjęcia: kolacje i przyjęcia przy muzyce, a zjadła kolacje w tak wielu domach, że Daisy je policzyła, mając nadzieję, iż więcej razy była na kolacji niż spędziła wieczorów w Londynie, lecz, niestety, rachunek się idealnie zgadzał. Teraz znowu Sigismund maluje jej portret, a ona sama nie napisała ani słowa, nie pojawiła się wcale w Riseholme...

Oczywiście, Juruś się z nią widział, gdy pojechał do Olgi, ale to, co powiedział po powrocie, wcale nie było pocieszające. Ona stwierdziła, że nie obchodzi jej, jak bardzo będzie zmęczona, póki Pepino tak świetnie się bawi w Londynie. - Dlaczego więc - pomyślała Daisy z uczuciem rozzłoszczonego niedowierzania - Pepino zjechał do Riseholme sam kilka tygodni temu, wyglądając jak mina człowieka? Moim zdaniem, to bardzo dziwne - wymamrotała Daisy, przewracając się na drugi bok.

Dziwne. Na dodatek Pepino dziwnie się zachowywał. Wieczorem zjadł u Jurusia kolację, następnego wieczoru Juruś poszedł do niego, ale nie usłyszał o Luci niczego ponad to, co Hermiona zdążył roztrąbić na cztery światy strony. Poza tym Pepino nie pokazywał się wcale tamtej niedzieli, tylko pani Antrobus, która poczuła się źle podczas śpiewania psalmów w niedzielę rano i wyszła z kościoła, zobaczyła go, jak stoi na czubkach palców i spoziera do wnętrza muzeum przez to okno, które wychodziło na wykopaliska rzymskie. Pani Antrobus (która poczuła się o wiele lepiej, jak tylko wyszła na powietrze) podeszła do niego całkiem blisko, zanim ją zauważył, a wtedy krótko przywitał się z nią, zupełnie jakby była komitetem muzealnym, i odszedł tak szybko, że nieodwołanie odniosła wrażenie, iż chce być sam. Dziwne to było i całkiem nie-honorowe, podglądanie w taki sposób przez okno, i najwyraźniej właśnie dlatego nie poszedł do kościoła, myśląc, że w tym czasie nikt go nie zauważy. Daisy nie miała najmniejszej wątpliwości, że szpieguje dla Luci, która kazała mu tylko zbierać informacje, ale nie mówić nic, ponieważ choć wiedział, że Juruś był członkiem komitetu, nie wspomniał o muzeum ani na jednej kolacji *tête-à-tête*, ani na drugiej. Prawdopodobnie zaczął szpiegować, jak tylko kościół napełnił się ludźmi, i gdyby nie zrządzenie losu, że pani

Antrobus słabo się poczuła, nikt o niczym by nie wiedział. A tak, być może zdążył zajrzeć do każdego okna zanim go spostrzegła I wiedział, co znajdowało się w muzeum. Od tego czasu muzeum c eremonialnie otworzyła lady Ambermere, wypożyczając (bynajmniej nie darując) mitenki, które, jak twierdziła, należały do królowej Karoliny (niemożliwością było udowodnić, że nie należały), a komitet zamówił story, które rozwiązały definitywnie problem szpiegostwa.

Ten poniżający proceder miał miejsce trzy niedziele wstecz I dlatego przez trzy tygodnie (licząc od poniedziałku) Lucia musiała wiedzieć o muzeum. A jednak nie porozumiała się słowem na ten temat lub inny, nie domagała się członkostwa w komitecie, nie sprezentowała elżbietańskiego różna, od którego tak często dymił jej kominek w saloniku muzycznym. Ani też nie napisała, że powinni wszystko inaczej zorganizować. Nikt, kto znał Lucię, nie mógł wątpić, że miała plany lub też politykę dotyczącą muzeum, ale jej polityka (jak dotąd spowita tajemnicą) mogła ograniczać się do wiecznego i całkowitego ignorowania go. Byłoby to straszne, gdyby zamierzała nie zwracać nań uwagi, lecz Daisy wątpiła, by ktoś na jej miejscu i mając jej władczy charakter, był zdolny do tak nieludzkiego wręcz opanowania. Bynajmniej: ona zamierzała coś zrobić, gdy wróci, ale nikt nie miał pojęcia co, a tym bardziej kiedy wreszcie przyjedzie.

Daisy przewracała się z boku na bok, usiłując rozwikłać te problemy. Była pewna, że Lucia ukarze ich wszystkich za założenie muzeum podczas jej nieobecności, bez pytania o jej radę, bez błagania jej, by została przewodniczącą i że będzie chora ze złości, gdy dowie się o jego sukcesie. Zaczął się już sezon turystyczny i niekończąca się procesja autokarów wędrowała przez Riseholme; całe wycieczki przyjeżdżały na obiad do gospody Pod Herbem Ambermere i aby zwiedzić muzeum. W pierwszym tygodniu muzeum odwiedziło 126 gości, co równało się tyluż szylingom, nie mówiąc już o sprzedanych katalogach za sześć pensów. Nawet członkowie komitetu płacili po szylingu, gdy chcieli popatrzeć na własne eksponaty i zdarzył się prawdziwy Incydent, gdy lady Ambermere chciała wprowadzić wszystkich Nwoich gości za darmo, ponieważ wypożyczyła królewskie mitenki do muzeum.

Juruś akurat wieształ jeszcze jeden swój obraz, wszystko słyszał i schował się za zasłonę. Mały chłopiec, którego zadaniem była opieka nad kołowrotem (kupionym za bezcen w zbankrutowanym cyrku), trzęsąc się ze strachu absolutnie nie chciał obrócić kołowrotu, zanim nie otrzyma wymaganej ilości szylingów i nie obchodziło go, czyje mitenki wypożyczyła lady Ambermere, a gdy grożąc mu komitetem chwyciła katalog, nie zapłaciwszy, ten nieustraszony młodzieniec chodził za nią powtarzając „sześć pensów, proszę jaśnie pani”, aż jeden z gości, by zapobiec publicznej kłótni, wysupłał tę nieznaczną sumę. A jeśli Lucia miałaby ochotę wejść za darmo, twierdząc, że z Pepinem podarowali dyby Radzie Parafialnej, która wypożyczyła je do muzeum, przekona się, jak bardzo się myli. Wreszcie, po dłuższych kalkulacjach, ile to byłoby pieniędzy, gdyby co tydzień 126 osób wpłaciło po szylingu, Daisy zapadła w niespokojny sen.

Następnego dnia rano (w niedzielę), tajemnica gościa, który przyjechał do domu Przy Zagajniku poprzedniej nocy nabrała rumieńców. Uważano, że przyjechała tylko jedna osoba, jednak nie było wątpliwości, że do kuchennych drzwi domu Przy Zagajniku dostarczono kilka funtów łososa, tuziny („Dosłownie tuziny” - stwierdziła pani Boucher - bo widziałam kosz”) jaj, dwie kury, udziec jagnięcy oraz niezliczone inne produkty; przez błonia ciągnął się istny korowód dostawców. Nawet gdyby tajemniczym przybyszem była sama Lucia, nie dałaby rady tego wszystkiego zjeść do poniedziałku, chyba że wir światowego życia w Londynie w dziwaczny sposób wpłynął na jej apetyt. Poza tym, dlaczego nie zadzwoniła do Jurusia czy kogokolwiek i nie otworzyła okna od sypialni w ten gorący poranek? A może był to ponownie Pepino, zesłany na wypoczynek i odkarmienie jego wychudzonego ciała? Ale przecież nie przyjechałby bez jakiejś opieki, służby... Riseholme całkiem zgłupiało. Nigdy dotąd moc rozumowania indukcyjnego nie zabłądziła tak całkowicie, bowiem choć tyle wnoszono do domu Przy Zagajniku, wychodzili stamtąd jedynie posłańcy z pustymi koszami.

Juruś i Daisy nie rozumiejąc patrzyli na siebie przez płot w ogrodzie, a gdy zrozpaczeni szukali rozwiązań u wieszczego Abfon'a, udzielał im ich wyłącznie rwanym arabskim.

- Co udowadnia - stwierdziła Daisy, chowając zde gustowana planszatkę - że nawet on nie wie albo nie ma ochoty nam powiedzieć.

Nadeszła pora obiadu, lecz marne były apetyty w Riseholme (wyjąwszy owego Gargantuę, o którym nic nie było wiadomo). A jednak Riseholme wolałoby umrzeć długą i bolesną śmiercią, niż podejść do domu Przy Zagajniku, nacisnąć dzwonek i zapytać, czy jest Lucia. Niedoczekanie, aby Lucia dowiedziała się, że w najmniejszym stopniu interesują ich jej poczynania przeszłe, obecne czy przyszłe.

Około trzeciej Juruś siedział na błoniach naprzeciwko swego domu, kończąc szkic, który przysłoniły sprawy muzeum. Postawił go do góry nogami na sztalugach i dawał więcej błękitu na niebo, gdy usłyszał klakson samochodu. Uniósł wzrok, a to, co zobaczył spowodowało, że jego ręka zadrgała i wielki kobaltowy kleks spadł na środek domu z czerwonej cegły. Albowiem samochód zatrzymał się przed domem Przy Zagajniku, w odległości niecałych stu jardów, a wysiedli z niego Lucia i Pepino. Lucia wydała polecenia szoferowi, po czym nie zauważywszy Jurusia (może nie zauważywszy) podążyła za Pepinem do domu. Zmył kleks z grubsza i pospieszył do Daisy, by opowiedzieć jej szczegółowo całe zajście.

- Nie! - wykrzyknęła Daisy.

Wyszli do ogródka i stanęli w cieniu morwy, żeby zobaczyć, co się będzie dalej działo. Morwa przeżyła prześwietlenie korzeni (a więc to nie o niej Abfou powiedział, że umarła) i dała im dobre schronienie. Dalej nie działo się nic.

- Ależ to niemożliwe - powiedziała konspiracyjnym szeptem Daisy. - Przyjeżdża nie mówiąc nic żadnemu z nas, ale skoro już jest, na pewno do kogoś zadzwoni.

Juruś myślał intensywnie.

- Zobaczysz, że teraz przyjedzie ze stacji służba z bagażami. Będą tu za minutę, właśnie słyszałem jak gwizdał pociąg o 3.20. Ona z Pepinem przyjechali samochodem.

- Nie zdziwiłabym się wcale - oświadczyła Daisy. - Ale jednak *iv* kurczaki i tyle jajek? Jurusiu, to pewnie kucharz przyjechał wczoraj wieczorem. Ona i Pepino poszli w Londynie na kolację, a kucharz zamówił całą tę dostawę dziś rano. Ale przecież to wszystko starczy im na tydzień. I trzy pinty śmietanki, słyszałam jeszcze, i lodu, że starczyłoby na lodowisko, i...

I wtedy Juruś tak zabłysnął intuicją, że na wieki zapisał się w pamięci Riseholme.

- Lucia zaprosiła na weekend swoich modnych przyjaciół z Londynu. Z nas nikogo nie chce.

Daisy zamrugła, porażona błyskawicą, następnie rzuciła jedno miażdżące spojrzenie w kierunku domu Przy Zagajniku.

- Ona! - rzekła. - Ona i jej krótka fryzurka. Jej perełki! I w ogóle!

Nie upłynęła minuta, a zajechała taksówka dworcowa, na której piętrzyła się piramida bagażu. Wsiadły cztery osoby, trzy kobiety i jeden mężczyzna.

- Majordomus - oznajmiła Daisy i bez słowa pomaszerowała z powrotem do domu, żeby wypytać Abfoua. Przybył natychmiast i na całej kartce popisał „snob”.

Nie było powodów, aby Juruś nie skończył szkicu, więc ponownie usiadł do sztalug i zaczął usuwać resztki pechowego kobaltu. Był tak pewien swojej przepowiedni, że najzwyczajniej pozostawił ją, aby się sama wypełniła i przez następną godzinę pracował w absolutnym skupieniu jak nigdy dotąd. Widział, jak Daisy wychodzi od siebie i idzie bardzo szybkim krokiem. Domyślał się, że poszła roznieść nowinę i przepowiadać konsekwencje. Juruś był przekonany, że na weekend przyjeżdżają goście z Londynu, ale nie umiał wyobrazić sobie, jakie mogą być tego rezultaty. Możliwe, że Lucia zaprosi jego albo Daisy, albo kilku swych starych przyjaciół na kolację, ale gdyby miała taki zamiar, z pewnością już by go wykonała. Wydawało się, że pozostawała jedyna możliwość, to znaczy, że zamierzała zupełnie pominąć Riseholme. Lecz na krótko przed przyjazdem pociągu pospiesznego z Londynu o 4.30 jego proroczy spokój (przecież był jeno człowiekiem) zaczął się gwałtownie mącić. Juruś kazał sobie podać herbatę w oknie saloniku, skąd roztaczał się dobry widok na frontowy ogródek domu Przy Zagajniku, i trzymał pod ręką lornetkę teatralną. Z dużego wykuszu okiennego wyraźnie dostrzegł miedzianą końcówkę teleskopu Roberta wyglądającą z okna sąsiadów.

Znowu zatrąbił klakson i u bramy Przy Zaganiku stanął samochód Lucasów. Ze środka wyszła pani Garroby-Ashton, a za nią to coś jaskrawego i dziwaczного, co zaprowadziło Lucię na wernisaż postkubistów. Juruś nie miał czasu na intensywne przypominanie sobie, jak to coś się zwało, gdyż przede wszystkim skupiał się na obserwacji. Widział więc lorda Limpsfielda, którego spot-

kał na przyjęciu u Olgi, oraz wysokiego, szczupłego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w Oksfordy, do którego natychmiast poczuł głęboką nieufność. Miał on gęste ciemnorude włosy (nie nosił kapelusza) i rozmawiając machał w głupi sposób rękami. Przez ramię miał przerzuconą krótką pelerynkę. Następnie z domu wybiegła Lucia w swoich krótkich spódnicach i krótkich włosach I zaczęli gadać między sobą, całować się i pisać, i pokazywać ' różne kierunki, aż wreszcie poszli przez ogródek do domu. Drzwi zamknięto. Koniec teleskopu Roberta usunął się.

Zaledwie skończyły się owe pogardy godne wydarzenia, u Jursia zadzwonił telefon. Mogła to być Daisy chcąc podzielić się wrażeniami, ale też mogła to być Lucia z zaproszeniem na podwieczorek. Poczł się wewnątrz rozdarto: wszystkie zmysły, sycone ciekawością, nakazywały mu iść, duma perswadowała inaczej. Wciąż się wahając, podszedł do aparatu, który nadal dzwonił. Był prawie pewien, że to Lucia i zastanawiał się co u licha ma jej powiedzieć? Stał nad telefonem tak długo, aż do pokoju wbiegła Foljambe, przekonana, że wyszedł.

- Zobacz, kto dzwoni, Foljambe - polecił jej.

Z zadziwiającym spokojem podjęła słuchawkę.

- Międzymiastowa - oznajmiła.

Przykleił się do aparatu i wkrótce usłyszał znajomy głos.

- Nie! To ty? - zapytał. - O co chodzi?

- Jutro rano przyjeżdżam samochodem - oświadczyła Olga. Prawdopodobnie przyjedzie ze mną księżniczka Isabel, choć

nie jest tego absolutnie pewna. Mimo to masz się jej spodziewać, chyba że zadzwonię jutro. Bądź kochany i nakarm nas obiadem, przyjedziemy późno, a potem przyjdź na kolację. Bardzo się spieszę. Pa!

- Nie, poczekaj chwilkę! - wrzasnął Juruś. - Oczywiście, że wszystko zrobię, ale muszę ci to powiedzieć. Właśnie przyjechała Lucia z gośćmi z Londynu, a nikogo z nas tutaj nie zaprosiła.

- Nie? - zdziwiła się Olga. - A więc nie mów jej, że przyjeżdżam. Stała się taka nudna. Codziennie prosi mnie na obiad i na kolację. Jednakże to takie podniecające, Jursiu! Kogo tam ma?

Ni stąd ni zowąd Jursiowi przypomniało się, jak się nazywa cudaczna, jaskrawa przedstawicielka płci żeńskiej.

- Panią Alingsby - powiedział.

- Rety! - rzekła Olga. - I jeszcze?  
- Panią Garroby-Ashton...  
- Kogo?  
- Gar-ro-byAsh-ton- wyraźnie powtórzył Juruś. -1 lord Limpsfield. I wysoki facet w spodniach oksfordzkich z rudymi włosami...  
- Jakby był twoim sobowtórem, Juruś - zauważyła Olga. -I ma pelerynkę jak twoja?  
- Owszem - rzekł Juruś dość zimno.  
- Wydaje mi się, że to Stefan Merriall - powiedziała Olga po chwili.  
- To znaczy kto?  
- Kochanek Luci - powiedziała całkiem wyraźnie Olga.  
- Nie! - powiedział Juruś.  
- Oczywiście, że nie. Miałam tylko na myśli, że zawsze jest w okolicy. Natomiast uważam, że to on jest Hermioną. Nie jestem pewna, ale tak mi się wydaje. Juruś, to będzie szalona niedziela. Pa! Zobaczmy się na obiedzie jutro około drugiej lub trzeciej, i będzie nas dwoje albo troje na obiad. Ale z ciebie plotkarz.  
Usłyszał ten pyszny śmiech i dźwięk odkładanej słuchawki.  
Juruś był tak przejęty, że nawet nie sapnął. Siedział zupełnie spokojnie, oddychając cicho. Z uwagi na honor Riseholme cieszył się, że być może zje u niego obiad księżniczka, ale w duszy wolałby o wiele bardziej, by Olga przyszła sama. *Affaire Lucia* była niesamowicie podniecająca, lecz księżniczki Isabel może nie zaintryguje i będą zmuszeni rozmawiać na różne nudne tematy, na przykład o królach i dworach... Nagle zerwał się na równe nogi. Na obiad w niedzielę miał być udziec jagnięcy i kruche ciasto z jabłkami, i absolutnie nic poza tym. Co robić? O tej godzinie sklepy były już pozamykane.  
Zadzwoił na Foljambe.  
- Na obiedzie będzie panna Olga i prawdopodobnie... może... jej znajoma - powiedział. - Co zrobimy?  
- Kawalek jagnięciny i ciasto z jabłkami chyba są wystarczająco dobre dla każdego, co? - rzekła surowo Foljambe.  
Rzeczywiście, jak tylko mu to wytknęła, uznał, że ma rację i Juruś postarał się zapomnieć o całej sprawie. Ale nie dał rady usiedzieć, to wszystko było takie podniecające. Zmienił spodnie, żeby zminimalizować podobieństwo do tamtego paskudnego pana Merriall



I wyszedł na zdrowotną przechadzkę na błonia, gdzie z każdego miejsca mógł obserwować ewentualne ważne wydarzenia w Przy Zagajniku. Riseholme w większości robiło to samo i jego przechadzkę wielokrotnie przerwano w celach towarzyskich. Już było wiadomo, że przyjechali Lucia i Pepino, że pociągiem o 3.20 przyjechała służba z bagażami, że samochód Luci wyjechał na spotkanie pośpiesznego o 4.30 i wrócił zapakowany fascynującymi ludźmi. Stąd Juruś był tak popularny, ponieważ mógł zdradzić nazwiska tych fascynujących ludzi, a poza tym dodawał, że następnego dnia ma przyjechać Olga, je u niego obiad i kolację u siebie. Nic nie mówił o ewentualnej księżniczce, może nie przyjedzie, a wtedy (wiedział) wszyscy zaczęliby trochę podejrzewać, że ją wymyślił, natomiast jeśli przyjedzie, na pewno wpisze się do jego księgi gościnnej i wszyscy będą mogli zobaczyć na własne oczy.

Wokół Luci gromadziły się chmury sztormowe. Jak zwykle wtedy, gdy Riseholme czuło się głęboko dotknięte, głoszone niewiele komentarzy publicznie, choć dało się zaobserwować dwuosobowe grupy o marsowych, gniewnych twarzach i energicznie pracujących wargach. Lecz ciekawość była jeszcze potężniejsza i starano się odgadnąć, co robi Lucia, a co Olga. Z domu Przy Zagajniku nie odezwał się nikt, nikogo nie zaproszono na obiad, kolację ani nawet na podwieczorek. Jeśli więc Lucia wstydziła się towarzystwa Riseholme przed swymi wysoko postawionymi gośćmi, bez wątpienia towarzystwo w Riseholme wstydziło się jej...

I nagle na te dyskusje padła grobowa cisza. Nawet ci, którzy chodzili najszybciej w słusznej złości, zatrzymali się, gdyż przez Irontowe drzwi domu Przy Zagajniku wysypali się owi „fascynujący ludzie” oraz ich gospodarze. Oto Lucia, bez kapelusza, ścięta na chłopczykę, w krótkiej spódnicy, obok niej Rajski Ptak i pani Garroby-Ashton, Pepino i lord Limpsfield, i pan Merriall, rozprawiający razem w wysokich tonach, wybuchając pustym śmiechem. Przeszli powoli błoniami w kierunku małego stawu, wkoło którego rozmieściło się Riseholme, minęli ich w odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów i gdyby Lucia była Gorgoną, nie umiałyby tak skutecznie zamienić Riseholme w kamień. Wydawało się, że ona też ich nie zauważyła, tak była pochłonięta konwersacją. Poszli prosto do muzeum. Gdy mijali dom pułkownika Bouchera,

ze środka wytoczyła się pani Boucher na wózku i ani się zawahawszy przejechała przez sam środek zgromadzenia. Zatrzymała się z boku na błoniach pod dużym wiązem.

Lucia z gośćmi weszła do muzeum. Okna były otwarte i ze środka wydobywały się salwy śmiechu. Trwały około dziesięciu minut, po czym... wszyscy wyszli. Kilka osób niosło katalogi. Z jednego czytał głośno pan Merriall.

- Para wełnianych miteńek należących do królowej Karoliny i prezentowanych przez lady Ambermere.

- Stefan, przestań - powiedziała Lucia.- Nie wyśmiewaj się z naszego kochanego, malutkiego muzeum.

Gdy wracali po obrzeżach błoni, Risenholme odzyskało władzę w członkach. Jasna stała się muzealna polityka Luci. Juruś podszedł do wózka pani Boucher. Pani Boucher była czerwona na twarzy i dłonie jej się trzęsły.

- Dobry wieczór, panie Juruś - powiedziała. - Widzę, że następna grupa obcych zwiedziła nasze muzeum. Wyglądali na bardzo dziwnych ludzi i mam nadzieję, że nie okaże się, że coś zginęło. Czy są jakieś nowiny?

Zachowała się bardzo dystyngowanie i Juruś odpowiedział w takim samym duchu.

- Ani najmniejszej, o ile mi wiadomo. Oczywiście oprócz tej, że jutro przyjeżdża Olga.

- Bardzo się cieszę - oświadczyła pani Boucher. - Riseholme wita ją zawsze z radością.

Podeszła do nich Daisy.

- Dobry wieczór, pani Quantock - przywitała ją pani Boucher. - Czy są jakieś nowiny?

- O tak - odrzekła nieco zdyszana Daisy. - Nie widzieliście ich? Luci z gośćmi?

- Nie - powiedziała z naciskiem pani Boucher. - Z pewnością jest w Londynie. Czy coś jeszcze?

Daisy zrozumiała aluzję. Kompletna nieświadomość obecności Luci w Riseholme to manewr szlachetny.

- Chyba mi się coś przywidziało - zgodziła się. - Aha, moja morwa całkiem odżyła.

- Nie! - ucieszyła się pani Boucher. - To wspaniale. Prawdopodobnie prześwietlenie dobrze jej zrobiło. Drogi pan Juruś

właśnie mi powiedział, że nasza kochana Olga, a raczej pani Shut-lleworth, przyjeżdża jutro, ale jeszcze mi nie wyjawiał, o której.

- Mówiła, że między drugą a trzecią - odrzekł Juruś. - Przyjeżdża samochodem i jak zajędzie, przyjdzie do mnie na obiad.

- Doprawdy! Powinien pan przygotować coś na zimno, co się nie zmarnuje, jeśli trzeba będzie poczekać. Na przykład kawałek jagnięciny na zimno. Nie ma nic lepszego w gorący dzień.

- Co za świetny pomysł! - wykrzyknął Juruś. - Myślałem

o jagnięcinie na gorąco. Ale to drugie jest znacznie lepsze. Każę dzisiaj upiec.

- I sałateczka z pomidorów - rzekła pani Boucher - a jeśli pan nie ma, to mogę kilka dać. Przyślij pan do mnie swoją Foljambe, a wróci z pół tuzinem dojrzałych pomidorów.

Juruś pospieszył wydać stosowne polecenia.

Ponieważ pułkownik Boucher odszedł spacerkiem ze Świnką, jego małżonka mogła bez przeszkód porozmawiać z panią Quantock. .. i skorzystała z tego.

Lucia, obudziwszy się następnego dnia rano przekonała się, że niespokojne sumienie jest marnym towarzyszem do łóżka. Wykorzystała wszystkie - wydawałoby się - rozsądne argumenty, aby się uspokoić. Nie było sensu pisać do Jirusia, czy kogokolwiek, że przyjeżdża na weekend z gośćmi i będzie nimi zajęta całą niedzielę. Mając tylu gości nie mogła grać duecików z Jirusiem, ani poprosić biedną Daisy, by zademonstrowała ouiję, ani zaprosić pani Boucher w wózku na herbatę, ponieważ opowiadałaby długie historie wyłącznie o lokalnym znaczeniu, z pewnością nie frapując kogoś takiego jak lord Limpsfiel czy dziwna Sophy. Całkiem rozsądne z jej strony było oddzielenie świata Riseholme i Brompton Square, gdyż nie dałoby się ich połączyć. Zresztą, goście pojedą w poniedziałek rano, natomiast ona zamierzała zostać do wtorku, być niezmiernie miła, wcale nie patrząc z góry. Zaprosi jedną czy dwie osoby na obiad, jeszcze kogoś na kolację, i poświęci całą godzinę na duety z Jirusiem. Naturalnie, gdyby tu była Olga, zaprosiłaby ją na niedzielę, ale Olga poprzedniego wieczoru śpiewała w operze. Lucia wiele mówiła o niej podczas kolacji, dając do zrozumienia, że prawie nie wychodzą od siebie z domu, tutaj w mieście,

i żałowała, że jej nie ma.

- Taka szkoda - powiedziała. - Najdroższa Olga uwielbia śpiewać w moim saloniku muzycznym. Nigdy nie zapomnę, jak wpadła na jakieś maluteńkie przyjęcie w ogrodzie i zaśpiewała przebudzenie Brunhildy. Nawet tobie, droga Sophy, choć twoją pasją jest prymitywizm, sprawiłoby to przyjemność, śpiewała tu też „Lukrecję”, zanim jeszcze ktokolwiek ją słyszał. Cortese przywiózł nuty jak tylko skończył komponować... ach, to chyba było u niej w domu... byliśmy tam tylko Pepino i ja, i jeszcze jedna czy dwie osoby. Najdroższa Olga byłaby cały dzień z nami, gdyby tu jutro była...

A więc Lucia, zaplanowawszy na poniedziałek niespodzianki dla Riseholme, czuła się raczej spokojna, że dziś będzie niedostępna. Po czym sumienie przypomniało jej sprawę muzeum. Tu zaczęła się twardo bronić: nie wiedziała nic o muzeum (oprócz tego, co Pepino dostrzegł przez okna kilka tygodni temu), nie konsultowano się z nią w tej kwestii, nie była członkiem komitetu i to było w zupełności normalne, że zaprowadziła tam swoich gości. Nie mogła zapobiec temu, że parsknęli śmiechem na widok królewskich mitenek i rur Daisy; nie umiała sama się powstrzymać i nie wybuchnąć śmiechem, gdyż chyba nie istniała bardziej bzdurna kolekcja śmieci. Szklana gablota na mitenki, sarta skamielin zupełnie takich, jakie wydobywała tuzinami ze starego kamieniołomu, trochę szkła (Juruś powinien być wiedzieć lepiej), kilka tkanin, tuzin monet wypożyczonych (tylko wypożyczonych) przez biedną Daisy! W rzeczywistości jedynym interesującym obiektem okazały się dyby, które kupiła kiedyś z Pepinem i postawiła na błoniach. No, i ten katalog: kto by się nie śmiał z katalogu opisującego pompatycznym językiem zawartość tego kosza na śmieci? Nie miała się czym martwić. A zaś to, że pani Boucher przejechała przez środek jej grupy i ani nie spojrzała, to nic. Lucia ze swej strony nie spojrzała na panią Boucher, inaczej pani Boucher opowiedziałaby im całą historię szparagów albo w jaki sposób Elżbieta stłukła talerz. Może to naprawdę dziwne, że pani Boucher nie zatrzymała się... a na dodatek, czyż nie było to dziwne, że choć kątem oka dostrzegła całe Riseholme stojące na błoniach, nikt nie zrobił najmniejszego znaku powitania? To prawda, że właściwie ich zignorowała (o ile zachowanie z odległości pięćdziesięciu jardów można nazwać zignorowaniem), lecz wcale nie była pewna, że jej samej to sprawiło przyjemność. Prawdopodobnie ich zachowanie nic nie

znaczyło, zobaczyli, że była zajęta przyjaciółmi i bardzo sensownie nie rzucili się w jej kierunku.

Większość jej gości jadła śniadanie w łóżku, lecz do południa wszyscy znaleźli się na dole. Lucia przywiozła ze sobą swój portret namalowany przez Sigismunda, który Sophy ochrzciła arcydziełem *adagio*. Radziła jej usunąć wszystkie obrazy z saloniku muzycznego i zawiesić ten jeden, gdy wszedł pan Merriall z niedzielną gazetą.

- Ach, przyszła gazeta - ucieszyła się Lucia. - To całkiem po riseholmowemu: gazeta w niedzielę nigdy nie przychodzi wcześniej niż koło południa.

- Lepiej późno niż wcale - oświadczył pan Merriall, który zdawał się być uzależniony od przysłów i powiedzonek. - Widzę, że przyjeżdża tu dzisiaj pani Shuttleworth. Niechże ją pani poprosi na kolację, to może nam zaśpiewa.

Lucia zawahała się chwilę, po czym klasnęła w ręce.

- Och, jaka to byłaby zabawa! - powiedziała. - Lecz nie wiem, czy to możliwe. Najdroższa Olga wpadła (a może to ja wpadłam do niej?) wczoraj rano w Londynie i nic na ten temat nie mówiła. Niewątpliwie wtedy nie była jeszcze zdecydowana, czy przyjedzie, czy nie. Oczywiście, zadzwonię do niej natychmiast i skrzyczę, że mi nie powiedziała.

Lucia dowiedziała się od dozorczyńni Olgi, że spodziewają się jej z towarzystwem, ale nie będzie mogła przyjść do Luci na obiad, ponieważ idą do pana Pillsona. Dozorczyńni twierdziła, że trudno jej powiedzieć, co to za towarzystwo, ale przyrzekła, że przekaże, że pani Lucas miała nadzieję, że przyjdą na kolację... Następnie trzeba było zadzwonić do Jurusia i być serdeczną.

- Georgino mio, ci to ti? - zapytała.

- Tak - odparł Juruś. Nie musiał pytać, kto mówi, ani nie miał ochoty na dziecinadę.

- Georgino, nawet cię nie widziałam wczoraj - skarciła go. - ciemu nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć?

- Bo mnie wcale nie zaprosiłaś - powiedział twardo Juruś - oraz dlatego, że wcale mnie nie powiadomiłaś, że przyjedziesz.

- Tak mi psikło - zaszczębiotała Lucia - ale byłam stłasnianą i zajęta w mieście. Jak pysznie być z powrotem w Riseholme.

- Pysznie - rzekł Juruś. Lucia zawahała się.

- Georgino gniewa się na mnie?

- Ani trochę - rzucił wesoło Juruś. - Czemu?

- Nie wiem. Słyszałam, że moja droga Olga z towarzystwem będzie u ciebie na obiedzie. Mam nadzieję, że przyjdą do mnie na kolację dziś wieczorem. A ty koniecznie przyjdź potem. Będzie nas ośmioro, inaczej na pewno poprosiłabym ciebie na kolację.

- Bardzo ci dziękuję, ale jem kolację z Olgą - oświadczył Juruś. Pauza.

- No, to wszyscy tu przyjdźcie na kolację - zachęcała Lucia. - Są u mnie ciekawi ludzie, upchnę ciebie.

- Obawiam się, że nie mogę decydować za Olgę. No i to ja do niej idę, rozumiesz.

- No to przyjdź do mnie po obiedzie i weź ich ze sobą - zapraszała Lucia. - Albo na podwieczorek?

- Nie wiem, na co będą mieć ochotę - Juruś nie podejmował zaproszenia. - Ale przekażę im.

- Zrób tak, a ja znowu zadzwonię koło obiadu i połączmawiam z moją Olgą. Z kim przyjeżdża?

Juruś zawahał się. Pomyślał, że jeszcze tego nie zdradzi. Lucia dowie się wystarczająco szybko.

- Ach, kogoś prawdopodobnie przywiezie - powiedział i odłożył słuchawkę.

Lucia zaczęła podejrzewać małą tajemnicę, a nie lubiła tajemnic, chyba że własnego wytworu. Dozorczyńni Olgi orzekła, że trudno jej powiedzieć, a Juruś powiedzieć nie chciał (tego była pewna). A więc wróciła do swych gości i bardzo rozsądnie oznajmiła, że Olga jeszcze nie przyjechała, po czym wysnuła cudowną opowieść o tym, jak była na kolacji *intimé* z Olgą i księżniczką Isabel. Co za rozkoszna, ciekawa kobieta! Wkrótce wszyscy muszą przyjść ją spotkać któregoś dnia w Londynie.

Lucia z gośćmi, wyjąwszy Sophy Alingsby, która jednym palcem wygrywała na fortepianie prymitywne melodie, poszli na przechadzkę po błoniach przed obiadem. Minęła ich pospiesznie pani Quantock, odwracając twarz, i naturalnie wszyscy chcieli dowiedzieć się, jak się ma Czerwona Królowa z „Alicji w krainie czarów”.

Lucia zabawiła ich opowiastką o ouijy biednej Daisy oraz historią drzewa morwowego.

- Oni wszyscy są tacy kochani - opowiadała - ale można umrzeć ze śmiechu. Po czym posiała brokuły zamiast floksów. Takie rzeczy zdarzają się tylko w Riseholme. Musicie wszyscy do mnie przyjechać w sierpniu i zagłębimy się w życie tego miejsca. Ja je uwielbiam, po prostu uwielbiam. Wciąż dziko się czymś podniecamy... Sąsiedni dom należy do Jurusia Pillsona. Prawdziwy baranek! Przepadam za nim. Haftuje i to on dał wszystkie te kawałki potłuczonego szkła do muzeum. A na końcu ulicy stoi dom drogiej Olgi...

Właśnie wtedy, gdy Lucia posyłała w kierunku domu Olgi całusa, jej sokole oko wypatrzyło zajeżdżający samochód, który zatrzymał się przed domem Jurusia. Wysiadły dwie kobiety i nie było żadnych wątpliwości, kim były. Otworzyły bramę, a on wyszedł ze środka zupełnie jak kukułka z zegara i uklonił się nisko. Wszystko to Lucia zobaczyła i choć skamieniała na chwilę, natychmiast otrzeźwiała i gwałtownie obróciła się.

- Cóż, musimy wracać do domu - oświadczyła jakby zduszonym głosem. - Czas na obiad.

Pan Merriall nie odwrócił się tak prędko, ale patrzył na trzy postacie u drzwi Jurusia.

- Pozory mylą - powiedział - ale czy nie jest to Olga Shuttleworth i księżniczka Isabel?

- Nie! Gdzie? - zapytała Lucia patrząc w odwrotnym kierunku.

- Właśnie weszły do tamtego domu, jak mówiłaś? Jurusia Pillsona?

- Nie, doprawdy? - zdziwiła się Lucia. - Ale ze mnie głuptas, że ich nie zauważyłam. Czy mam tam teraz wpaść? Lepiej nie zadzwonię do nich w odpowiednim czasie, o ile już do mnie nie dzwonili.

Lucia robiła dobrą minę, lecz wcale nie była spokojna. To wszystko wyglądało na spisek, i to jak: owszem, Olga nie powiedziała jej, że jedzie do Riseholme, a Juruś nie powiedział jej, że towarzystwem Olgi będzie księżniczka Isabel. Jednakże w trakcie obiadu miała czas, aby przemyśleć swoje działania. Lecz choć mówiła bezustannie i dość satyrycznie o Riseholme, nie nadmieniła więcej słowem o primadonnie i księżniczce...

Być może poczułaby się lepiej (a może i nie), gdyby wiedziała, jak żywo na jej temat rozprawiano podczas jurusiowego obiadu dla wybranych. Księżniczka Isabel (z ustami pełnymi pomidorów pani Boucher) została poddana w minionym tygodniu nieustannemu bombardowaniu ze strony Luci i dowiedziała się z bardzo solidnych źródeł, że Lucia mówiła o niej „Isabel, droga księżniczka Isabel”.

- I nie pójde do jej domu - stwierdziła. - To wolny kraj i nie mam życzenia iść do jej miłego domu. Nie wątpię, że jest bardzo dobrą kobietą. Ale chcę usłyszeć więcej o niej, ponieważ pasjonuje mnie. Tak samo jak wasze Riseholme. Pan mówił o muzeum.

- Jursiu, opowiedz jeszcze o muzeum - prosiła Olga.

- Cóż - rzekł Juruś. - Tak to wyglądało. Weszli wszyscy, a potem wyszli i jeden z nich czytał mój katalog... ja go zrobiłem... na głos, a wszyscy ryczeli ze śmiechu.

- Nie wątpię, że katalog jest bardzo śmieszny, Jursiu - wtrąciła Olga.

- Ja tak nie myślę. Pan Merriall czytał o mitenkach królowej Karoliny, podarowanych przez lady Ambermere.

- Nie! - wykrzyknęła Olga.

- Bardzo interesujące! - podkreśliła księżniczka. - Była moją ciotką, praciotką? Zaraz... cioteczną babcia, chyba tak to się nazywa. Potem pójdziemy do muzeum i obejrzymy jej mitenki. A także muszę zobaczyć tę damę, która morduje morwy. Olgo, czy nie mogłabyś poprosić ją, by przyszła ze swą planszatką i powieszczyła?

- Jursiu, zadzwoń do Daisy i poproś ją do mnie na herbatę

- powiedziała Olga. - Musimy sobie położyć.

- A ja muszę pojechać na przejażdżkę, muszę przejść się po błoniach i muszę zjeść jeszcze kawałek tego pysznego placka z jabłkami - zaczęła księżniczka.

Juruś właśnie wstał, by zatelefonować do Daisy, gdy weszła Foljambe z wieścią, że dzwoni pani Lucas i chciałyby rozmawiać z Olgą.

- Och, powiedz, że jeszcze jemy obiad, proszę cię, Foljambe

- zawołała Olga. - Może niech zostawi wiadomość? Mówisz, Jursiu, że tam jest Stefan Merriall?

- Nie, to ty tak powiedziałaś. Ja go tylko opisałem.



- Cóż, jestem prawie przekonana, że to on, ale będziesz musiał tam pójść dzisiejszego popołudnia i się dowiedzieć. Jeśli tak, to on jest Hermioną, która ciągle pisze o Luci w „Gazecie Wieczornej”. Prześlicznie! A więc musisz tam pójść na kilka minut, Jursiu, i upewnić się.

Wróciła Foljambe zapytać, czy pani Lucas może wpaść aby złożyć swoje uszanowanie księżniczce.

- To bardzo miłe z jej strony, ale nie powinna absolutnie sprawiać sobie kłopotu - oświadczyła księżniczka.

Foljambe wycofała się i pojawiła się po raz trzeci, uśmiechając się lekko i stanowczo.

- Pani Lucas zadzwoni do pani Shuttleworth za piętnaście minut - oznajmiła.

Księżniczka dokończyła placek.

- A teraz chodźmy zobaczyć muzeum - zaproponowała. Juruś pozostał, aby zadzwonić do Daisy oraz wyjaśnić Luci,

gdy zadzwoni, że Olga wyszła, po czym złożyć wizytę w domu Przy Z.igajniku. Poważnym błędem w pojmowaniu charakteru Jursia byłoby przypuszczenie, że to nie sprawiło mu przyjemności. Lucia przyjechała ze swymi eleganckimi gośćmi i nie zwróciła uwagi na Riseholme, a teraz dwie osoby, o wiele bardziej eleganckie, dzięki wyraźnemu zrządzeniu Opatrzności zjawiły się w tym samym czasie i nie zwracały uwagi na nią. Zamiast tego zadawały się z ludźmi takimi jak on i Daisy, których Lucia zlekceważyła. Lucia wyśmiała muzeum, a szczególnie katalog i mitenki, a teraz pra-siostrzenica właścicielki mitenek poszła je obejrzeć. Nieźle ją lo musiało zapiec, faktycznie, cała ta sprawa paskudnie musiała piec, i świetnie sobie Lucia na to zasłużyła.

Wprowadzono go do saloniku muzycznego i zdążył tylko zauważyć, że na sekretarzyku leżała koperta zaadresowana do „Gazety Wieczornej”, po czym weszli Lucia i pan Merriall.

- Georgino mio - przywitała go wylewnie Lucia. - Jak to miło, że przyszedłeś. Nie przyprowadziłeś swoich pań? Ach, to jest pan Merriall.

Hermiona z „Gazety Wieczornej”, udowodnione - pomyślał Juruś.

- Uważały, że i tak masz wielu gości - odpowiedział ceremonialnie Juruś. (Następny cios).

- Czyżbym to księżniczkę Isabel widział u pana drzwi? - zapytał pan Merriall, spoglądając mimowolnie na sekretarzyk.

(Od tego czasu Lucia o niej nie wspomniała.)

- A tak. Przyjechały samochodem i zaryzykowały obiad u mnie.

- A co im podałeś? - zapytała Lucia, zapominając na chwilę o swych troskach.

- A, trochę jagięciny na zimno i placek z jabłkami.

- Nie! - zawołała Lucia. - Powinieneś był je przyprowadzić tutaj na obiad. O, Jursiu, obraz, popatrz. Malował go Sigismund.

- Aha - mruknął Juruś. - Co przedstawia?

- *Cattioo!* - powiedziała Lucia. - Przecież to mój portret. Sigismund, wiesz, cały Londyn właśnie zwariował na jego punkcie. Wszyscy chcą, żeby ich malował.

- I wyglądają na wariatów, gdy z nimi skończy. Świat zwariował, panowie - oznajmił pan Merriall.

- Niegrzeczny - skarciła go Lucia. - Czy to nie cudowne, Jursiu?

- Owszem, domyślam się, że bardzo mądre - przyznał Juruś.

- Nadzwyczaj mądre.

- Chciałabym pokazać go najdroższej Oldze - oznajmiła Lucia

- i jestem przekonana, że księżniczka byłaby nim zainteresowana. Gdy byłam na kolacji u Olgi, mówiła o sztuce współczesnej. Ciekawa jestem, czy mogłyby zajrzeć do mnie na podwieczorek, albo kiedy zechcą.

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne - oświadczył Juruś.

- Na podwieczorek przychodzi Daisy Quantock, o ile wiem, będziemy łączyć. A ponadto planuję przejażdżkę.

- A teraz gdzie są? - zapytała Lucia.

To było straszne, że musiała zdobywać informacje o swych najbliższych przyjaciółkach od Jumsia, ale skąd miałyby je wziąć?

- Poszły do muzeum - odparł. - Były nim ogromnie zainteresowane.

Pan Merriall pomachał rękami, zupełnie jak Juruś.

- Ach, to muzeum! - zaśmiał się. - Te mitenki! Czy kiedykolwiek o nich zapomnę? Lucia powiedziała, że sprezentuje im następną swą zerwaną sznurówkę.

- Tak - powiedział Juruś. - Księżniczka chciała zobaczyć te mitenki. Królowa Karolina była jej cioteczną babką. Powiedziałem im, jak was wszystkich te mitenki rozbawiły.

Lucia przycisnęła palec wskazujący do czoła w oznace skupienia. Wstała, jakby chciała wrócić do swych gości.

- Przyjdziecie do ogrodu? - zapytała i wypłynęła z pokoju.

- A więc zamierzacie odbyć seans z ouiją? - odezwał się pan Merriall. - Jestem ogromnie zainteresowany ouiją.

Zdarzają się naprawdę tajemnicze zjawiska. Dziwne, lecz prawdziwe.

Nowy pomysł zaskoczył Jumsia. Lucia nie pojawiła się za oknem wyglądającym na ogród, więc poszedł do drugiego, z którego roztaczał się widok na błonia. I oto była, zmierzała prosto do Muzeum.

- Rzeczywiście, nadzwyczajne - zwrócił się do pana Merrialla. Sami osiągnęliśmy dość ciekawe wyniki.

Pan Merriall poruszał się z wdziękiem po pokoju, a Juruś zaczął się zastanawiać, czy dałoby się przerobić Oksfordy na zwyczajne spodnie. Gnębiła go myśl, że Olga, nawet żartem, stwierdziła, że taki mężczyzna mógłby być jego sobowtórem. Na dodatek miał taką samą małą pelerynkę.

- Całkiem zakochałem się w waszym Riseholme - rzekł pan Merriall.

- Wszyscy je uwielbiamy - przyznał Juruś, nie słuchając uważnie.

Całkiem pochłonięty był śledzeniem Luci zdążającej przez błonia. Złapie ich w muzeum, czy już wyszły? Jej postać stawała się coraz mniejsza. Wreszcie przeszła przez ulicę i zniknęła za pasem krzewów zasłaniających fronton stodoły.

- Bliskość i ciepłko domowe. Ukochany dom, a jakże - ciągnął pan Merriall. - Słyszeliśmy, że pani Shuttleworth uwielbia śpiewać w tym saloniku.

Juruś natychmiast wyostrzył uwagę. Oczywiście i absolutnie Lucię powinno się ukarać, i oczywiście całe Riseholme o tym się dowie, gdyż przecież to Riseholme wymierzało karę. Natomiast Inną sprawą byłoby zawieść Lucię przed kimś, kto nie był z Riseholme.

- O tak, ciągle tu śpiewa - przyznał. - Wszyscy na okrągło wpadamy do siebie. Ale muszę już wracać do domu.

Pan Merriall bardzo pragnął otrzymać zaproszenie na ów malutki seans u Olgi, ale jak dotąd jego gospodyni bezskutecznie zabiegała o obie wielkie gwiazdy. Nie szkodziło spróbować...

- Nie mógłby pan zabrać mnie na podwieczorek u pani Shuttleworth?

- Nie, obawiam się, że nie mógłbym - odparł Juruś. - Żegnam. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Tymczasem Nemezis szła krok w krok za Lucią z lepszą skutecznością niż Lucia za Olgą. Doszła do muzeum, jak widział Juruś, i znowu zapłaciła szylinga, aby wejść na tę okropną wystawę. Wewnątrz było całkiem tłoczno, ponieważ po obiedzie w karczmie Pod Herbem Ambermere zeszli się turyści. Wokół królewskich mitenek zrobił się ścisk, a w tłumie stała sama lady Ambermere, która przyjechała z dwójką przygnębionych gości, których zmusiła do tej wizyty. Nałożyła okulary i przyjrzała się Luci.

- Ach, pani Lucas! - oznajmiła. Była znana ze swej bezpośredniości. - Przez chwilę nie poznałam pani w tej fryzurze. Jest to moda, która do mnie nie przemawia. Pani przysła, oczywiście, aby popatrzeć na mitenki naszej zmarłej królowej. W rzeczywistości poza tym niewiele jest tu do zobaczenia.

Z reguły Lucia bezwstydnie płaszczyła się przez lady Ambermere i kombinowała, jak ściągnąć ją na obiad lub na kolację. Lecz tego dnia dama ta wcale jej nie obchodziła i podczas tego dość przykrego wywodu, skierowanego do niej, przebiegała oczyma po sali, szukając tych, dla których porzuciłaby lady Ambermere bez wahania.

- Tak, droga lady Ambermere - powiedziała. - To bardzo interesujące, że królowa Karolina je nosiła. I ogromnie miłe z pani strony, że zechciała je pani podarować muzeum.

- Pożyczyłam - sprostowała lady Ambermere. - Są rodzinną pamiątką, lecz cieszę się, gdy inni mają możliwość oglądania ich. Nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności właśnie miałam zaszczyt prezentowania ich krewnej ich nieżyjącej właścicielki, księżniczce Isabel. Chciałam kazać dla niej otworzyć gablotę i pozwolić, by je przymierzyła. Powiedziała łaskawie, że nie jest to konieczne.

- Tak, droga księżniczka Isabel - uśmiechnęła się Lucia. - Słyszałam, że jest w okolicy. Czy jeszcze jest w muzeum?

- Nie. Właśnie wyszła z panią Shuttleworth. O ile wiem, udały się na przejażdżkę. Oczywiście zaproponowałam wizytę w moim dworze i podwieczorek, ale zmienię plany i napiję się herbaty

u pani, pani Lucas. Może zaprosi pani panią Shuttleworth i jej dystyngowanego gościa. Przedstawię panią. Pamiętam, że ma pani ładniutki ogródek. Ciekawy. Udzielam pani pozwolenia, aby powiedzieć, że ja będę na podwieczorku. Ale chwileczkę! Jeśli pojechały, to jeszcze ich nie będzie z powrotem. Nie szkodzi, posiedzimy u pani w ogrodzie.

Cóż, w normalnych warunkach byłoby to zaszczycające wydarzenie, lecz tego dnia, choć lady Ambermere pozostała ta sama, jej wartość zniżkowała. Gdyby tylko Olga nie przyjechała z tą, którą Lucia prawie już nazywała piekielną księżniczką. Gdyby nie to, byłoby nadzwyczajnie, byłoby cudownie, że lady Ambermere wpada na podwieczorek. Nawet teraz - pomyślała Lucia - to lepsze niż nic. Lucia przejrzała książkę gości muzeum, gdzie wpisały się Olga i księżniczka oraz gdzie właśnie wpisywała się lady Ambermere, bardzo blisko tego ostatniego nazwiska, aby sprawić wrażenie, że były razem. Potem wyszły.

Pod muzeum stał samochód lady Ambermere, gdzie siedziała na przednim siedzeniu jej dama do towarzystwa, potulna panna Lyall, tuląc charczącego mopsa pani.

- Zaraz - powiedziała lady Ambermere. - Jak my mamy to zrobić? Spacer dobrze zrobi mopsowi przed podwieczorkiem. Mops pija ciepłe mleko z pokruszonym herbatnikiem. Panno Lyall, proszę założyć mopsowi smycz i wszyscy pójdziemy razem przez błonia do domku pani Lucas. Samochód niech jedzie drogą i tam na nas zaczeka. Tamten dom należy do pani Shuttleworth, prawda? Niechże pani tam wdepnie i zostawi wiadomość o podwieczorku z informacją, że ja będę. Pójdziemy wolno, więc pani nas szybko dogoni.

Wypowiedź ta była całkowicie w duchu ambermerianowskim: wszyscy w Riseholme mieli „domek” w porównaniu z dworem, wszyscy mieli „ogródek”. Całkiem ambermerianowskie było też przekonanie, że jej życzenie było przyjemnością dla pozostałych śmiertelników. Lucia uświadomiła sobie smętnie, że miała swój udział w utwierdzeniu jej w tym przekonaniu. Lecz teraz, choć lady Ambermere była rażąco drugiego gatunku i choć tak bardzo przypominała lokomotywę z rzymskim nosem i opasłym pieskiem, zdruzgotana Lucia bardzo pragnęła, aby ktoś „wpadł” i w ten sposób udowodnił jej gościom, że posiada swą pozycję (nieszczęsna! ona,

niedawna królowa Riseholme musiała o to zabiegać!). Jak tylko lady Ambermere wyjdzie, będzie mogła powiedzieć, jaka to nudziara.

Jej misja była również przykra: wiedziała, że Olga i ta piekielna księżniczka planują seans z Daisy i Jurusiem, więc jej zaproszenie będzie bezowocne; jeśli zaś chodzi o przekonanie głupiej starej, że jej obecność w domu Przy Zagajniku przyciągnie Olgę, to Lucia doskonale wiedziała, że nic tak nie odstraszyłoby Olgi jak obecność lady Ambermere. Olga była raz na kolacji we dworze i nakłoniono ją, aby zaśpiewała, przy czym gospodyni układała sobie pasjansa i rozmawiała z mopsem.

Luci przyszło coś do głowy - niespecjalnie olśniewająca myśl, ale ujdzie. Wpisze swoje nazwisko do książęcej książki, przynajmniej to osiągnie. A więc, gdy na jej dzwonek otwarto drzwi i ustaliła, że Olgi nie ma, o czym doskonale wiedziała, oraz pozostawiła beznadziejne zaproszenie dla niej i jej gościa na podwieczorek z lady Ambermere, poprosiła o książkę wpisów księżniczki.

Służąca Olgi zrobiła zdziwioną minę.

- Czy chodzi pani o tę książkę z krzyżówkami? - zapytała.

- Nie wydaje mi się, aby Jej Wysokość miała tu inną książkę, a i tę zabrała ze sobą na przejażdżkę.

Lucia wycofała się ze smutkiem. W połowie drogi na błoniach zobaczyła Jurusia i Daisy Gjuantock, która niosła jakąś dużą tablicę pod pachą, idących rażno w jej kierunku. Wiedziała, gdzie zmierzają, i zebrała swe rozpierzchłe siły.

- Najdroższa Daisy, nawet cię nie widziałam! - powiedziała.

- Kilku znajomych z Londynu, a tak to zajmuje czas! Ale wpadnę jutro, ponieważ zostaję do wtorku. Spotykacie się z drogą Świnką i Gasią na ouiję? Chciałabym przyjść, ale lady Ambermere zakwaterowała się u mnie na podwieczorek, więc muszę biec do niej. Właśnie zwiedziłam wasze pyszne muzeum. Cudowne mitenki! Wszystko cudowne. Pepino i ja znajdziemy coś dla was.

- To bardzo miłe - rzekła Daisy, zupełnie jakby przemówił Biegun Północny.

Mops, panna Lyall i lady Ambermere oraz dwójka przygnębionych gości zostali wpuszczeni do domu Przy Zagajniku zanim Lucia ich dopędziła. Znalazła ich wszystkich usadowionych w kamiennym bezruchu w saloniku muzycznym, gdzie Stefan Merdali kończył swą zawodową korespondencję. Lucia dobrze wie-

działa, o czym pisał: linijkę lub dwie o domu Przy Zagajniku oraz o gościach, którzy się tam zebrali na weekend, lecz obawiała się, że ten akapit będzie smutnym postscriptum za wieściami bardziej egzaltowanymi.

Czym prędzej przedstawiła go lady Ambermere i pannie Lyall, ale nie miała pojęcia, kim byli goście lady Ambermere i podejrzewała, że byli to biedni krewni, bowiem lady Ambermere nie przedstawiła ich nikomu.

Mops zaszczeakał sapiąc.

- Mądrała - rozczuliła się lady Ambermere. - Chce swojego podwieczorku. Właśnie tak szczeka, cztery razy, gdy chce podwieczorku.

- I dostanie - podkreśliła Lucia. - Stefanie, gdzie jest reszta? Pan Merriall wysilił się nieco, słysząc nazwisko lady Ambermere - wstawi o niej zdanie...

- Lord Limpsfield z panią Garroby-Ashton poszli grać w golfa -oświadczył. - Barbarzyński wysiłek, nieprawdaż, lady Ambermere? Co za słodki piesek.

- Mops nie lubi obcych - oznajmiła lady Ambermere. - Jestem rozzarowana, że nie widzę lorda Limpsfielda. Czy spodziewamy się pani Shuttleworth z księżniczką?

- Zostawiłam wiadomość - powiedziała Lucia.

Oczy lady Ambermere skończyły przyglądać się panu Merriallowi i z wolna krążyły po pomieszczeniu.

- Cóż to za dziwny obraz? - zapytała. - Nic nie rozumiem. Lucia zaśmiała się jasno, po swojemu: popołudnie było koszmarem, ale musiała trzymać fason.

- Uderzający, prawda? Drogi Bendzi Sigismund uparł się mnie malować. Tak wiele razy musiałam pozować.

Lady Ambermere przenosiła wzrok z portretu na oryginał.

- Nie widzę żadnego podobieństwa - oświadczyła. - Według mnie, nie przypomina niczego. Aha, jest herbata. Panno Lyall, trochę ciepłego mleka dla mopsa. Proszę domieszać trochę gorącej wody, on nie lubi, gdy jest zupełnie zimne. A ja chciałabym zobaczyć pana Jurusia Pillsona. Nie wątpię, że można mu powiedzieć, iż tu jestem.

To już było całkiem desperackie: Lucia nie mogła wykazać się ani Olgą, ani księżniczką, ani lordem Limpsfieldem, ani panią Gar-

roby-Ashton lady Ambermere, i wiedziała, że Jurusia również nie przedstawi, ponieważ w tym czasie już był u Olgi. Pozostało jej tylko powiedzieć lordowi Limpsfieldowi i pani Garroby-Ashton, gdy wrócili, że minęli się z lady Ambermere. Jeśli zaś chodzi o Riseholme... lepiej nie myśleć, jak wyglądała sprawa Riseholme, które wczorajszego dnia całkiem pozbawiła znaczenia. Gdyby tylko, przed przyjazdem tutaj, zaprosiła ich wszystkich na obiad albo na kolację...

Nadeszła wiadomość, że pan Pillson poszedł na podwieczorek do pani Shuttleworth. Pięć minut później Olga powiadomiła, że żałuje, ale są u niej goście i nie może przyjść. Lady Ambermere w milczeniu żuła ciasto z kminkiem. W międzyczasie pani Alings-by, która zaszyła się w swojej sypialni na popołudnie, pojawiła się w perkalowej podomce i kapciach z kurdybanu. Włosy opadały jej na oczy jak u teriera, a na widok mopsa wrzasnęła przeraźliwie.

- Nie cierpię psów - oznajmiła. - Zabierz tego psa, droga Luciu. Spal go, utop! Powiedziałas mi, że nie masz żadnych psów.

Lady Ambermere zwróciła się ku niej z twarzą, która powinna była natychmiast zamienić ją w kamień, gdyby posiadała jakiegokolwiek pospolite uczucia. Nigdy dotąd nikt nie popełnił takiego świętokradztwa wobec mopsa. Lady Ambermere wstała, przełykając ostatni kęs ciasta z kminkiem.

- Przeszkadzamy pani gościom, pani Lucas - powiedziała. - Pójdziemy już, mops. Panno Lyall, smycz mopsa. Musimy wracać do dwom. Zajrzę do pani Shuttleworth i wpiszę się do książki księżniczki. Żegnam panią. Dziękuję za herbatę.

Z rozmysłem zignorowała panią Alingsby i na czele smętnej kawalkady przedelfowała przez drzwi. Jedynym pocieszeniem było to, że u pani Shuttleworth będzie mogła wpisać się tylko do książki z krzyżówkami.

Goście Luci odjechali wczesnym pociągiem następnego dnia rano. Ona pozostała, niczym Mariusz na minach Kartaginy. Jednakże, w odróżnieniu od niego, nie miała zamiaru rozpaczać, przystąpiła do odbudowy i wkrótce przekonała, się, że dzieło trzeba rozpocząć od samego fundamentu. W tle znalazł się fakt, że niedzielna wizytacja w jej domu nie okazała się triumfalnym sukcesem. W Londynie rozwodziła się nad tym, że Riseholme to taka



kochana, staromodna miłościna, gdzie wszyscy ją uwielbiają i gdzie Olga bezustannie do niej wpada, aby odśpiewać całe akty najsławniejszych oper w jej saloniku muzycznym; a także dała do zrozumienia, iż księżniczka Isabel była jej drogą i bliską przyjaciółką, a tu obie nierozłączki uprzejmie, acz stanowczo odmawiały wszystkim jej zaproszeniom. Owszem, przyszła lady Ambermere, lecz właściwie na nikim nie zrobiła najmniejszego wrażenia i Lucia odetchnęła z ulgą, gdy sobie poszła, przepłoszona przykrymi uwagami Sophy o mopsie, po czym zdumiona postkubistka z prostotą zapytała, kim była ta koszmarna starucha. Oczywiście, to wszystko da się znieść, gdy tylko wróci do Londynu, choć z pewnością przykre wrażenia należało zatrzeć.

Więcej przemyśleń kosztowało ją to wrażenie, jakie sprawiła na Riseholme. Lucia wiedziała, że całe Riseholme wie, że Olga i księżniczka posiliły się zimną jagnięciną u Jurusia i nawet nie podeszły do domu Przy Zagajniku i Riseholme, na ile znała Riseholme, znajdzie tu przedmiot do dyskusji. Riseholme wiedziało również, że Lucia i jej goście ryczeli ze śmiechu w muzeum, natomiast księżniczka uprzejmie wpisała się do księgi gości, obejrawszy w pełną czią mitenki swej ciotecznej babki. O pozostałych wydarzeniach: czy Olga jeszcze była na miejscu, jak sprawiła się ouija Daisy, kto (oprócz Jurusia) był na kolacji u Olgi, Lucia nie wiedziała nic, a musiała się dowiedzieć, ponieważ miała przecucie, że nikt nie wpadnie i nie opowie jej. A co Riseholme mówiło o niej? Jak oni to wszystko znieśli?

Lucia zamierzała poświęcić ten dzień starym znajomym, więc zadzwoniła do Daisy, by ją zaprosić z Robertem na obiad. Daisy z przykrością powiedziała, że są zajęci i odłożyła słuchawkę tak energicznie, że (łatwo zgadnąć) upuściła ją na podłogę, powiedziała „a niech to” i położyła na miejsce. Następnie Lucia zadzwoniła do pani Boucher i zaprosiła ją z pułkownikiem na obiad. Pani Boucher z wielką emfazą powiedziała, że na obiad przychodzą goście. Mogło to oczywiście znaczyć, że na obiad przychodzi Daisy Quantock, było to całkiem naturalnym wyjaśnieniem, ale Luci to jakoś nie wystarczyło.

Usiadła, żeby pomyśleć i pierwszym wnioskiem, jaki się jej chcąc nie chcąc nasunął, było blade podejrzenie, że po tym, jak ona zdecydowała się ignorować Riseholme w czasie, gdy miała swych eleganc-

kich gości z Londynu, Riseholme było na tyle złośliwe, że się mściło. Było to bardzo niskie, bardzo dziecinne, ale taka możliwość istniała. Lucia zdecydowała, że będzie robić wesołą minę i zadzwoniła do Jurusia. Ponieważ odebrał nadzwyczaj prędko, zaczęła się zastanawiać, czy spodziewał się telefonu od niej czy kogoś innego.

- Georgino mio! - zawołała.

Wydawało się jej, że ożywienie, tak czytelne w głosie Jurusia, gdy mówił: „Tak? Kto mówi?”, osłabło.

- A, to ty, co? - powiedział. - Dzień dobry. Luci nie odstraszało nic.

- Idę do ciebie na długą pogaduszkę - ciągnęła. - Wszyscy moi stłasnii goście pojechali, a ja zostaję do domani. Jak cudownie znowu tu być.

- Si - wymamrotał Juruś.

Blade podejrzenie nabrało rumieńców.

- No to przychodzę - oświadczyła Lucia.

Lucia wyruszyła i, wychodząc na błonia, zdążyła zobaczyć, jak Daisy Cjuantock wybiega z domu Jurusia i wpada do siebie jak malutki spasiony króliczek z czerwoną twarzą. W jakiś sposób ten widok ją zbił z pantałyku, nie trzeba było uciekać się aż do rozumowania indukcyjnego, aby ukształtować teorię, że Daisy skoczyła do Jurusia powiedzieć mu, że Lucia zaprosiła ją na obiad oraz że jej odmówiła. Naprawdopodobniej Daisy była na miejscu gdy Lucia dzwoniła do Jurusia i zamiast poczekać na zapowiadzaną długą pogaduszkę, uciekła z powrotem do domu. Dlatego też Lucia musiała poczynić pewien wysiłek, aby utrzymać odpowiedni poziom wesołości i absolutnej nieświadomości, że mogło się zdarzyć cokolwiek nieprzychylnego. Jurusia znalazła, jak szył w swoim pokoiku studyjnym, który tak nazywał, bo chodził tam haftować.

Luci wydało się, że jest jakby powleczonej cienką warstewką lodu i skoncentrowała cały swój blask na roztopieniu go.

- Ależ to miłe! - oceniła. - No to pogadamy. Ach, jak cudownie znowu być w Riseholme. Byłam niegrzeczna? Prawie że cieszyłam się, gdy ostatni moi goście sobie pojechali. Wszyscy byli tacy kochani i bardzo myślący: mieliśmy niesamowite debaty i dyskusje! Byłam zajęta cały wczorajszy dzień, z tym rozmawiałam, z tamtym poszłam się przejść, a cały czas nie pragnęłam niczego innego, tylko by pobiec zobaczyć się z tobą

i z Daisy, i całą resztą. Czy są jakieś nowiny? Co porabiałeś cały dzień wczoraj?

- No cóż, też byłem bardzo zajęty- odrzekł Juruś. - Miałem dwójkę gości na obiedzie, następnie byłem na podwieczorku u Olgi...

- Jest jeszcze? - zapytała Lucia. Wcale nie zamierzała pytać, ale nie umiała się powstrzymać.

- O, tak. Pobędzie dwa-trzy dni, ponieważ śpiewa w Londynie dopiero we czwartek.

Lucia bardzo pragnęła zapytać, czy księżniczka również zostaje, ale tym razem się opanowała. Może dowie się w jakiś inny sposób...

- Droga Olga - powiedziała wylewnie. - Uważam, że jest prawdziwą riseholmitką.

- O, tak - przyznał Juruś. - Tak, byłem u Olgi na podwieczorku i cudownie sobie połóżowaliśmy we czworo. Ona, księżniczka, Daisy i ja.

Lucia zaśmiała się srebrzyście.

- Droga Daisy! Czyż nie jest bezcenna? Ależ ona lubi tę swoją magię i hokusy-pokusy! Powiedz mi o tym wszystko. Przewodnik egipski, nazywał się Abfou, tak?

Juruś pomyślał, że będzie rozsądniej nie mówić Luci wszystkiego, co przekazał Abfou, chyba żeby się uparła; ponieważ Abfou wypisywał na jej temat bardzo sarkastyczne opinie idealną angielszczyzną i w zawrotnym tempie. Znowu nazwał ją snobką, napisał, że zrobiła się zbyt ważna dla swych starych przyjaciół i wyraził się brzydko o jej cieniowanych włosach.

- Tak, Abfou - potwierdził. - Abfou był w świetnej formie i Olga telegraficznie zamówiła planszетkę. Abfou powiedział, że ma wyjątkowe moce nadprzyrodzone i mediumistyczne. Dość długo to trwało.

- I co jeszcze powiedział Abfou? - zapytała Lucia, skierowując na Jurusia swój przenikliwy wzrok.

- A, mówił o sprawach Riseholme - ciągnął Juruś. - Wiedział, że księżniczka była w muzeum, bo ją tam widział. Wiesz, że to on podał pomysł muzeum. Wciąż pisał „muzeum”, chociaż na początku wydawało się nam, że to jest „myszom”.

Lucia czuła się absolutnie przekonana, że Abfou pisał różne rzeczy o niej. Może jednak - skoro Daisy tym zarządzała - lepiej

nie pytać. Niewiedza nie napawała radością, lecz wiedza mogłaby się okazać jeszcze mniej wesoła. Na dodatek Juruś wcale nie topniał, był uprzejmy, pełen rezerwy i zamiast plotkować, wyrażał się z wielką ostrożnością. Musiała coś zrobić, by popadł w nastrój bardziej skłonny do zwierzeń.

- Przypomniałam sobie - powiedziała - że Pepino i ja niczego jeszcze nie podarowaliśmy muzeum. Muszę wam posłać elżbietański rożen z mojego saloniku muzycznego. Słyszałam, że jest to najbardziej doskonały, istniejący okaz rożna. Nie chcę wiedzieć, ile Pepino za niego zapłacił.

- To bardzo miłe - oświadczył Juruś. - Przekażę ofertę komitetowi. Wczoraj Olga dała nam wyjątkowo niezwykły prezent: manuskrypt „Lukrecji”, który dostała od Corteseo. Zaniósłem księgę do muzeum natychmiast po śniadaniu i umieściłem w gablocie na wprost drzwi.

Znowu Lucia miała ochotę być tak samo sarkastyczna jak Abfou i zapytać, czy zwołano zebranie komitetu w celu przyjęcia dam czy nie. Prawdopodobnie Juruś miał pewną świadomość tego, albowiem dodał śpiesznie:

- Łidżowaliśmy tak długo, że zaledwie miałem czas by wskoczyć do domu, przebrać się i wrócić do Olgi na kolację.

- Kto był? - zapytała Lucia.

- Pułkownik Boucher z małżonką, nikt inny - odparł Juruś. -A po kolacji Olga śpiewała wprost bosko wiele pieśni Schuberta. Akompaniowałem jej.

Lucia zaczynała czuć się chora z zawiści. Wyobraziła sobie, jak prowadzi swoich gości do Olgi po kolacji, akompaniuje ona, a nie Juruś (żałośnie akompaniował), daje się potem namówić na kawalątek Strawińskiego, którego nauczyła się na pamięć. Wszystko byłoby wspaniałe i jaką pyszną informację napisałby Hermiona o jej weekendzie! Zamiast tego Olga śpiewała tym Boucherom, choć jedno i drugie nie odróżniało nut ani nie doceniało faktu, że primadonna we własnym domu im zaśpiewała. Nie mogła zdzierżyć goryczy.

- Kochane, stare pieśni Schuberta! - powiedziała wyjątkowo kwaśno. - Słodkie i staromodne. Wiedmung, jak się domyślam.

- Nie, to napisał Schumann - sprostował Juruś, dotknięty do żywego jej tonem, choć odgadł jak cierpi.

Lucia wiedziała, że ma rację, ale musiała trzymać się swego.

- Wydaje mi się, że Schubert - upierała się. - Zresztą, to nieistotne. I co, aby zacytować drogiego Pepysa, do łóża?

Juruś wyraźnie świetnie się bawił.

- O, nie, poszliśmy spać strasznie późno - oznajmił. - Ale nie byłabyś zadowolona, gdybyś z nami była, bo następnie... następnie włączyliśmy gramofon...

- O tak, uciekłabym - Lucia syknęła.

Jej przekonanie, że gramofon jest parodią i sprofanowaniem muzyki, było powszechnie znane.

- Włączyliśmy gramofon, żeby potańczyć - powiedział twardo Juruś.

Ze wszystkiego, co dotąd słyszała, to było najgorsze. Znowu wyobraziła sobie, jaki mógł być wczorajszy wieczór. Myśl, że wpadłaby ze swymi gośćmi po kolacji, by posłuchać śpiewu Olgi, a potem zaimprovizować potańcówkę z primadonną i księżniczką... To była agonია, nie do zniesienia. Zachichotała straszliwie.

- A to zabawne! - rzekła. - Aż nie mogę sobie wyobrazić. Pani Boucher na swoim wózku chyba była niezgrabną partnerką, Jurusiu. Bardzo cię dzisiaj bołą kości?

- Nie, pani Boucher nie tańczyła - wyjaśnił Juruś ze straszną dokładnością. - Patrzyła i nakręcała gramofon. Tańczyliśmy we czworo: Olga, księżniczka, pułkownik Boucher i ja.

Lucia poczyniła ogromny wysiłek. Doskonale wiedziała, że Juruś wiedział, że dałaby wszystko, aby móc przyprowadzić swoich gości. Czowała się jeszcze gorzej (o ile to było możliwe) prawiąc na ten temat sarkazmy i udając, że to wszystko było śmieszne. Z pewnością Olga zostawiła ją z jej znajomymi w taki sam sposób, jak ona zostawiła Riseholme podczas weekendu. A jednak to nierozsądne, wędnać z powodu tańców pułkownika Bouchera. Jasno dała do zrozumienia, że jest zajęta swymi gośćmi i gdyby nie ten pechowy przypadek, że przyjechała Olga, nie wydarzyłoby się tamtego dnia nic, w czym nie miałyby udziału. Trudno, trzeba to przeżyć, a jeśli drogie Riseholme czuło się obrażone, trzeba Riseholme udobruchać!

- Na pewno była to świetna zabawa - powiedziała. - Pyszne są takie improwizacje! I śpiew... cóż, miałeś przyjemny wieczór, Jurusiu. A teraz przygotujmy smakowity plan na dziś. Wpadnij za chwilę. Pogramy troszeczkę i zjemy obiadek.

- Obawiam się, że obiecałem Daisy, że na obiad pójde do niej - odrzekł.

I znowu było to przykre, gdyż bez wątpienia Daisy, powiedziawszy, że ma gości, wpadła tu, aby tego gościa zaprosić.

- Same radości! - Lucia nie dawała się zniechęcić. - No to przyjdź dziś wieczór na kolację! Doprawdy, Juruś, jesteś bardziej zajęty niż my wszyscy w Londynie.

- Paskudna sprawa - przyznał się Juruś. - Ponieważ Olga do mnie przychodzi.

- A księżniczka? - zapytała Lucia zanim mogła się powstrzymać.

- Nie. Pojechała dzisiaj rano - odparł.

Przynajmniej coś - pomyślała Lucia. Jedna ważna osobistość opuściła Riseholme. Czekala z więdnącą nadzieją, aż Juruś zaprosi ją na kolację. Może też zaprosi Pepina, a jeśli nie, to Pepino będzie całkiem szczęśliwy sam na sam ze swym teleskopem i swymi krzyżówkami. A jednak było to dziwne i niesmaczne, że musiała czekać, by ktoś w Riseholme zechciał zaprosić ją na obiad, a nie że oni wszyscy czekają aż ona ich zaprosi.

- Pojechała o dziesiątej trzydzięci - dodał Juruś po chwili potwornej ciszy.

Lucia zdążyła się nauczyć jednego w Londynie. Gdy spotka cię afront (a to dziwnie przypominało afront), jedynym wyjściem było udawać, że się o niczym nie wie. A więc, choć słabo się jej robiło na myśl, że to Juruś ją tak potraktował, udawała, że niczego nie zauważyła.

- Bardzo dobry pociąg - powiedziała, z cudowną nieświadomością faktu, że zatrzymywał się na każdej stacji, wlokąc się pomiędzy wszystkimi.

- Świetny - przyznał Juruś z przekonaniem.

Nie miał najmniejszego zamiaru prosić Luci na kolację, bo chciał mieć swe *tête-à-tête* z Olgą. Będzie tak wiele tematów do rozprawy, a zresztą naprzykrzałyby się, ponieważ z pewnością miałyby mnóstwo do powiedzenia na temat jej cudownego życia w Londynie, jej salonu muzycznego i jej krzesel chippendale i w ogóle będzie się szarogęsić. No i trzeba ją ukarać za jej odrażające zachowanie, za ignorowanie starych przyjaciół, gdy naspraszała gości z Londynu. Niech wie, że jej starzy przyjaciele są o wiele sprytniejsi od niej.

Lucia trzymała się twardo.

- Cóż, Jurusiu, muszę uciekać - oświadczyła. - Z tyloma osobami mam się spotkać. Wpadnij, gdybyś miał wolną chwilę. Ja znowu jutro wyjeżdżam. Cały wir różnych zdarzeń w tym tygodniu w Londynie.

Lucia, zamiast spotkać się z tyloma osobami, poszła do domu, do Pepina. Siedział w ogrodzie, ubrany w bardzo stare łachy, palił fajkę i delektował się całkowitym brakiem zajęcia. Był świadomy, że oficjalnie uwielbiał londyński zawrót głowy, ale z wielką przyjemnością siedział w swoim ogrodzie i palił fajkę, a poza tym cieszył się ponad wszystko, że wreszcie pozbyli się tych zawrotnych ludzi, którzy gadali bezustannie od rana do wieczora przez całą niedzielę. Dał spokój krzyżowce i rozmyślał nad początkami sonetu o niezmaconym spokoju, gdy wyszła do niego Lucia.

- Zastanawiałam się, Pepino - odezwała się - czy nie byłoby przyjemniej pojechać do miasta dzisiaj po południu. Jechalibyśmy w chłodzie wieczora, a naprawdę, wszyscy nasi goście pojechali, my mamy jechać dopiero jutro, więc te godziny będą raczej nużące. Jesteśmy rozpieszczeni, caro, ty i ja, naszym życiem wypełnionym do cna, gdy w każdej chwili może zadzwonić telefon z jakimś rozkosznym zaproszeniem. Oczywiście, będziemy tutaj w sierpniu i znowu pograżymy się w naszym nadzwyczajnym życiu, ale wiesz, te niezagospodarowane urywki czasu...

Pepino był dość zdumiony. Pół godziny wcześniej Lucia wyruszyła aż płonąć z entuzjazmu, by „nawiązać stare kontakty”, a teraz nic już nie chciała nawiązywać. Chociaż doskonale wiedział, że nie nadaży za błyskawicznym i nieobliczalnym postępowaniem Luci, umiał dodać dwa do dwóch. Cały poprzedni dzień miał nieodparte wrażenie, że sprawy nie idą tak, jak Lucia by sobie życzyła. Wiedział też, że wysiłki, by zwabić Olgę i jej gościa okazały się jałowe, ale tu chodziło o coś jeszcze. Chociaż nie miał zbyt bujnej wyobraźni (poza tym, że znajdował rymy tam, gdzie ich nie było), przyszło mu na myśl, iż Lucia zirytowała Riseholme, które dawało to po sobie poznać w jakiś niezwykły sposób.

- Czemu kochanie? Myślałem, że zaprosisz gości na obiad i na kolację - powiedział - i zajmiesz się prezentacją różna do muzeum, i będziesz niesamowicie zajęta przez cały dzień.

Lucia wzięła się w garść. Przez chwilę walczyła z impulsywną chęcią wyżalenia się Pepinowi i opowiedzenia mu o wszystkich złowieszczych wydarzeniach minionej godziny; jak to Daisy powiedziała, że ma gości na obiad, a Juruś podejmował Olgę kolacją, a jej nie zaprosił, i że hojny dar w postaci różna musiał najpierw zostać rozpatrzony przez komitet muzeum zanim będzie ewentualnie przyjęty. Ale wtedy musiałyby przyznać, że spotkał ją nie jeden afront, a wiele, co pozostawało w całkowitej niezgodzie z zasadą osiągania sukcesu. Nie wolno jej nigdy się przyznać, nawet Pepinowi, że koła jej rydwanu grzęzną albo że w obecnej chwili Riseholme nie czeka z otwartymi ustami na oznakę jej łaski. Nie wolno jej się nawet przyznać przed samą sobą, a więc wykonała gwałtowne i zupełne *volte face*.

- Będzie, jak sobie życzysz, *caro* - oświadczyła. - Wolisz spędzić cichy dzień tutaj, a więc spędzisz. Jeśli zaś o mnie chodzi, przecież nie widziałeś nigdy, abym nie miała zajęcia, prawda? Mam stertę listów do napisania, i mój fortepian stoi tam i patrzy na mnie z wielkim wyrzutem, ponieważ nie tknęłam jego drogich klawiszy odkąd tu przyjechałam, no i muszę choć przekartkować „Henryka VIII”, jeśli mamy się jutro na tę sztukę wybrać. Będę wystarczająco zajęta, a ty będziesz miał swój dzień na powietrzu i na słońcu. Tylko wydawało mi się, że wolałbyś pojechać do miasta dzisiaj i nie czekać do jutra. Nie zatrzymuj już mnie na pogaduszkach.

Tego ponurego dnia Lucia udowodniła, ile jest warta. Grała na fortepianie z całym swym zwykłym skupieniem, przeczytała „Henryka VIII”, napisała listy i dopiero gdy dostarczono wieczorną gazetę, pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia. Szybko przewracała strony, nie zatrzymując się przy krzyżówce ani kronice spraw międzynarodowych, aż znalazła kolumnę Hermiony. Obawiała się (i z westchnieniem ulgi zobaczyła, jak mało uzasadnione były jej obawy), że Hermiona poświęci swój barwny styl Oldze i księżniczce, a jej i jej gościom przydzielili końcówkę ostatniego akapitu. Niepotrzebnie się niepokoiła. Olga nie zwróciła na niego uwagi, a więc (to sprawiedliwe, nieprawda?), a więc on nie zauważył Olgi. Tylko nadmienił, iż miała „śliczną chatkę” w Riseholme, dokąd od czasu do czasu przyjeżdżała na niedziele. Trzy przepyszne akapity o domu Przy Zgajniku oraz państwu Lucas, którzy gościli lorda Limpsfielda,



panią Garroby-Smith, i panią Alingsby. Na podwieczorek wpadła z dwom lady Ambermere ze swoimi gośćmi, i wszystko było wspaniałe oraz dystyngowane. Hermiona okazał się prawdziwym przyjacielem, nie napisał ani słowa o Oldze i księżniczce, udających się na obiad do Jurusia, ani o Daisy i jej absurdalnym lidżowaniu... Lucia odczytała smakowite zdanie dwa razy, a potem, jak u niej było w zwyczaju, posłała swoją gazetę do Jurusia, aby ułatwić mu przewartościowanie.

Niemalże jednocześnie Daisy posłała do niego de Veré ze swoim egzemplarzem i zrobiła to też pani Boucher, zakreślając odrażające notatki odpowiednio niebieską i czerwoną kredką oraz większą liczbą wykrzykników w obu przypadkach.

Riseholme powróciło do swych wyczerpujących zajęć, natomiast Lucia odjechała następnego dnia rano, aby podjąć na nowo swój pusty żywot w Londynie. Nikt już się na nią nie gniewał, ponieważ dostała nauczki i wszyscy byli gotowi powitać ją mile, kiedy (jeśli w ogóle) wróci w dobrym nastroju i będzie się zachowywać. Zresztą, mimo swych wielu różnych stałych zajęć, Riseholme po cichu tęskniło do Luci, wiecznie przewodzącej, chociaż się szerogęsiła, zachowywała się absurdalnie, udawała, że się na wszystkim zna i wtykała nos we wszystko, co znalazło się w zasięgu ręki. Jednakże Riseholme nie tęskniło do tej nowej Luci z cieniowanymi włosami, która przywiozła ze sobą nowych przyjaciół, śmiała się z muzeum i całkiem zaniedbała starych przyjaciół, póki nie dowiedziała się, że na miejscu była Olga z księżniczką - im rzadziej ta Luci się będzie pokazywać, tym lepiej. Powszechnie uważano, iż pozostała jeden dzień dłużej, aby udobruchać tych, których potraktowała jak pariasów, że łaskawie zechciała ich zauważyć, a jeśli istniało coś, czego Riseholme nie mogło ścierpieć, i nie zamierzało znosić od nikogo, to łaska. A więc Daisy i pani Boucher zachowały się całkiem poprawnie, mówiąc, że nie mogą przyjść na obiad, a Juruś, że nie zaprosił jej na kolację... Tych troje stanowiło komitet muzeum i spotkali się pewnego ranka, by przejrzeć tygodniowe rachunki i omówić wszelkie sprawy związane lub nie związane ze swoją funkcją. Oczywiście, w tak niewielkim i dobrze się znającym gronie nie było potrzeby wybierania przewodniczącego, więc każde stuknęło w stół, gdy chciało wygłosić jakąś kwestię.

Pani Boucher zachłannie liczyła szylingi wyjęte z kasy, natomiast Jurni liczył kupony oderwane z biletów.

- Sto dwadzieścia trzy - oświadczył. - Jak dotąd, to nasz najlepszy tydzień.

- Piętnaście i cztery, razem dziewiętnaście - powiedziała pani Boucher - i cztery, to razem dwadzieścia trzy, czyli dokładnie sześć funtów i trzy szylingi. No, ja twierdzę, że to nieźle. Poza tym słyszałam, że otrzymaliśmy cudowny dar. Olga jest wyjątkowo hojna. Uważam, że powinniśmy nie tylko jej podziękować, ale poprosić ją, aby została członkiem komitetu. Zawsze mówiłam...

Daisy zastukała w stół.

- Abfou mówił dokładnie to samo - przerwała. - Dziś rano odbyłam seans i wciąż mi pisał „komitet”. Wzięłam kartkę ze sobą, ponieważ miałam sama to zaproponować. Ale zacznijmy od czegoś innego. Ubezpieczenie. Robert powiedział, że ubezpiecza budynek i osobno zawartość na tysiąc funtów. Oczywiście, będziemy musieli wnieść opłatę. Aha, tu macie przesłanie Abfoua. Widzicie? „Komitet”, napisał trzy razy. Jestem całkowicie przekonana, że chodzi o Olę.

- Napisał „komited” - powiedział Juruś - ale prawdopodobnie to miał na myśli. Zanim do tego przejdziemy, mam jeszcze jedną sprawę, ponieważ ofiarowano mi jeszcze jeden przedmiot do muzeum i powiedziałem, że muszę porozumieć się z komitetem zanim go przyjmę. Lucia przyszła się ze mną zobaczyć wczoraj rano i zapytała...

- Elżbietański rozen - wtrąciła pani Boucher. - Moim zdaniem, nie widzę, do czego miałyby się nam przydać. Gdybym mówiła, co myślę, podziękowałabym jej bardzo uprzejmie i błagała, aby się nie rozstawała z nim. To bardzo miłe z jej strony, jestem przekonana. Z przykrością muszę odmówić, tak właśnie powiedziałam jej, gdy mnie prosiła na obiad wczoraj. Zapewne podałyby na zimno udka z tych kurcząt, z których jej londyńscy goście objedli skrzydełka.

- Mnie też zapraszała - przyznała Daisy. - Powiedziałam „nie”. Czy wyjechała dziś rano?

- Tak, mniej więcej wpół do jedenastej - odpowiedział Juruś. - Chciała, żebym zaprosił ją na kolację wczorajszego wieczoru.

Daisy pisała raz po raz „komitet” na bibule. Wyglądało bardzo dziwnie, pisane przez „t”. Sama na pewno napisałaby przez „d”.

- Wydaje mi się, że Abfou ma rację pisząc „komitet” w ten sposób - oświadczyła - a nawet jeśli, to wyraził się dość jasno. Natomiast ubezpieczenie. Robert radzi ubezpieczyć się tylko od pożaru, ponieważ mówi, że żaden włamywacz przy zdrowych zmysłach...

Pani Boucher zastukała w stół.

- Ale wtedy jeszcze nie było manuskryptu „Lukrecji” - zauważyła. - I sędzę, że włamywacz uznałby to za warte zachodu. Jeśliby zaś powstała kwestia ubezpieczenia elżbietańskiego rożna...

- Cóż, ja chcę wiedzieć, co komitet uważa, że powinienem powiedzieć - rzekł Juruś. - A, na marginesie, przy następnym wydaniu katalogu będziemy musieli wprowadzić poprawki. Włączyć manuskrypt „Lukrecji”.

- Moim zdaniem - oznajmiła pani Boucher - ona po prostu chce się pozbyć tego rożna, bo od niego jej kominiek dymi. Powiedz jej, żeby kazała wyczyścić komin i niech sobie zatrzyma ten rożen.

- W saloniku muzycznym wisi jej portret namalowany przez Sigismunda - powiedział Juruś. - Nie przypomina niczego...

- Oczywiście, że każdy ma prawo obciąć sobie włosy - przyznała pani Boucher - bez względu na wiek. Nie ma takiego przepisu, który by tego zabraniał.

Daisy zastukała w stół.

- Rozważaliśmy, czy przyjąć panią Shuttleworth na członka komitetu - przypomniała.

- Śpiewała w niedzielę wieczorem i to jak pięknie - wtrącił Juruś. - A potem świetnie się bawiliśmy, tańcząc. Aha, Lucia chciała wpisać się do książki księżniczki, a księżniczka wzięła ze sobą tylko książkę z krzyżówkami.

- Nie! - wykrzyknęły obie panie.

- Owszem, ponieważ pokojówka Olgi powiedziała Foljambe, a...

- No nie! - ucieszyła się Daisy. - Dostała nauczkę. Czy wpisała się Lucia poziomo i Pepino w pionie?

- Oczywiście, że nie mam do niej pretensji - oświadczyła pani Boucher - ale ludziom zwykle dostaje się to, na co zasłużyli. Absolutnie możemy ubezpieczyć muzeum, jeżeli powinniśmy, zaś co się tyczy przyjęcia Olgi, to uzgodniliśmy to parę godzin temu, a o rożnie nie mam już nic do powiedzenia. Weźcie rożen, jeśli macie ochotę, ale szybciej ubezpieczyłabym sobie katar niż to.

Jedno jest równe drugiemu. A co do tej łaskawej kasztelanki zamieszkującej w domu Przy Zagajniku! Mój małżonek czytał „Gazetę Wieczorną” i powiedział tylko: Też! „Masz” i „też”, oto co powiedział!

Opinia publiczna zaczynała się burzyć przeciwko Luci. Wkroczył więc Juruś.

- Wydaje mi się, że to wszystko, co mieliśmy rozpatrzyć na tym posiedzeniu - podsumował. - A więc przyjmujemy manuskrypt „Lukrecji”, ale nie rożen. Jestem przekonany, że obu ofiarodawczyniom należy się uznanie. Olgę zapraszamy do uczestnictwa w komitecie. No, to poranek spędziliśmy pracowicie.

W tym czasie Lucia wracała samochodem do Londynu. Zamierzała być przez cały tydzień bardzo zajęta. Dwa wieczory poświęci operze; drugiego Olga śpiewa w „Walkirii”. Lucia bynajmniej nie miała zamiaru deprecjonować jej śpiewu, ani powstrzymać się od pójścia, by zemścić się za doznany afront. Nawet jeśli Olga wyła jak hiena i stała jak kij od miotły na scenie, Lucia twierdziłaby, że nigdy nie widziała równie pięknej interpretacji Brunhildy. Nie mogła sobie wyobrazić takiej głupoty, żeby się w podobny sposób rozprawić z Olgą, ponieważ nie przyszła do niej w gości ani nie pozwoliła jej przyjść do Starego Domu - doprawdy byłby to szczyt głupoty. W danej chwili była (a raczej miała taką nadzieję) na ścieżce wiodącej pod górę i wspinaczka wymagała ciężkiej pracy oraz pozytywnych myśli. Gdy znajdzie się na szczycie - o, to inna sprawa. Ale obecnie Olga była atutem, Lucia mogła nadmieniać o drogiej Oldze i bezustannym wpadaniu i zagładaniu w Riseholme; poza tym wiedziała dużo o jej poczynaniach w niedzielę i to wszystko też się przyda. Zawsze podziwiał, zawsze doceniał - myślała Lucia budząc Pepina z głębokiej drzemki, gdy zajechali na Brompton Square. - Wciąż się czymś zajmuj i pracuj, pracuj, pracuj. Już wiedziała, że czekała ją ciężka praca zanim dotrze tam, gdzie chciała być i jak natrętną muchę, przeszkadzającą w skupieniu, odpędziła rozczarowanie, jakie przyniósł jej weekend. Postępując w przód nie wolno było nigdy spoglądać za siebie (straszny przykład żony Lota!) i przenigdy nie należało odtrącać drabiny, która cię gdzieś zaprowadziła lub zaprowadzić mogła, chyba żeby się było absolutnie pewnym, że się jej już nie potrzebuje. Lucia zdą-

żyła się tego nauczyć, ponieważ gdyby tylko powiadomiła Jurusia że przyjeżdża na weekend i zaprosiła go na obiad, kolację i co tylko zechciał, na pewno wzięłby Olę do domu Przy Zagajniku, albo nie mógłby iść na kolację do niej w tą koszmarną niedzielę, bo byłby zaproszony tu, a wtedy bez wątpienia Olga poprosiłaby wszystkich do siebie na wieczór. Odtrącenie Riseholme było błędem, żalonym błędem i nigdy więcej takiego nie popełni. Następnym błędem były sarkastyczne uwagi o kimkolwiek, jeśli się nie było pewnym, czy ten ktoś nie może ci w czymś pomóc, a kto mógłby się cieszyć taką pewnością? Nawet biedna kochana Daisy ze swoim śmiesznym Abfouem, okazała się taką atrakcją w Starym Domu, że Jurusiowi zaledwie starczyło czasu, by wrócić do siebie i przebrać się do kolacji, a dobrotliwa Daisy, w odróżnieniu od Daisy wojującej i złośliwej, mogłaby pomóc. Wszystko pomaga - pomyślała Lucia porywając karteczki leżące przy telefonie, na których zapisano kto dzwonił podczas jej nieobecności.

Prawie sapnęła ze zdumienia, tak á propos była wiadomość, którą odebrano zaledwie dziesięć minut temu. Marcia Whitby miała nadzieję, że przyjdzie do niej na kolację tego wieczoru. Prosiła, aby przekazać wiadomość, jak tylko Lucia przyjdzie. Nic innego, jak zaproszenie z ostatniej chwili: ktoś zawiódł i zapewne do stołu ma zasiąść trzynaście osób. Niewielki był to komplement, ponieważ Marcia (domyślała się Lucia) szukała już wszędzie i w desperacji zwróciła się do Luci... Oczywiście mieli bilety na premierę „Henryka VIII”, ale może uda się jej znaleźć kogoś, kto poszedłby z Pepinem... Ach, przypomniało się jej, jak Aggie Sandeman lamentowała, że nie zdołała zaklepać sobie miejsca! Nie czekając ani chwili zadzwoniła do księżnej Whitby i wyraziła swoją radość, że przyjdzie wieczorem na kolację. Tyle szczęścia, to czarujące. Następnie, umówiwszy się już, zadzwoniła do Aggie, która aż podskoczyła na wieść o bilecie do teatru. Wreszcie Lucia powiedziała o wszystkim Pepinowi.

- *Caro*, musiałam ulec - powiedziała, wbiegając do salonu muzycznego gdzie siedział nad podwieczorkiem. - Biedna zdesperowana Marcia Whitby.

- A cóż się stało? - zapytał Pepino.

- Nie mają kompletu gości, jak rozumiem brakuje im kobiety na dzisiejszą kolację, zaklinała mnie, abym przyszła. Mimo to i tak

pójdiesz na swoją sztukę, z kochaną i słodką damą. Zgadnij! Nie, sama ci powiem: Aggie. Bardzo chciała iść, a więc uprzejmość za uprzejmość. Będziesz miał ze sobą kogoś bardziej interesującego w rozmowie niż twa biedna, stara *sposa*. Najdroższa Aggie zobaczy tę sztukę, a Marcia będzie mi ogromnie wdzięczna. Nie pójde do teatru, ale wybiorę się kiedy indziej, chyba że mi powiesz, że jest do niczego.

„Gazeta Wieczorna” tego dnia nie mogła publikować więcej nowin o kasztelance zamieszkałej w domu Przy Zagajniku, ale Lucia z pewną niecierpliwością szukała kolumny Hermiony, w nadziei, że znajdzie coś na temat kolacji u księżny. Nie wydawało się, aby Hermiona o tym słyszała, ale jeśli Hermiona przyjdzie jutro na obiad, usłyszysz. Zadzwoiła do niego...

Uległość Luci wobec Marci Whitby została w różnoraki sposób wynagrodzona. Z londyńskiego przyzwyczajenia zjawiała się tam dość wcześnie, by usłyszeć nazwiska wszystkich przybywających gości, zaś Marcia, która raczej ciepło się do niej odniosła, ponieważ prosiła kilka tuzinów pań, żeby tylko do kolacji nie zasiadło trzysta osób, zwracała się do niej „Luciu”, a nie „pani Lucas”. Luci wcale nie było trudno odwzajemnić się księżnej w podobnie poufały sposób z całkowitą naturalnością, ponieważ od wielu tygodni mówiła jej za plecami po imieniu i, przyzwyczajona, nawet się nie zająknęła.

- To słodkie z twojej strony, że mnie zaprosiłaś, droga Marciu - powiedziała. - Pepino i ja przyjechaliśmy z Riseholme zaledwie godzinę czy dwie temu i on poszedł do teatru z Aggie Sandeman zamiast ze mną. Piękną mieliśmy niedzielę w Riseholme: musisz kiedyś poświęcić weekend, przyjechać tam i powegetować. Były Olga Shuttleworth z księżniczką Isabel. Śpiewała wprost bosko w niedzielny wieczór, a potem, nie uwierzysz, nakręciliśmy gramofon i tańczyliśmy.

- A to zbieg okoliczności! - wyznała Marcia. - Ponieważ zorganizowałam na dziś wieczór tańce, i przychodzi księżniczka Isabel. Nic tak szykownego jak wasza zabawa w Riseholme.

Podeszła do drzwi, aby witać przybywających gości, a Lucia, z uszami nastawionymi na dźwięk dystyngowanych nazwisk, na chwilę zlekła się, że dała do zrozumienia (całkiem zamierzenie), iż tańczyła do muzyki z gramofonu Olgi. Jednakże trwało to

zaledwie moment. Niebawem zjawila się księżniczka i gospodyni oprowadzała ją, by mogła przyjąć ukłony.

- Oczywiście, znasz panią Lucas - powiedziała Marcia. - Właśnie opowiadała mi, jak tańczyliście przy gramofonie u niej w niedzielę.

Lucia pozbierała się do dygu.

- Nie, droga Marciu - odezwała się. - To było u Olgi, faktycznie...

Księżniczka zmierzyła ją królewskim okiem, jakby rozumiała, i przeszła dalej.

Lecz była to jedyna katastrofa i taka niewielka! Księżniczka lubiła dziwaków, a więc Marcia zaprosiła gwiazdora filmowego, znanego pisarza i kobietę z cerą jak u wędzonego śledzia po dwukrotnej pieszej podróży przez Saharę czy też przepłynięciu Atlantyku, czy czegoś temu podobnego, oraz karykaturzystę i szczupłego młodego dżentelmena o miękkim głosie, który okazał się najkrwawszym bokserem stulecia, a także premiera, dwie ambasadorowe i wielką panią Beaucourt, która właśnie zszokowała świat skandalizującym tomikiem absolutnie zmyślonych wspomnień. Każda z tych osób byłaby klejnotem na przyjęciu i Luci wydawało się, że tak grube smarowanie masełka jest zwykłym przestępstwem; w rzeczywistości nie dostrzegała nikogo, prócz siebie, kto byłby zwyczajnym chlebem. Przed końcem kolacji zdążyła umówić się z jednym sąsiadem i drugim, bokserem i gwiazdorem, na następny tydzień i w myśli przeszukiwała listy znajomych, których mogłaby zaprosić na kolację z jednym oraz z drugim. Jak się dowiedziała, Alf Watson, ten bokser, kiedy nie był zajęty pozbawianiem ludzi przytomności, poświęcał swój czas grze na flecie, aby ukoić swe dzikie serce. Natomiast Marcelle Periscope, jeśli nie zamieniał się w roznamiętnionego kochanka, bawił się ze swoim częściowo oswojonym lwiatkiem. Lucia błagała Alfa, aby przyniósł swój flet i razem mogli coś zagrać, lecz nie przekazała zaprosin dla lwiatka, które wydało się jej pomysłem z lekka bolszewickim... Później dopadła Herberta Altona, karykaturzystę, który przyrzekł zjawić się na niedzielnym obiedzie, ale nic jej się nie udało zdziałać w przypadku tej pani od Sahary, która następnego dnia wyjeżdżała, żeby przepłynąć wpływ jakieś następne morze, czy przejść następną pustynię. Polem zaczęli schodzić się goście na tańce i Lucia, już prawie do cna

oszolomiona natłokiem ważnych osobistości, wtopiła się uszczęśliwiona w fotel u szczytu schodów i słuchała katalogu dźwięcznych nazwisk. Wstępowały gwiazdy i podwiązki, i tiary; a gdy poczuła się na siłach, uczepiła się lorda Limpsfielda, który chyba znał wszystkich, i zgarniała introdukcje.

Lucia dotarła do domu dopiero o trzeciej nad ranem (uległszy Marci i poświęciwszy dla tego celu przedstawienie, wypadało się poświęcić do cna), ale już przed dziewiątą następnego dnia rano zajęła się wypisywaniem zaproszeń na dwie kolacje, które planowała na następny tydzień. Pepino miał zjeść obiad w swoim klubie, gdzie mógł spotkać królewskiego astronoma i pogadać chwilkę o konstelacjach, ale kazała mu zadzwonić kwadrans po drugiej i upewnić się, czy nie umówiła go z kimś na popołudnie. Ta myśl wciąż zalegała jej w głowie, podczas gdy wypełniała karty zaproszeń swym drobnym, ślicznym pismem. W jadalni był telefon i wyobraziła sobie, że dzwoni Pepino, kiedy ona i gość lub dwóch jeszcze będą przy stole. Byłoby to pod koniec obiadu -piliby kawę, którą zawsze parzyła sama w szklanej maszynie ogrzewanej lampką spirytusową, co wyglądało jakby miała wybuchnąć, gdy już kawa była gotowa. Z pokoju wyszłaby już służba, więc ona musiałaby sama podejść do telefonu... Usłyszałaby głos Pepina, ale nikt poza nią nie wiedziałby, kto jest z drugiej strony i z łatwością mogłaby udać, że to nie Pepino, ale... Powiedziałyby coś, co słyszeliby goście, ale odwróciłyby się od słuchawki, żeby Pepino nie zrozumiał i odłożyłyby telefon... Niewątpliwie Pepino pomyśli, że się źle połączył i zaraz zadzwoniłby znowu, po czym powiedziałyby mu to, co miała mu powiedzieć. Ta myśl nabierała kształtów; było w tym coś pociągającego i sympatycznego.

Skończyła zaproszenia na kolację z gwiazdorem filmowym, na kolację z bokserem-flecistą i zaczęła obmyślać niedzielny obiad z Herbertem Altonem. Powiedział jej, że ciężko pracuje nad ukończeniem serii karykatur, którymi co roku raczył towarzystwo londyńskie, i które miał wystawić za dwa tygodnie. Był licencjonowanym satyrykiem i zazwyczaj cały Londyn tłumnie gromadził się, by cieszyć się z tego, co z nich wszystkich zrobił, i jakie śmieszne i smakowite podpisy dał pod te monstrualne wizje. Karykatura jego autorstwa w pewien sposób wyróżniała sportretowaną osobę, była oznaką, że ten ktoś zwracał na siebie



uwagę, że należało się z nim (nią) liczyć. Mógł z człowieka stworzyć ideał (jak było u niego w zwyczaju) i dodać podpis wyśmiewający się z jakiejś typowej jego cechy, ale co za reklama! Lucia zastanawiała się, czy wzięłby zapłatę i czy dałoby się go przekonać aby zrobił karkaturę Pepina lub jej samej, za godziwą cenę, pod warunkiem, że zostaną pokazane na wystawie. Prawdopodobnie było to do załatwienia; gdy to ustali, porozmawia z nim w niedzielę. Zresztą, poprosi jedną czy dwie sympatyczne osoby razem z nim i będzie mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Tego dnia Lucia gościła u siebie zaledwie trzy osoby na obiedzie. Uważała bowiem, że obiad należy do *intimés*, ludzi przy których można było oprzeć łokcie na stole, rozmawiać jeden przez drugiego i wymieniać nowiny, zupełnie jak na błoniach w Riseholme. Duże przyjęcia obiadowe były dziwnie nieporęczne, trudno się było skupić, a ponieważ każdy się starał przyswoić sobie więcej nowin niż to było możliwe, zapominał połowę. Dlatego dzisiaj obecna była tylko Aggie Sandeman, wczorajsza towarzyszką Pepina w teatrze, ze swoją kuzynką Adelą Brixton, (której Lucia jeszcze nie знаła, ale bardzo chciała poznać) oraz Stefan Merriall. Lady Brixton była szczupłą, inteligentną Amerykanką posiadającą pokaźną fortunę, która przekonała się, że lepiej żyje bez męża. Ponieważ lord Brixton wolał mieszkać w Ameryce, a ona w Anglii, z łatwością dało się sprawę w satysfakcjonujący sposób rozwiązać. Od czasu do czasu musiała jechać zobaczyć się z krewnymi w Ameryce, wtedy on planował sobie wizyty u swoich krewnych w Anglii. Opisała z humorem tę sytuację Luci, która pochopnie zapytała o jej męża.

- W rzeczywistości posyłamy sobie całusy z pokładów statków atlantyckich, które płyną w przeciwnych kierunkach, jeśli morze jest spokojne, jeśli zaś nie, to rzygamy do tego samego oceanu.

Takiej rzeczy nikt nigdy nie powiedziałby w Riseholme, a gdyby jednak, spotkałoby się to z wielką dezaprobatą. Zmuszono by się do chłodnego uśmiechu i zmieniono by temat. Lucia z przyzwyczajenia uśmiechnęła się z przymusem, po czym przypomniała sobie, że nie można było oceniać Londynu podług cnotliwej miary Riseholme. Zamieniła przymusowy uśmiech w uśmiech jowialny.

- A to świetnie! - powiedziała. - Muszę o tym powiedzieć Pepinowi.

- Pep... jak? - zapytała lady Brixton.

Nastąpiły wyjaśnienia, wyjaśniono również, że Aggie była razem z Pepinem w teatrze poprzedniego wieczoru. Zbyt wiele było tych wyjaśnień, aby czuć się dobrze pod względem towarzyskim i Lucia uznała, że nadszedł czas, aby im wszystkim powiedzieć, co robiła poprzedniej nocy. Zrobiła to w charakterystyczny sposób.

- Droga lady Brixton, odkąd tylko pani weszła zastanawiałam się, gdzie już panią widziałam. Jestem pewna, że zeszłego wieczoru na tańcach u naszej kochanej Marcii.

Byłoby to wprowadzeniem owego pasjonującego tematu i choć zupełnie mijało się z prawdą, jednakże próba okazała się nie całkiem chybiona.

- Tak, byłam tam - przyznała Adela. - Ale ścisk. Absolutny mor-monizm: na jednego mężczyznę przypadało pięćdziesiąt kobiet.

- Jakaż pani niemiła! Jadłam tam kolację w nie nazbyt liczonym towarzystwie. Księżniczka Isabel, która w niedzielę gościła w naszym kochanym malutkim Riseholme, u Olgi, prawdziwy zbieg okoliczności... - Lucia zatrzymała się rychło w czas, mało brakowało, a opisałaby improwizowane tańce u Olgi w niedzielę wieczór, ale przypomniało się jej, że Stefan wiedział, że wcale jej tam nie było. A więc dała spokój zbiegowi okoliczności i szybko ciągnęła dalej: - Droga Marcia nalegała, abym przysłała a więc, jak prawdziwy przyjaciel, poświęciłam teatr i poszłam. Doprawdy zabawna kolacyjka. Marcelle-Marcelle Périscope, premier i ambasadorowa włoska, i oczywiście księżniczka Isabel, i Alf, i jeszcze kilka innych osób. Marcia nie ma równych sobie w organizowaniu niezwykłych i cudownych kolacyjek. Alf był niezmiernie miły.

- Czyżby Alf Watson? - zapytała lady Brixton.

- Tak, siedziałam obok niego przy stole i przychodzi do mnie na kolację w przyszłym tygodniu, ma przynieść swój flet. On uwielbia grać na flecie. Czy dałaby się pani namówić, lady Brixton? We czwartek. Zaraz, niech sprawdzę, czy to na pewno czwar tek. Tak, czwartek. Żadne przyjęcie, po prostu kilku starych znajomych i muzyka. Muszę wyszukać kilka duetów na flel i fortepian; Alf kazał mi przysiąc, że będę mu akompaniować I Dora, to znaczy Dora Beaucourt. Co za barwne życie! I Sigis mund... nie, chyba go tam nie było, był u Sophy. Namalował mi

wspaniały portret, nieprawda Stefanie? Pamiętasz, widziałeś go w Riseholme. Sophy była taka zabawna, nalegała abym wyprowadziła wszystkie inne obrazy z saloniku muzycznego. Muszę ją poprosić, aby przyszła po kolacji we czwartek, flet ma coś prymitywnego w swym charakterze. Coś wręcz teokrytańskiego!

Lucia nagle przypomniała sobie, że nie powinna odtrącać drabin i zwróciła się do Aggie. Aggie była bardzo przydatna na początku jej pobytu w Londynie i może jeszcze się okazać przydatna, ponieważ знаła ogromnie wielu poważnych ludzi i jeśli jej przyjęcia nie błyszczały, to były wysoce przyzwoite. Chodzili na nie wszyscy ci, których Sophy nazywała starymi i zaskorupiałymi.

- Aggie, kochanie, jak tylko wrócisz do domu, zapisz sobie, że przychodzisz w środę do mnie na kolację - powiedziała. - A jeśli już masz zajęte (na pewno) proszę cię, rozchoruj się na niby-grypę. Będzie Marcelle-Marcelle Périscope, ale nie zapraszałam lwiątko. Lwiątko, czyż to nie drobne dziwactwo? Kto jeszcze był tam wczorajszej nocy? Rety, można całkiem się pogubić, tyle się ludzi spotyka.

Oczywiste, że Lucia nigdy się nie gubiła; w trzeźwości umysłu nie dorównał jej nikt, ale musiała troszkę przedłużać swój monolog, ponieważ Pepino spóźnił się i nie dzwonił. Ustawiono przed nią maszynkę do kawy i Lucia od niechcienia wyjmowała palni-czek spirytusowy, zanim woda mogła się zagotować, ponieważ wszyscy goście musieli siedzieć w jadalni, gdy zadzwoni telefon. Lecz w chwili, gdy rozpaczała nad pomieszaniem swej pamięci, zabrzmiał dzwonek telefonu. Szybko przećwiczyła w myśli to, co miała powiedzieć.

- Ach, ten telefon - westchnęła, wstając prędko, aby zdążyć, zanim wróci ktoś ze służby. - Często powtarzam Pepinowi, że wyrzucę aparat z domu, ponieważ nie daje nam ani chwili spokoju. Tak, tak, kto mówi?

Lucia nasłuchiwała chwilę, po czym dygnęła.

- Ach, to pani - powiedziała, trzymając słuchawkę lekko skrzywioną. - Tak, tu pani Lucas.

Chrapliwy dźwięk, czyli głos Pepina, dobieł się z aparatu, ale miała nadzieję, że tamci niczego nie słyszą. Wnet przerwała mu i zaczęła mówić bardzo prędko.

- O, z ogromną przyjemnością, wasza wysokość. To byłoby rozkoszne. Jutro... jestem oczarowana. Ogromnie się cieszę.

Odłożyła słuchawkę i natychmiast podjęła rozmowę tam, gdzie ją przerwała.

- No i oczywiście był też Herbert Alton - oznajmiła. - Za dwa tygodnie otwiera wystawę. Spotkamy się na pokazie zamkniętym i będziemy się śmiać ze swoich karykatur nawzajem! Cóż to powiedział Rousseau - Rousseau? - że nie całkiem nas smucą niepowodzenia naszych przyjaciół? Ile w tym prawdy! Cóż, Bertie jest czasem troszkę niedobry, a mimo to wybacza mu się wszystko. Ach, nareszcie zagotowała się kawa.

Jak Lucia się spodziewała, Pepino zadzwonił niemal natychmiast potem i powiedziała mu, że ominął go czarujący obiad, bo uparł się iść do swego klubu. Nic dziwnego, że jej goście aż płonęli z ciekawości, komu dygała, ale Lucia nic nie powiedziała na ten temat. Wkrótce Adela Brixton i Aggie wyszły, aby zdążyć na popołudniowy koncert. Stefan został. Luci to się spodobało, ponieważ zauważyła, że często przystojny i względnie młody mężczyzna pozostawał z gospodynią, gdy poszli sobie inni goście. Było w tym coś szykownego. Jeśliby się to zdarzało często, albo gdyby przyjechali lub wyszli razem z gościny, ludzie zaczęliby mówić, z sympatią oczywiście, o jego oddaniu. Właśnie takim cavalière servente był Juruś. Natomiast Stefan był absolutnie nieświadom wszelkich wycieczek lucinej myśli w tym kierunku; po prostu wiedział, że to wygoda dla samotnego mężczyzny mieć zaprzyjaźniony dom, gdzie go zawsze przyjmą i gdzie z pewnością usłyszy ciekawostki, które zainteresują Hermionę.

- Pyszne przyjętko - oświadczył. - Lady Brixton jest szczególnie czarującą kobietą.

- Droga Adela - rozmarzyła się Lucia. - Naprawdę czarująca, nieprawdaż? Jaka była zadowolona, że będzie mogła spotkać Alfa! Wpadnijże po kolacji w ten wieczór, Stefanie, chciałabym móc cię zaprosić na kolację, ale spodziewam się, że będzie tłum. Przyjdź na kolację we środę, dobrze? Zaraz, wtedy przychodzi Marcelle. Przyszły tydzień zapowiada się szaleńczo!

Stefan czekał, że powie coś, lecz czekał na próżno.

To pyszne przyjętko niezmiernie podnieciło Adelę Brixton, aż do szpiku kości była przejęta dygiem, który Lucia złożyła do telefonu.

- Moja droga, ona jest cudowna - powiedziała do Aggie. - Jest całym studium. Jest kosmiczna. Ten telefon, ten dyg! Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Ale z jakiego powodu nie powiedziała nam, kim była Wysokość? Nie miała skrupułów, gdy mówiła

o wszystkich innych ludziach, których poznała. Alf i Marcelle

i Marcia, i Bertie. W tym akurat przypadku popełniła błąd. Od lat znam Herberta Altona i nikt nigdy nie nazywał go inaczej niż Herbert. „Bertie” to był błąd, ale nie mów jej. Uwielbiam twoją Lucię Daleko zajdzie, zapamiętaj te słowa. Założę się, że w tej samej chwili mówi o mnie „Adela”. Nie widzisz, jaka jest cudowna? Sama pięłam się w górę i wiem. Ale w porównaniu z nią byłam ślimakiem.

Aggie Sandeman była rozdrażniona, że nie zaproszono jej na kolację z Alfem.

- Nie musisz mi mówić, jaka jest cudowna - zauważyła z pewną opryskliwością.  
- Nie minęły dwa miesiące od jej przyjazdu do Londynu. Wtedy jeszcze nie znała nikogo. Pierwszego wieczoru była u mnie na kolacji i odtąd anektuje każdą spotkaną u mnie osobę.

- Wcale mnie to nie dziwi - przyznała z podziwem Adela - A kto to był ten pan, który wyglądał jakby ktoś pomylił nalepki przy jego urodzeniu, bo powinien był przykleić mu nalepkę „dama” a nie „mężczyzna”? Wżyciu nie widziałam doskonalszej damy' choć obecnie wiem o nim tylko tyle, że nazywa się Stefan. Powiedziała jedynie: „Stefan, czy znasz lady Brixton?”

- To Stefan Merriall - odrzekła Aggie. - Jeden z tych panów którzy codziennie chodzą w gości na podwieczorek. Wolny.

- Ona go zniewoli - powiedziała Adela. - Rety, ale ze mnie trucizna, a idę do niej w przyszłym tygodniu zobaczyć Alfa! Wcale zresztą nie czuję się wrednie, jestem dziko zainteresowana, uwielbiam ją! No, to jesteśmy w teatrze, co za nuda! Patrz, jest Tony Limpsfield. Chodź tu, Tony, pomóż mi. Właśnie jadłyśmy obiad u najcudowniejszej...

- Zapewne myślisz o Luci - wtrącił Tony. - Spędziłem niedzielę u niej w Riseholme.

- Dygnęła do telefonu - zaczęła Adela.

- A z kim rozmawiała? - zapytał z ożywieniem Tony.

- Tego nie powiedziała - odparła Adela.

- Czemu nie? - zapytał.

Adela wysiadła energicznie z samochodu, za nią Aggie.

- Nie mam pojęcia - oznajmiła. - Czy znasz panią Sandeman?

- Oczywiście, że tak - odrzekł Tony. - Nie mogła to być księżniczka Isabel.

- Czemu nie? Spotkała ją wczoraj u Marcii.

- Owszem, ale księżniczka od niej uciekła. W Riseholme też uciekła i powiedziała, że nigdy nie wejdzie do jej do domu. To nie mogła być ona. Ale udało się jej dopaść tego boksera...

- Alfa Watsona - powiedziała Adela. - Nazywała go Alfem, a ja mam go spotkać u niej w czwartek.

- A więc bardzo jesteś niesympatyczna, Adelo, że ją obgadujesz - zauważył Tony.

- Wcale nie, po prostu jestem dziko zainteresowana. Zresztą, a ty? Spędziłeś u niej w Riseholme niedzielę.

- I nazywa cię Tony - dodała z wyrzutem Aggie, wciąż myśląc o kolacji z Alfem.

- Nie, naprawdę? - zapytał Tony. - No cóż, ja mówię o niej „Lucia” w jej nieobecności. Na marginesie: był już dzwonek, kurtyna zapewne już poszła w górę.

Adela pośpieszyła do środka.

- Tony, przyjdź do mojej łóżki po pierwszym akcie. Od lat nic mnie tak nie interesowało.

Adela nie zwróciła żadnej uwagi na ponurą sztukę Czechowa. Wszystkie swe myśli skupiła na Luci i wkrótce nachyliła się do Aggie i zaszeptała: - Sądzę, że to Pepino do niej dzwonił.

Aggie zmarszczyła brwi na kilka chwil.

- Niemożliwe - odparła. - Zadzwoił tuż potem.

Adeli zrzęda mina. Nie umiała myśleć tak perspektywicznie jak Lucia i nie znalazła na to odpowiedzi, więc popadła w luciańską medytację, aż opadła kurtyna i do łóżki wśliznął się Tony Limpsfield.

- Nie wiem, o czym była sztuka - wyznał - ale muszę wam powiedzieć, dlaczego znalazła się wczoraj u Marcii. Jakież kobiety wystawiły Marcie do wiatru po południu i... Marcia miała trzynastkę...

- Marcia byłaby uszczęśliwiona - wtrąciła Aggie. Tony nie zwrócił uwagi na niemądry dowcip.

- Dzwoniła do wszystkich w mieście... - ciągnął.

- Oprócz mnie - powiedziała z goryczą Aggie.

- Ach, daj spokój - uspokoił ją Tony. - Dzwoniła do wszystkich i nikogo nie udało się jej zaprosić. Po czym zadzwoniła do Luci.

- Która natychmiast powiedziała, że nie jest zajęta i zadzwoniła do mnie, żebym poszła do teatru z Pepinem — ciągnęła Aggie. - Podejrzewałam coś w tym stylu, ale chciałam zobaczyć tę sztukę i nie zamierzałam odmrażać sobie uszu na złość Luci.

- Zresztą i tak znalazłaby kogoś innego albo posłała Pepina samego do teatru - oświadczył Tony. - Poza tym opacznie nas rozumiałaś, Aggie. Nikt nie chce robić Luci na złość. Wszyscy chcemy, aby bawiła się najwspanialej.

- Aggie się złości, bo wydaje się jej, że wynalazła Lucię - zauważyła Adela. - To jest zupełnie niestosowne podejście. Powiedzcie mi o Pepciu.

- O nim nie ma nic do powiedzenia - odparł Tony. - Nosi spodnie i kapelusz, i ma teleskop na dachu w Riseholme, a gdy się do niego odezwiesz, okazuje się, że pamięta główne artykuły z porannego „Timesa”. Nie zbaczaj z tematu, Adelo.

- Ależ mężowie są jak najbardziej na temat, wszyscy prócz mojego - powiedziała Adela. - Są częścią całego obrazu. A co ze Stefanem?

- Wciąż widuje się go, jak podaje paterę z ciastkami na podwieczorkach. On też jest nieistotny.

- Może jest - wtrąciła Adela. Tony wybuchnął śmiechem.

- Zupełnie zbaczasz z tematu - rzekł. - Nie dojdiesz nigdzie, jeśli będziesz usiłowała obrzucić Lucię błotem. Po pierwsze, skąd weźmie czas na kochanka? No i zupełnie jej nie rozumiesz, jeśli ci takie rzeczy przychodzą do głowy.

- Byłoby to strasznie malownicze - stwierdziła Adela.

- Bynajmniej, popsułoby całą zabawę... O, znowu się zaczyna ta beznadziejna sztuka... Niebiosa, patrzcie tam!

Spojrzeli w kierunku jego palca i zobaczyli Lucię, a za nią Stefana, idących środkowym przejściem na parterze do dwóch foteli w pierwszym rzędzie. Gdy doszła do swojego miejsca, odwróciła się, aby rzucić okiem na widownię i zauważyła ich. Światła przygasły i jej twarz utonęła w mroku.

Krótką naradą w loży Adeli okazała się początkiem tajnego stowarzyszenia luciafilów, które szybko zaczęło się rozrastać. Aggie

Sandeman raczej nie kandydowała na członka, ponieważ warunkiem sine qua non była niczym nie zmacona sympatia do Luci, natomiast w myślach Aggie pojawiała się pewna cierpkość, gdy przypominała sobie, że to ona pierwsza dała Luci fory, a już oddelegowano ją do drugiego kręgu towarzyskiego. Prawda, dostała zaproszenie na kolację z Marcellem Periscopem, lecz bez wątpienia lepsze towarzystwo było przyjęcie na cześć Alfa i fletu. Adela i Tony Limpsfield byli członkami rzeczywistymi, a parę dni później dołączyła do nich po przyjeździe Olga. Następnym członkiem została Marcia Whitby, która zachłannie śledziła karierę Luci. Wszyscy spotykając się gorliwie wymieniali nowinki na ten temat.

Oczywiście istniał też obóz tych, których Lucia bombardowała miłymi zaproszeniami, lecz którzy (na razie) zdecydowanie odmawiali. Twierdzili, iż jej nie znają oraz wcale się nią nie interesowali. Adela stwierdziła, iż jest to oznaką żalostnej ciasnoty umysłu. Oryginały w typie Luci, ludzie, którzy dążyli nieznużenie i nieustraszenie do celu, byli zjawiskiem rzadkim, a gdy się już pojawiali, należało ich studiować z pełnym czci szacunkiem... Od czasu do czasu ktoś ze starych członków odkrywał nowych; a gdy na dźwięk imienia Luci w czyichś oczach pojawiało się światelko sympatii i zainteresowania i gdy ten ktoś odzywał się zniżonym głosem: „słyszeliście, kto u niej był we czwartek?“, objawiał się nowy luciafil... Wszystko działo się stopniowo, lecz ruch rozwijał się równomiernie, dotrzymując kroku zadziwiającej karierze obiektu zainteresowań, gdyż niewiele dni nie znalazło swego odbicia na wiarygodnych łamach Hermiony.

Pewnego popołudnia Lucia jechała samochodem do domu po dniu spędzonym w salach sądu. Nie tak dawno temu zapoznała się z przewodniczącym Sądu Rozwodowego i poprosiła go na kolację w wieczór poprzedzający tę sprawę, o której mówiło całe miasto. Przy trzecim podejściu udało się uzyskać od niego zaproszenie na salę. Rozprawa trwała już trzy dni i doprawdy zdawało się, że nikt nie myśli o niczym innym, zaś w gazetach było pełno uduchowionych i zaskakujących materiałów dowodowych. Z pewnością Babs Shyton, dama, której mąż chciał się pozbyć, napisała kilka bardzo dziwnych listów do Ciapka, znanego również jako lord Middlesex, a on do niej. Lucia nie mogła sobie wyo-



brać, że można tak do kogokolwiek pisać i byłaby bardzo zaskoczona, gdyby ktoś napisał do niej w taki sam sposób jak Ciapka do Babs. Lecz w miarę postępowania rozprawy Lucia poczuła, jak rozgrzewa ją sympatia do Babs. Jej mąż, pułkownik Shyton, był prawie niemożliwy we współżyciu: czasem leżał w łóżku całymi dniami, wstawał wieczorem, jadł śniadanie o ósmej, obiad tuż po północy i sutą kolację o ósmej trzydzieści rano. Nic dziwnego, że mając takiego męża kobieta chciałaby, aby jakiś Ciapka się nią zajął. Zarówno Babs, jak i on, we fragmentach nadzwyczajnej korespondencji, odczytanych na sali, nazywali pułkownika Shytona „śl”, co Babs (ku powszechnej wesołości) z rozbrajającą szczerością rozszyfrowała jako „śmierdziel”. No i oczywiście Babs napisała do Ciapki, że leży w łóżku, jest bardzo senna i rozzłoszczona, ale chciałaby mieć Ciapka machającego ogonkiem na dywaniku pod kominkiem. To było niedyskretne, ale bynajmniej nie obciążające, natomiast jeśli chodzi o serię krzyżyków, które następowały po podpisie Babs, szczerze wyjaśniła, iż oznaczały pokrzyżowanie planów z powodu złości. Na to sala ponownie ryknęła śmiechem i nawet sędzia szeroko się uśmiechał, mówiąc, że przy następnej przerwie każe wszystkim opuścić salę. Babs zrobiła wyjątkowe wrażenie: wyglądała tak ładnie i odpowiadała z taką werwą na pytania, a Ciapka zachowywał się równie podziwu godnie, gdyż był to Anglik z rodzaju silnych i milczących. Na pytanie, czy kiedykolwiek pocałował Babs odrzekł: „To łgarstwo” głośnym i srogim głosem, aż miało się wrażenie, że dla ławy lepiej byłoby uwierzyć, chyba że chcą, aby ich wszystkich położył na łopatki. Spodziewano się, że wyrok zapadnie następnego dnia i Lucia nie zamierzała tracić czasu, i natychmiast zaprosić Babs na kolację, jeśliby zapadł korzystny dla niej wyrok.

W sądzie było bardzo gorąco i duszno, i Lucia kazała szoferowi przejechać przez park zanim pojedzie do domu. Zaprosiła na podwieczorek na piątą jednego czy dwóch gości i kogoś na wpół do szóstej, ale jeszcze miała trochę czasu. Porzuciła szczegóły tej rozprawy i zaczęła rozmyślać nad ogólnym charakterem podobnych spraw, które były zadziwiająco i nieporównywalną reklamą kobiety. Oczywiście, jeśli wyrok był niekorzystny, taka reklama okazywała się wyjątkowo fatalna, natomiast wtedy gdy ława decydowała, iż pozwana jest niewin-

na, Lucia była prawie gotowa jej zazdrościć. Wcale nie chciała znaleźć się w podobnej sytuacji, lecz z pewnością wtedy zyskiwało się sławę, której nie osiągnie się nawet po latach cierpliwych starań. Babs będzie mieć wrażenie, że każda osoba w danym towarzystwie ją zna i wie o niej wszystko, a jeśli jest niewinna, osiągnięty efekt będzie całkiem wspaniały. Naturalnie, Lucia zazdrościła jedynie wyników doświadczenia, a nie samego doświadczenia, gdyż wymagałoby ono przykrego współżycia z Pepinem; zresztą była przekonana, że kolacja o 8.30 rano byłaby zupełnie niestrawna, choć cudownie byłoby być tak znaną jak Babs. Poza tym nie mogła nie zwrócić uwagi na przejawiającą się na rozprawie oraz w potokach mowy, które w ostatnich dniach popłynęły na ten temat, generalną sympatię i współczucie, którymi świat darzył Babs, winną czy nie. Świat zawsze kocha kochanka - myślała Lucia i Ciapek machający ogonkiem na dywanie przy kominku tworzył śliczny obraz.

Jej myśli zeszły na bardziej osobiste tory. Rzecz oczywista, iż myśl o prawdziwym kochanku napełniała odrazą całą luciną du szę, a poza tym nie wiedziała, kogo mogłaby zdobyć. Lecz reputacja osoby posiadającej kochanka - to zupełnie co innego. Taka sytuacja nie budziła sprzeciwu ani nie nastęrczała trudności, a z pewnością kobieta zyskiwała pewną reputację, jeśli zawsze w jej pobliżu kręcił się jakiś mężczyzna, o którym mówiono, iż jest jej głęboko oddany. Już wcześniej zrodziła się w jej głowie podobna niejasna myśl. Teraz nabrała kształtu. Wybór takiego kochanka nie stwarzał problemów. Jak dotąd Lucia nie zrobiła nic, co mogłoby dać podstawy do jakichkolwiek podejrzeń, prócz tego, że Stefan przychodził często do niej w goście. Teraz wyobraziła sobie siebie w charakterze jego oddanej pani... zobaczyła siebie rozmawiającą z nim w kąciku, a nawet kładącą dłoń na jego rękawie, jak przybywa z nim wieczorem na przyjęcie i z nim wychodzi (Pepino nie cierpiał wychodzenia z domu po obiedzie).

Jednakże pierwsze kroki wymagały ostrożności, ponieważ trudno byłoby wytłumaczyć Stefanowi, jaki ma być ów proponowany związek, a nie mogła sobie wyobrazić, że mówi do niego: „Będziemy udawać, że jesteśmy kochankami, ale nie jesteśmy”. Byłoby to całkiem straszne, gdyby ją źle zrozumiał i nagle złożył na jej wargach lub nawet na jej dłoni goący pożądliwy pocałunek, choć

jak dotąd nie wykazał najmniejszej skłonności w tym kierunku. Gdyby to zrobił, nie mogłaby się więcej z nim spotkać, a prawdopodobnie wszyscy powiedzieliby, że ją rzucił. Mimo to wiedziała, że nie będzie mogła wyjaśnić mu, jaki jest plan i będzie musiał sam zgadywać. Będzie mogła tylko go wprowadzić, a potem zaufać jego inteligencji i wrodzonemu brakowi nieokiełznanego miłosnego temperamentu. Zresztą zacznie bardzo łagodnie, zapraszając go na obiad za każdym razem, gdy będzie w domu. Dla niego byłoby to całkiem miłe, gdyż w przyszłym tygodniu i później będzie miała wielu gości, a jeśli tylko on nie podda się żadnemu z tych gwałtownych i turbulentnych impulsów samczych, wszystko pójdzie dobrze. Juruś, do czasu (jak to w myślach określała Lucia), gdy Olga stanęła między nimi, pięknie odgrywał tę rolę, a Stefan był podobny do Jurusia. Natomiast ona sama wiedziała, iż sobie może zaufać, bo jej spokojny i pewny puls nigdy nie zabije jak szalony dla nikogo.

Lucia wróciła do domu. Okazało się, że Adela już przyszła, więc tylko zatrzymała się na chwilę i kazała służbie zadzwonić do Stefana, żeby przyszedł natychmiast i pobiegła na górę.

- Najdroższa Adelo - powiedziała - milion razy cię przepraszam. Cały dzień spędziłam w sądzie. Podniecające! Babs, droga Babs Shyton, była cudowna. Absolutnie niczego od niej nie wyciągnęli...

- A i owszem, bo lord Middlesex już wszystko od niej wyciągnął - zauważyła Adela.

- Ach, jak możesz tak mówić? - odparła Lucia. - Lord Middlesex (Ciapek, wiesz) był tak samo wspaniały. Jestem przekonana, że ława da im wiarę. Droga Babs! Muszę ją tutaj ściągnąć któregoś wieczoru na malutkie przyjęcie na jej cześć. Pomyśl tylko o tym okropnym staruchu, który jadał obiad w środku nocy! To straszne, że musi do niego wrócić. Jakież może być do niej adres?

- Być może wcale nie będzie musiała do niego wracać - zauważyła Adela. - W takim przypadku wystarczy napisać na adres Ciapka.

Adela była rozzłoszczona, ponieważ jej mąż ogłosił swój zamiar przyjazdu z wizytą do krewnych i przyjaciół w Anglii, natomiast ona wcale nie miała ochoty pojechać w zamian do Ameryki.

Ale w miarę rozwoju monologu Luci zapomniała o pomniejszych kłopotach i słuchała zauroczona. Chociaż wciąż była mowa o Babs i Ciapku, Adela odniosła nieprzeparłe wrażenie, że stali się symbolami, jak we snach psychoanalityków.

- Całkowicie współczuję drogiej Babs - ciągnęła. - Pomyśl, jak żyła z tym potwornym starym nikczemnikiem. Z pewnością można kobiecie wybaczyć, nawet jeśli przysięgli jej nie uwierzą...

- Oczywiście, że można - stwierdziła Adela w ostatecznym wybuchu złości. - Nie wybaczy się jej tylko tego, że dała się złapać.

- Mówisz teraz, jak ci wszyscy z tej strasznej sztuki, na której byłam wczoraj wieczorem - oświadczyła Lucia. - Była tam też droga Olga; jutro śpiewa, nieprawdaż? A ty zakładasz, że Babs jest winna. Jak ja się cieszę, Adelo, że nie jesteś w ławie! Mam zupełnie odmienne zdanie: kobieta uwiązana w tym nieszczęsnym domu musi mieć przyjaciela, który jest mężczyzną. Uważam, że między Babs i Ciapkiem istniało uczucie piękne i czyste, i każda kobieta, nawet szczęśliwie zamężna, mogłaby być z takiej przyjaźni dumna. Nie ma wątpliwości, że lord Middlesex jest jej oddany i doprawdy (mam nadzieję, że nie poczujesz się wstrząśnięta) ich wzajemne związki są wyłącznie ich sprawą. George Sand i Chopin, wiesz. Nelson i lady Hamilton. Sir Andrew Moss, to on sędziuje, wiesz, był tu na kolacji któregoś wieczoru i jestem przekonana, że jest tolerancyjny. Dał mi zaproszenie do sądu... Ach, Stefanie, jesteś. Chodź, mój drogi. Znasz lady Brixton, prawda? Rozmawiałyśmy o Babs Shyton. Przynieś tu krzesło. Zaraz... nie słodzisz, tak? Miałaś do mnie takie pretensje, gdy onegdaj przez pomyłkę nasypałam ci cukru do herbaty!

Przytrzymała dłoń Stefana nie nazbyt długo lub, jak napisał Browning „króciuteńko dłużej”, i Adela zauważyła lekkie zaskoczenie malujące się na jego twarzy. Nie był to przestрах ani rozkosz, lecz zwykłe zaskoczenie.

- Byłaś tam? - zapytał. - Sądzę, że jeszcze nie ma wyroku.

- Dopiero jutro, ale wtedy zobaczycie. Adela paskudnie się o niej wyraża, całkiem paskudnie, a ja sprawiłam jej kazać. Na pewno zaproszę Babs na obiad wkrótce i przyjdiesz ty, jeśli uda ci się znaleźć wolny wieczór, ale nie zaprosimy Adeli. Opowiedz mi nowiny, Stefanie. Cały dzień siedziałam w sądzie.

- Lucia mnie zupełnie źle zrozumiała - powiedziała Adela.

- Moja sympatia jest absolutnie po stronie Babs, ja ją tylko obwiniam za to, że dała się złapać. Gdybyśmy mieli romans, pan, panie Merriall i ja, wszyscy traktowaliby nas z zazdrosną sympatią, póki nie musielibyśmy się z tego oficjalnie rozliczyć. Wtedy pozwolilibyśmy nawet naszej drogiej Luci nas omijać. A gdybyś miała romans z kimkolwiek (jestem przekonana, że masz ich setki), ja i cała reszta bylibyśmy wyjątkowo zadowoleni i zainteresowani, aż (uwaga na to słówko „aż”)... A teraz muszę iść i zostawić was, abyście dokładnie we dwoje mnie obmówili.

Lucia wstała, wydając z siebie ciepłe, lecz nieprzekonywające pomruki, aby Adela została.

- Czy naprawdę musisz iść, Adelo? - zapytała. - Zaraz, co to ja mam w planie na jutro? Stefan, jaki mamy jutro dzień i co ja będę robiła? Ach, tak, prywatny pokaz Bertiego Altona rano. Na pewno tam się spotkamy, Adelo. Ten niegodziwiec zrobił dwie karykatury Pepina i moją. Czuję się, jakbym miała zostać obdarta ze skóry na oczach całego Londynu. A więc au revoir, droga Adelo, jeśli masz już nas tak dosyć. No i wieczorem w operze... jak ja się odważę pokazać twarz? Czy przyjechał już twój samochód? Stefanie, zadzwonisz, co? Za krótka ta wizyta i spodziewam się, że niebawem wpadnie Olga. Domyślam się, że mnóstwo rzeczy mam jej przekazać. Zajrzyj znowu Adelo, zadeklaruj się.

W progu Adela natknęła się na Tony Limpsfielda. Zagoniła go do swego samochodu i kazała szoferowi nie ruszać się.

- Nowina! - oświadczyła. - Lucia będzie mieć kochanka.

- Nie! - powiedział Tony po riseholmsku.

- Mówię ci, że tak. Jest teraz u niej.

- No, to nie będą chcieli mojego towarzysza - orzekł Tony.

- A przecież zapraszała mnie na wpół do szóstej.

- Nonsens, kochany. Chcą twego towarzystwa i to oboje... Och, Tony, nie rozumiesz? To błaga.

Twarz Tony'ego przyjęła wyraz rozkoszy charakterystyczny dla wszystkich luciafilów wysłuchujących nowin.

- Opowiedz mi o wszystkim.

- Jestem przekonana, że mam rację - ciągnęła. - Jej ukochany właśnie wszedł, a ona wzięła go za rękę, jak to robią kobiety,

i kazała przynieść bliżej krzesło i powiedziała, że ją skrzyczał. Nie jestem pewna, czy on już wie, ale widziałam, że coś podejrzewa. Ciekawam, czy jest na tyle inteligentny, aby sprostać zadaniu... Żałuję, że nie wybrała ciebie, Tony, byłbyś doskonały. Oni muszą (nie rozumiesz?) sprawiać wrażenie, że są kochankami, wszyscy muszą ich uważać za kochanków, podczas gdy w tym niczego nie będzie. To błaga, to gra, to prze wspaniałe!

- A może jednak coś w tym jest? - zastanawiał się Tony. - Naprawdę uważam, że nie powinienem wchodzić.

- Zaufaj mi. Lucia szybciej trzymałaby szympana niż prawdziwego kochanka. Jest czysta jak śnieg, pocałunek by ją spalił. Zresztą, nie ma czasu. Zaprosiła tam Stefana, żeby pokazać go mnie i pokazać go tobie. To najcudowniejszy plan i to cudowne, że go pojęłam tak szybko. Musisz wejść, tam nie ma nic osobistego, wręcz przeciwnie, ona pragnie reklamy.

Jej pewność inspirowała podobne uczucia i Tony'ego zaczęła palić ciekawość. Wysiadł, powiedział szoferowi Adeli, żeby jechał, i poszedł na górę. Stefan nie siedział na fotelu koło Luci, ale na sofce po przeciwnej stronie stolika. Ten widok raczej udowodniałby tezę Adeli, że publicznie są kochankami, lecz prywatnie wcale.

- Drogi lordzie Tony - powitała go Lucia (zwrot ten znajdował się w połowie drogi między lordem Limpsfieldem a Tonym, a tytułu używała wyłącznie w jego obecności). - Jakże miło, że pan wpadł. Właśnie wyszła Adela. Stefanie, czy znasz lorda Limpsfielda?

Lucia podała mu herbatę, a po pewnym czasie wstała i usiadła od niechcienia na sofce koło Stefana. Troszeczkę za blisko - po chwili odsunęła się.

- Kilka dni temu byliśmy na cudownej sztuce Czechowa - ciągnęła. - O takiej dziwnej, przykłej atmosferze. Wyszliśmy ze Stefanem czując się jakbyśmy się znaleźli w jakimś niewyraźnym śnie, prawda Stefan? Widziałam pana na widowni, z Adelą, która wcześniej była u mnie na obiedzie.

Tony wiedział o tym, przecież tamtego dnia narodziło się stowarzyszenie luciafilów.

- Wcale nie żałowałem, że zbudzono mnie z tego snu - przyznał. - Według mnie był nudny.

- Ach, jak może pan tak mówić? Na to przeżycie? Czułam się, jakby spadł na mnie smutek tysiącleci, jakaś stara boleść, o której zapomniałam. Poczułam też, że chciałam żyć pełniej, barwniej niż kiedykolwiek, aż po zmierzch.

Stefan pomachał rękoma i troszeńkę dalej odsunął się od Luci. Działo się z nią dziś coś dziwnego. Gdy przez kilka minut zostali sami, zachowywała się całkiem normalnie, ale w obecności Adeli i teraz po wejściu lorda Limpsfielda, dawała do zrozumienia, iż są ze sobą w pewnego rodzaju bliskich stosunkach i uważał, że powinien w jakiś sposób zareagować.

- Ponure wymysły, Luciu - rzekł. - Nie pozwolę ci więcej chodzić na sztuki Czechowa.

- Niedobry chłopcze - powiedziała odważnie Lucia. - Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy. Chcecie, żeby kobiety były radosne i błyszczące, i bezmyślne, i nie miały innego celu niż zabawianie was. Nigdy więcej nie powiem ani jednemu ani drugiemu o swoich prawdziwych odczuciach. Dziś będziemy mówić o rozprawie. Cała moja sympatia jest po stronie Babs, lordzie Tony. Jestem przekonana, że twoja również.

Lord Limpsfield, wychodząc po kwadransie lekkiej konwersacji, pozostawił u Luci Stefana, a ponieważ nikt inny już nie zajrzał, Lucia zaprosiła kochanka tylko na dwie czy trzy kolacje w następnym tygodniu, umówiła się z nim na zamkniętym pokazie wystawy Herberta Altona następnego dnia rano, i lekko oszołomionemu pozwoliła odejść.

Stefan szedł pospiesznie wzdłuż Brompton Road, spoglądając w witryny sklepowe i zastanawiając się nad tym. Dziwnie jakoś trzymała go za rękę, usiadła blisko niego na sofie i kilkanaście razy zamachała chorągiewkami sygnalizującymi bliskość, dodając rumieńców domysłom, które bynajmniej go nie zmroziły, ale też nie zrobiło mu się od nich szczególnie ciepło... Byli z Lucią jak najlepszymi przyjaciółmi, mieli wiele wspólnego ze sobą i podobne gusta, ale Stefan doskonale wiedział, że wolałby nigdy jej więcej nie widzieć, niż z nią romansować. Po pierwsze, nie nadawał się do przygód miłosnych, a nawet jeżeli, to nie mógł sobie wyobrazić kogoś mniej odpowiedniego do flirtów niż Lucia. „Galahad i Artemida poradziliby sobie lepiej niż Lucia i ja”

mruknął do siebie, odwracając się czym prędzej od witryny pełnej eleganckiej damskiej bielizny. Na próżno przebiegał w myślach rejestr swej niewinnej znajomości z Lucią; nawet nie mógł oskarżyć siebie o myśl, słowo lub czyn, który mógłby stanowić przyczynę chybionego pomysłu, że spojrzał na nią pożądliwym okiem.

- Bóg wie, że jestem bez winy - westchnął sobie i zmartwił na widok wielkiego tytułu gazetowego: „Babs chce Ciapka przy kominku”.

Wiedział, że nie ma zmysłu do galanterii i czuł się całkiem pewny, że Lucia też niczym takim nie grzeszy... A więc, o co jej chodziło przy wszystkich tych dotknięciach i uściskach? Gdy po raz wtóry zastanawiał się nad całą sprawą, uświadomił sobie, że Lucia pozwalała sobie na taką rozwiązłość tylko w obecności osób trzecich. Niewiele wiedział o zwyczajach kochanków, ale zawsze wydawało mu się, że wymieniali tego rodzaju fanty głównie na osobności lub publicznie, jeśli musieli dać upust nabrzmiałej pasji. I znowu, gdyby czyniła zamach na jego cześć, z pewnością dałaby do zrozumienia służbie, aby nie wpuszczano lorda Limpsfielda, gdy wreszcie znalazła się z nim sam na sam... Był przekonany, że coś knuje, ale jego męskie zmysły nie potrafiły jak na razie tego rozszyfrować. Nie miał ochoty zarzucić jej towarzystwa - była czarującą gospodynią - ale musi być nad wyraz dyskretny.

Mimo wszystko nie miał wielkich obaw, czekając na nią następnego dnia rano u drzwi malutkiej Galerii Rutland, ponieważ czuł się bezpieczny w miejscu tak publicznym. Gdy przybyła Lucia, w galerii znajdowało się niewielu wczesnych gości. Lucia, wchodząc przez kołowrót, podała obie karty zaproszeń, swoją i Pepina, pod którego podszywał się Stefan, po czym poprosiła o swoją z powrotem, mówiąc, że teraz wchodzi na krótko, a chce wrócić później na dłuższą wizytę. Jeszcze nie widziała karykatur narysowanych przez Bertiego Altona (upierała się przy swym błędzie) za pewną sumkę i natychmiast podążyła w kierunku pozycji trzydzieści dziewięć i czterdzieści, które według jej katalogu przedstawiały pana Filipa Lucasa i jego małżonkę. Pod nazwiskami widniały podpisy i z podnieceniem przeczytała ten przypisany Pepinowi: „Jakie bądź by nie trapiły mnie niewygody, muszę dotrzymać kroku Luci”, zaś pod numerem 40 widniała uwodzą-



ca legenda: „Ach, te księżne! Nie dadzą spokoju!” Proszę, oto Pepino wystrojony na wizytę u króla, w spodniach do kolan, potykający się o szablę, która zaplątała mu się między nogi; trój-graniasty kapelusz zsunięty na tył głowy... Bardzo szeroko rozstawione oczy, bez nosa, za to z małą rozpacziwą dziurką w miejscu ust. A tu ona, obok niej na podłodze sterta otwartych listów, sterta nie otwartych listów na biurku. Niewiele było widać jej twarzy, ponieważ rozmawiała przez telefon, ale miała wybitnie krótką spódnicę i także włosy, a z jej postawy była rezygnacja.

Lucia przestudiowała obie karykatury pilnie, po czym westchnęła długo z pełni szczęścia. Oto był cały jej neodparty komentarz: nie mogłaby sobie wyobrazić nic bardziej doskonałego. Następnie zaśmiała się perliście.

- Patrz, Stefanie - powiedziała. - Bobbie... chciałam powiedzieć Bertie... brakuje słów, taki wstrętny! Doprawdy, skandal! Jestem na niego wściekła, a jednak nie umiem powstrzymać się od śmiechu. Biedny Pepino, biedna ja! Marcii to się spodoba. Wciąż powtarza, że obecnymi czasy nigdy nie może mnie złapać.

Lucia szybko przestudiowała resztę kolekcji, aby móc wszystkie karykatury rozpoznać nie sprawdzając w katalogu, kiedy wróci nieco później. W danej chwili niewiele osób się tu kręciło, ale na godzinę przed obiadem z pewnością będą się kłębić tłumy i zamierzała złożyć swą „pierwszą” wizytę w tym czasie i wiedzieć od razu, kogo przedstawiają poszczególne pozycje (ponieważ Bertie rozentuzjasmowany karykaturowaniem czasami zapominał o podobieństwie) oraz wybuchnąć śmiechem przy tych reprezentujących Pepina i ją samą, i powiedzieć, że musi je kupić, co już oczywiście uczyniła. Stefan został na miejscu, ponieważ Hermiona planował duży artykuł na temat wystawy, ale przyrzekł poczekać na powrót Luci. Tego ranka nie zdradziła nawet najmniejszej oznaki rozmiłowania. Obawy Stefana znacznie zmalały i wyglądało na to, że nikt nie będzie od niego wymagał burzliwych uczuć.

- Setki różnych spraw! - rzuciła. - Zaraz, niech pomyślę, wpół do dwunastej, dwunasta... tak, wrócę tuż po dwunastej i dobrze się wszystkim przyjrzymy. Przyjdiesz na obiad? Będzie zaledwie parę osób.

Zanim wróciła Lucia, w galerii zrobiło się tłoczno. Hermiona pilnie notował, kto rozmawiał ze znajomymi, kto wyglądał ślicznie lub był bardzo zadowolony z nowego domu przy Park Lane, albo otrzymywał gratulacje z powodu zaręczyn córki. Nie było wątpliwości, które dzieła wzbudziły największe zainteresowanie i wkrótce przed numerami 39 i 40 ustawił się najprawdziwszy ogonek. Goście stawali przed nimi, przyglądali się z powagą, sprawdzali w katalogach, po czym wybuchali głośnym śmiechem i przyglądali się znowu, póki nie musieli się usunąć pod naporem kolejki. Jedną z osób, które stały najdłużej i najdłużej nie dawały się wypchnąć z miejsca była Adela, a jeśli udało się ją wreszcie odsunąć, natychmiast biegła z powrotem na koniec kolejki i pchała się, póki nie znalazła się znowu przy karykaturach. Spostrzegła Stefana.

- A więc i Lucia jest w pobliżu - zauważyła łobuzersko. - Uwielbia to, nieprawdaż? Gdzie jest Lucia?

- Wyszła, ale ma wrócić - odparł. - W każdej chwili może się zjawić. O, jest.

Nie świadczyło to najlepiej o inteligencji Stefana. Powinien był zgadnąć, że drugie wejście Luci miało być oficjalnie jej pierwszym. Pojął to, gdy przepchnęła się przez tłum i powitała go, jakby się jeszcze tego ranka nie widzieli.

- I najdroższa Adela - powiedziała. - Co za ścisk! Powiedz mi szybko, gdzie są karykatury Pepina i moja? Umieram z ciekawości, żeby je zobaczyć, a niewątpliwie gdy je zobaczę, też będę chciała umrzeć.

Światło luciafilizmu zapłonęło w inteligentnych oczach Adeli.

- Poszukajmy ich razem - zaproponowała. - Pod numerem trzydzieści dziewięć i czterdzieści. Muszą być tu zaraz przed nami.

Lucia wywierała stały i niezmordowany nacisk na kolejkę przed sobą i wkrótce znalazła się w zasięgu wzroku.

- No nie! - zawołała. - Och, ale takie podobieństwo do Pepina! Jak mógł Bertie zgadnąć, że właśnie tak zaplątał się w szablę? Popatrz, co tu jest napisane... Och, i ja! Tylko dlatego, że spotkałam go na przyjęciu u Marcii i różni ludzie chcieli wiedzieć, czy mam wolny wieczór! Ze wszystkich impertynencji... Ależ go skrzyczę!

Lucia zachowywała się podziwu godnie, pozostając w błogiej nieświadomości, że Adela wiedziała o jej wcześniejszej wizycie.

Roześmiała się, spojrzała znowu i znowu się zaśmiała (wybuch wesołości pani Lucas i lady Brixton na widok karykatury pana Lucasa i jej samej, pomyślał Hermiona.)

- Ach, a tu mamy lorda Hurtacombe'a - zauważyła. - Jestem przekonana, że lord Hurtacombe, choć niewiele go widać, a tu, popatrz, to Olga, nieprawdaż? Jak on to robi?

Była to identyfikacja wymagająca wiele sprytu od kogoś, kto nie miał wcześniejszego wglądu w katalog, ponieważ twarz Olgi składała się wyłącznie z wielkich szeroko otwartych ust i końcówki podbródka, i mógł to być ktokolwiek ziewający. Miała szeroko rozłożone ramiona, a obok niej stał maluteńki człowieczek w szortach.

- Ostatnia scena z Zygryda, na pewno - oświadczyła Lucia. - Co mówi katalog, Stefanie? Tak, mam rację. „Zygrydzie! Brunhildo!” Złośliwiec, prawda? A jednak zabójcze! Kto mógłby się na niego gniewać?

Była to prawdziwa uczta dla luciafilów - zaiste, z zadziwiającą łatwością rozpoznawała wszystkich sportretowanych zaledwie rzuciwszy okiem. W galerii natomiast roilo się od kochanych i drogich, poznanych kilka tygodni temu i Lucia zdążyła zaprosić komplet gości na kolację w przyszły wtorek, zanim obeszła galerię. Przez cały czas trzymała Stefana u swego boku, zaglądała do jego katalogu, dotykała dłonią jego ramienia, jeśli chciała zwrócić jego uwagę na któryś rysunek, strzepnęła drobinę z jego rękawa i przez cały czas zachwycona Adela coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że zgłębiła tę pyszną sytuację. Martwiło ją jedynie, czy Stefan zdoła zgłębić. Może - choć nie wyglądało na to - z radością przyjąć owe małe oznaki bliskości, uważając, że są przejawem czegoś poważniejszego, a gdy będą sami, zechce ją pocałować i w ten sposób zrujnuje cały skomplikowany zamysł. Na szczęście nie sprawiał wrażenia faworyzowanego młodzieńca, a raczej młodzieńca, który obawiał się, że będą go faworyzować, a jeśli to nieśmiałe stworzenie się spłoszy, to też zrujnuje sprawę... Pomyśleć, że najdoskonalsze osiągnięcie luciafilizmu zależało od percepcji Stefana! Gdy we trójkę przemierzali się powoli, słuchając genialnych rozpoznań Luci, Adela usiłowała myślą wymóc na Stefanie zrozumienie - skierowała cały rwący strumień sugestii w kierunku jego głowy. Musi, powinien zrozumieć... Gorące pragnienie, jak potwierdzają metafizycy,

nigdy nie pozostaje bezowocne, bowiem jakaś część tęsknoty dociera do tej świadomości, ku której jest skierowana. A więc w tęym umyśle męskim zaświtało coś, co było tak oczywiste dla wrażliwszych kobiecych zmysłów Adeli. Znowu, wobec wszystkich, Lucia rozdawała serie dotknięć i uszczyptnięć, i ich znaczenie objawiło się, niczym błąd wschód słońca. Sytuacja rozjaśniła się i zobaczył, że z łatwością sobie poradzi. Jego ponure obawy pierzchły i uświadomił sobie, że nie będzie potrzeby, gdy następnym razem pojedzie do Riseholme, zamykać na klucz drzwi sypialni, czego nie cierpiał robić z obawy, że w domu mógłby nagle wybuchnąć pożar. Poprzedniej nocy przyśnił mu się przykry sen o tym, co zdarzyło się, gdy nie zamknął swoich drzwi w domu Przy Zagajniku, lecz teraz wyrzucił go z myśli. Intymne gesty Luci były wyłącznie przedstawieniem na użytek publiczny.

- Luciu, musimy uciekać - powiedział głośno i z pewnością swego. - Pepino zacznie się zastanawiać, gdzie jesteśmy.

Lucia westchnęła.

- Zawsze mną tak dyryguje, Adelo - oznajmiła. - Muszę iść. *Au revoir*, kochanie. W przyszły wtorek; będzie zaledwie kilku *intimés*.

Lucia poczuła ulgę nie mniejszą niż Stefan. Z pewnością nie powiedziałaby nic tak niedyskretnego, gdyby nie zamierzał popełnić niedyskrecji, i nie zlekła się, że jego pośpiech był spowodowany namiętną chęcią porwania jej w ramiona w zaciszu jej samochodu. Wierzyła, że zrozumiał, i utwierdziła się w swym przekonaniu, gdy zaproponował, aby złożyć dach samochodu.

Lucia niewiele myślała o Riseholme w czasie trzech tygodni postępów towarzyskich, no może nie było to myślenie pierwszoplanowe, choć Riseholme wypełniało cały drugi plan, bowiem w oddali rysowała się już przyszłość. Lucia planowała udać się tam na początku sierpnia i pozostać (w międzyczasie czyniąc kilka wspaniałych wycieczek) do jesieni, gdy znowu zaludni się Londyn. Miała nadzieję wypaść do Aix, gdzie będzie wielu miłych ludzi, ale Pepino oznajmił jej krótko, że skarbiec tego nie wytrzyma. Lucia przyjęła to z najszczerzą pogodą ducha, radośnie na ten temat polamentowała: gdy pytano ją, co będzie robić w sierpniu, wzdychała: „Ach, wy wszyscy szczęśliwi bogaci ludzie, możecie sza-

stać pieniędzmi, ale my musimy pomieszkać cicho w domu. A jednak sprawi mi to ogromną przyjemność, choć będę do was wszystkich strasznie tęsknić. Riseholme, drogie Riseholme, wicie, kochane, oraz wszyscy moi śmieszni, cudowni przyjaciele, którzy mnie tak strasznie rozpieszczają. Spędzę piękne, spokojne dni, przejdę przez błonia, żeby zamówić rybę i porozmawiać po drodze; i będę miała moje książki i mój fortepian, i fotel w ogródku, i wcześniej pójdę spać, nie będę siedzieć do rana. Życie anachorety, ale jeśli trafi się wam wolna niedziela między Aix, jachtem a Szkocją, ach jakżeby to było miłe, gdybyście tylko przysłali mi kartkę!"

Jednakże zanim się stali anchorytami, był jeszcze długi weekend przed świętem bankowym w sierpniu, który napełniał Lucię szczególnym podnieceniem. Gospodynią była Adela, zaś sceną jej gigantyczny dom w Essex. Zdawałoby się, że spotka się tam cały świat, ponieważ Adela powiedziała, że dom będzie pełny. Miało to być ostatnie zgromadzenie najprzedniejszych dusz przed dorocznymi rozjazdami. Pani Garroby-Ashton pragnęła wezwania tam, lecz nie otrzymała go i choć Luci było przykro z powodu rozczarowania drogiej Millicent, nie umiała zachować się inaczej niż potraktować ją z wyższością, jakby spoglądając hen w dół na szczebel, który wyraźnie pokazywał, jak zawrotnie wysoko sama się wspięła. Mimo to nie miała zamiaru pozbywania się dobrej i miłej Millie, podskakującej tam w dole; musi koniecznie przyjechać na niedzielę do domu Przy Zagajniku, sprawi jej to przyjemność i dowie się wszystkiego o gościnie u Adeli.

Do tego czasu było jeszcze dziesięć dni, zaś następnego dnia rano po triumfie w galerii Rutland Lucia usłyszała cichą wieść, dobiegającą nie wiadomo skąd, że na koniec sezonu Marcia Whitby zamierza wydać bardzo ekskluzywną i bardzo wspaniałą zabawę taneczną. Ostatnio mało widywała się z Marcją, innymi słowy nie widywała się wcale. Marcia odmówiła ostatnim trzem zaproszeniom Luci, raz poprzez sekretarkę i dwa razy przez telefon. Mimo to Lucia nadal wyrażała się o niej z niezmordowaną bezpośredniością i sympatią. Następnego dnia chodzące wciąż słuchy nabrały kolorów: Adeli wypsnęło się coś o balu u Marcii i szybko zatuszowała wpadkę opowiadaniem o swoim własnym przyjęciu. Lucia świdrowała ją wzrokiem przez chwilę, ale najwyraźniej nie doświdrowała się do niczego. Adela nadal gadała o swoim weekendzie i nic jej nie poruszyło.

Prawdę mówiąc, gadanina Adeli była gorączkowym manewrem wiodącym w kierunku odwrotnym do balu u Marcii. Marcia nie była prawdziwym luciafilem, nie czuła się oczarowana sukcesami i niepowodzeniami Luci, jej podstępami, osiągnięciami i ambicjami, a ostatnio spoglądała na nią z surową wyższością.

- Ona już nie jest śmieszna, Adelo - oświadczyła. - Słyszałam, że ma album, do którego wkleja kartki pocztowe i zdjęcia dworów, z datą pod spodem, jakby wtedy tam była...

- Nie! - powiedziała Adela. - Boskie. Muszę go zobaczyć. A może go wymyśliłaś?

- Bynajmniej - oznajmiła obruszona Marcia. - Ma w nim też pocztówkę z ogrodu w fosie w Whitby, a przy niej datę sprzed dwóch tygodni, gdy miałam gości na niedzielę i jej nie zaprosiłam. Zresztą, w tym czasie była w Londynie. Jest też ogród pałacu Buckingham z datą ostatniego przyjęcia. Czy była zaproszona?

- Nie słyszałam - odparła Adela.

- To bądź pewna, że nie. Mówię ci, ona nie jest już śmieszna i nie zaproszę jej na mój bal, nie zaproszę i nie - a właśnie, że nie. Trzy razy w zeszłym tygodniu zapraszała mnie na obiad. To niesprawiedliwe, to przymuszanie. Ktoś o słabej woli poddałby się, ale ja nie mam słabej woli i nie dam się zmusić. Nie pozwolę, by mnie ktoś na siłę karmił i nie zaproszę jej na mój bal. Masz!

- Nie bądź taka niedobra - uspokajała ją Adela. - Zresztą, spotkasz ją u mnie zaledwie kilka dni później i będzie niezręcznie, bo wszyscy inni pójdą.

- No, to będzie mogła udawać, że jest wyjątkowa - ucięła Marcia. - To się jej spodoba...

Słuchy ukonkretniły się i wkrótce Lucia musiała wyciągnąć straszny wniosek, że bal u Marcii odbędzie się bez niej. Była to myśl nie do zniesienia. Dała Marcii jeszcze jedną szansę. Zadzwoiła do niej i zaprosiła na kolację na ten właśnie wieczór (w ten sposób przypominając jej, że nie wie nic o balu), lecz kamienny głos odpowiedział, iż ,niestety, sama wydaje kolację dla kilku znajomych. Gdziekolwiek by się mszyła (czy były miejsca, gdzie nie trafiła Lucia?) słyszała rozmowy o balu i o licznych księżętach, którzy mieli się tam zjawić.

Przez chwilę myśl o księżniczkach rozjaśniła depresję spowodowaną tym tematem. Księżniczka Isabel była poważnie chora

na grypę, a więc Lucia, jadąc przez Park Lane, pomyślała, że nie zrobiłaby gafy dzwoniąc z zapytaniem o jej zdrowie, tym bardziej że zauważyła, iż czasem w gazetach notowano, kto się pytał. Nic jej nie obchodził stan zdrowia księżniczki Isabel, w jej obecnym stanie rozgoryczenia nie obchodziło jej, czy księżniczka przeżyje, czy umrze, gdyż księżniczka przez tyle tygodni nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. Jednakże drzwi wejściowe stały otworem, na progu stali inni pytający i Lucia dołączyła do nich. Podała swoją wizytówkę i zapytała drżącym głosem, jakie są wieści, a gdy jej powiedziano, że nie ma poprawy, Lucia skłoniła głowę w geście rezygnacji, zachwiała się nieco, po czym zebrła się w sobie i pewniejszym krokiem wróciła do samochodu.

Po tej przerwie wróciła myślami do strasznego tematu. Była umówiona na spotkanie u Sophy Alingsby, gdzie miały w większym gronie wysłuchać wykładu na temat psychoanalizy. Wcale nie czuła się na siłach, ale istniało prawdopodobieństwo, że będzie tam wielu interesujących ludzi, a więc wkrótce znalazła się w czarnej jadalni, skąd wyniesiono stoły. Z instynktowną angielską skromnością słuchacze pozostawili pierwszy rząd krzeseł całkowicie pusty i Luci dostało się bardzo dobre miejsce. Wykład właśnie się zaczął, a więc nie weszła nie zauważona. Stefan już był, tedy sadowiac się skinęła głową w jego kierunku i pogłaskała zapraszającym gestem puste krzesło obok. Jej kochanek podsunął się bliżej i zajął je.

Lucia odwróciła myśli od efemerycznych i błahych rzeczy, takich jak bale, i starała się skupić na słowach profesora Bonstettera. Poczwała, że w ostatnim okresie żyła jak szalona, świat zarzucił ją pustymi rozrywkami i potrzebowała intelektualnego wzmocnienia. Ostatnio nie oglądała żadnych obrazów, prócz dzieł Bobbiego (czy też Bertiego?) Altona, nie słuchała muzyki, od paru tygodni nie tknęła nawet fortepianu, nie przeczytała książki, co najwyżej przebiegła wzrokiem kolumny literackie, by zorientować się co właśnie wydano i odtworzyć krytyczną puentę czy dwie, gdyby rozmowa zeszała na tematy literackie. Nie może pozwolić, aby piana szampańskiej zabawy całkiem skryła prawdziwy napój życia znajdujący się pod spodem. Oto była Sophy, włosy opadające na oczy, podbródek wsparty na dłoni, ubrana w wyblakłą tęczę, tak dziwaczna, że nie dawała się opisać, lecz pogrążona w skupieniu, podczas gdy ona

sama pozwalała, aby kwestia balu, na który jej nie zaproszono i raczej już nie zaproszą, wdarła się niczym mgła pomiędzy nią i te kosmiczne fakty o snach i osobniczej podświadomości. Jakie to dziwne, że gdy przyśnił się gotowany zajac, to we wczesnym dzieciństwie pocałował nas kłusownik w pociągu, a my o tym zapomnieliśmy!

Jakimże wspaniałym tematem entuzjastycznych badań byłaby psychoanaliza w wyostrzonym intelektualnie Riseholme... Pomyślała teraz o mieszkańcach Riseholme, tęskniąc za ich prostotą i pogrążającą szczerością; pomyślała o godzinach spędzonych razem z Juruśiem przy fortepianowych duetach, o Daisy Cjuantock i jej ouijy i planszetcach, o muzeum i mitenkach. Riseholme jawiło się niczym oaza słodkiego spokoju, gdzie nie spotykały jej rozczarowania ani ból serca, gdyż prędzej czy później zawsze udawało się jej postawić na swoim i umocnić swą pozycję kapłanki najnowszego kręgu zainteresowań...

Nagle objawiło się jej rozwiązanie obecnego problemu. Riseholme! Pojedzie do Riseholme, to wyłumaczy jej nieobecność na tym głupim balu Marcii.

Wykład skończył się i przez chwilę wraz z innymi krążyła przy profesorze Bonstetterze oraz zamieniła parę słów z gospodynią.

- Pasjonujące, cudowne, nieprawdaz, droga Sophy? Gotowany królik! Dziwne! A także przebłyskiwanie podświadomości w snach. Jak to wiele wyjaśnia, na przykład fobie; ci ludzie, którzy nie wejdą do metra. Tak się cieszę, że mogłam tego wysłuchać. Ach, jest Aggie, Aggie kochanie! Ogromna przyjemność, nie uważasz? To takie odświeżające móc uciec od naszych zajęć i bieganiny, i wrócić do początków. Muszę lecieć, ale tego nie mogłam opuścić. Straszliwie mi się wszystko nakłada dzisiejszego popołudnia, a biedna księżniczka Isabel nie czuje się lepiej. Właśnie zajrzałam do niej po drodze tutaj, choć nie pozwolono mi się z nią zobaczyć. Stefan, gdzie jest Stefan? Zobacz, czy podjechał mój samochód, kochanie. *Au revoir*, droga Sophy. Musimy niebawem znowu się spotkać. Czy jedziesz w przyszłym tygodniu do Adeli? Nie? Och, niedobrze! Cudowny wykład! Uspokajający!

Napędce rozdając pozdrowienia Lucia wycofywała się bokiem z pokoju, ponieważ bardzo jej było pilno wrócić do domu. Znalazła tam Pepina, samotnie pijącego w spokoju herbatę i upadła wymęczona na fotel.



- Daj mi filiżankę herbaty, mocnej herbaty, Pepino - rzuciła. - Biegam cały dzień i jestem wykończona. Jak ja przeżyję jeszcze te dwa czy trzy dni, nie wiem. W Londynie udusić się można. I ty też wyglądasz na wycieńczonego, mój drogi.

Pepino potwierdził, że była to prawda. Prawie nie miał czasu, by zajrzeć do swojego klubu od dwóch dni i rozmyślał nad ogromną siłą słabszej płci. Jednakże przyznanie się Luci, że była wykończona, było niesamowite, nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek coś takiego się wydarzyło.

- Cóż, niewiele już tego zostało - zauważył. - Trzy dni w tym tygodniu i wizyta u lady Brixton.

Kichnął głośno kilka razy.

- Przeziębienie? - zapytała Lucia.

- Do złudzenia podobne - odparł.

Lucia nagle znalazła się w pełnym stanie gotowości. Było jej bardzo przykro z powodu przeziębienia Pepina, ale stawało się dla niej podziwu godnym pretekstem do już zaplanowanego działania.

- Mój drogi, wystarczy - oświadczyła. - Nie pozwolę, abyś latał po Londynie z początkami paskudnego przeziębienia. Jutro zabieram cię do Riseholme.

- Ależ kochanie, nie możesz - odrzekł. - Twój kalendarz na następne trzy dni jest pełny.

- A, całe mnóstwo głupot - prychnęła. - Naprawdę, mówię ci szczerze, jestem całkiem wycieńczona. Obojgu nam dobrze zrobi dzień lub dwa odpoczynku. A teraz nie sprzeciwiaj się. Zobaczymy, co ja mam do zrobienia.

Kalendarz był dość zapełniony (choć, niestety, czwartkowy wieczór był smętnie pusty) i Lucia spędziła pół godziny przy telefonie. Tym, którzy zostali zaproszeni i tym, którzy zapraszali, przedstawiła tę samą wymówkę: a mianowicie, że zalecono jej dwa-trzy dni całkowitego odpoczynku. Zadzwoiła do domu Przy Zagajniku, by zapowiedzieć swój przyjazd następnego dnia razem z potrzebną służbą, zadwoiła do Jurusia (gdyż nie zamierzała po raz wtóry popełnić tego błędu) i mieszanką gwary dziecięcej oraz włoskiego, którą zrozumiał z trudem, zaprosiła go na kolację następnego dnia, a wreszcie naprędce skreśliła parę krótkich zdań do najważniejszych gazet porannych, o tym, że pani Lucas nakazano

wyjazd z Londynu w celu dwu-trzydniowego odpoczynku. Przez chwilę wahała się, jak to sformułować, ponieważ to Pepino potrzebował odpoczynku, nie ona, ale byłoby raczej śmieszne, gdyby napisała, że państwo Lucas potrzebują wypoczynku... Ogłoszenia te podała przez posłańca, aby bez przeszkód mogły się ukazać w druku następnego dnia rano. Pomyślała, że można by zadzwonić do Daisy Quantock i poprosić ją z Robertem jutro na obiad.

Poczuła się znacznie lepiej. Nie będzie na balu u wrednej Mar-cii, ponieważ będzie odpoczywać na wsi.

Na kilka minut przed wyjazdem Luci i Pepina z Brompton Square, Marcia przeczytała anons Luci opublikowany przez „Wiadomości Poranne”. Marcia była kobietą o dobrym sercu i teraz, gdy Lucia już nie mogła jej więcej denerwować, nie widziała przeszkód, aby zaprosić ją na bal. Rozważyła, czy zatelefonować, ale istniało prawdopodobieństwo, że państwo Lucas jeszcze nie wyruszyli, dlatego też wysłała kartę na adres 25 Brompton Square z informacją, że będzie w domu, oraz że zaproszona będzie miała zaszczyt spotkać całą serię znamienitych osobistości. Gdyby zatelefonowała, nie wiadomo, jak potoczyłyby się sprawy, czy Daisy dostałaby obiad tego dnia, a Juruś kolację, i jakie wymówki Lucia by im sprezentowała... Adela i Tony Limpsfield, najwierniejsi adepci luciafilizmu, gorąco na ten temat dyskutowali, lecz nigdy nie doszli do satysfakcjonującego wniosku. Jednakże Marcia nie zatelefonowała...

Oczywiście, wieść, że Lucasowie przyjeżdżają, obiegła Rise-holme w kilka minut po telefonie Luci do Jirusia. Gdy zadzwonił telefon, Juruś był w bibliotece, ubrany w beżowe Oksfordy, których potworne proporcje zostały zmniejszone i teraz spodnie leżały całkiem ładnie, choć materiału zmarnowało się wiele. Robert Quantock, ten śmieszek, który odtąńczył marynarską polkę kiedy Juruś pojawił się w modelu o pierwotnej szerokości, znów wpadł w błazeński nastrój na widok wersji węższej i niezupełnie *propos* oznajmił: „Powrócił żeglarz, powrócił z morza” i to stanowiło epitafium dla spodni o kroju oksfordzkim.

Tego popołudnia Juruś siedział w domu, ponieważ był zajęty swymi włosami. Jeszcze nie całkiem wyschły i wciąż było od nich czuć rudą farbą. Jednakże to dzwoniła międzymiastowa i bez

względu na to, czy jego włosy wyschły, czy nie, musiał odebrać. Odkąd Lucia zniknęła po owym niedzielnym przyjęciu, pisała do niego raz czy dwa, że absolutnie muszą uzgodnić, kiedy Juruś ma przyjechać do Londynu, lecz nigdy nie zniżyła się do niesmacznego rozważania dat. Między miastowa, wiedział, mogła łączyć tylko Lucię albo Olgę - ta pierwsza byłaby interesująca, ta druga rozkoszna. Okazało się, że to ta interesująca i choć trudno było zrozumieć, o czym mówi, gdyż - jak już powiedziano - posługiwała się paplaniną dziecięcą i włoskim, dało się pojąć ogólne znaczenie jej słów.

- Lucia taka zmęczona - mówiła. - Będzie bosko nowu wrócić do Riseholme. Psidź na cichutki obiadzik do mnie i Pepina jutro, Georgino. Chcę usłyszeć wszystkie *novelle*...

- Co? - zapytał Jumś.

- Nowiny - rzekła Lucia.

Jumś usiadł w przeciagu (bardzo było gorąco) susząc farbkę. Wiedział, że Daisy Quantock i Robert grali w mini-golfa po drugiej stronie sztachetowego płotu, ponieważ wyraźnie słyszał ich głosy. Ostatnimi czasy Daisy mniej peęła, natomiast zajęła się golfem, a ponieważ wszelkie autorytety twierdziły, iż mecze wygrywało się lub przegrywało na murawie pola golfowego, Daisy z całą swą mądrością poświęciła się decydującemu czynnikowi gry. W odpowiednim czasie nauczy się poprawnych uderzeń, postawy i różnych technik, i w ogóle, i wtedy im pokaże... Zastanawiała się, czy naprawdę dobra jest tegoroczna mistrzyni. Juruś, który już wysechł, wyszedł do ogrodu i krzyknął:

- Mogę wejść?

Oczywiście, pytał się, czy może popatrzeć nad sztachetami. Daisy wskutek tej przeszkody nie trafiła do dołka z bardzo małej odległości.

- Tak, proszę - rzuciła lodowato. - Sądzę, że mi to darujesz, Robercie.

- Bynajmniej - odparł Robert, który był już dwa uderzenia do przodu.

Jumś przydeptał pięknego bratka.

- Lucia przyjeżdża jutro - oznajmił. Daisy upuściła kij.

- Nie! - wykrzyknęła.

- Z Pepinem - ciągnął Juruś. - Mówiła, że jest bardzo zmęczona.

- Te wszystkie księżne - powiedziała Daisy.

Karykaturę Roberta Altona przedrukował kolorowy tygodnik, lecz do tej chwili Riseholme milczało na ten temat. Tego nie godziło się zauważyć.

- No i zaprosiła mnie jutro na kolację - oświadczył Juruś.

- A więc nie przywozi gości? - zapytała Daisy.

- Nie wiem - rzekł Robert - czy grasz dalej, czy starasz się oddać mi mecz?

- Puff! - powiedziała ot, po prostu Daisy. - Zmęczona, Juruś? Co to może znaczyć?

- Nie wiem - odparł Juruś - ale tak właśnie powiedziała.

- To znaczy coś innego - oznajmiła Daisy. - Nie mogę ci powiedzieć co, ale na pewno nie tamto. Pewnie powiedziałaś, że jesteś zajęty.

- Wcale nie.

Z domu wyszła de Veré. Było sucho i jej obcasy nie znaczyły trawnika.

- Międzymiastowa, psze pani.

- Ach te uciążliwe przerwy - rzuciła Daisy, spiesząc nader bystro do domu.

Juruś pozostał. Bardzo chciał wiedzieć, skąd ta międzymiastowa i zdecydowanie trwał z głową nad sztachetami do powrotu Daisy. Musiał więc bawić Roberta rozmową.

- Twój trawnik jest ładniejszy od mojego - przyznał. Roberta zdenerwowała ta przerwa.

- Też porównanie - zauważył.

- Do niczego innego nie porównam - powiedział dotknięty Juruś. - Na dodatek widzę, że zaczyna go pustoszyć larwa ko-marnicy. Obawiam się, że wkrótce nie zostanie wam ani źdźbło trawy.

Robert zmienił temat: istotnie były łysiny.

- Ubezpieczyłem muzeum - oświadczył. - Dzisiaj rano wykupiłem polisę od pożaru. Ekspozyty są własnością czterech członków rady: moją, twoją, Daisy i pani Boucher. Budynek należy do pułkownika Bouchera i jest ubezpieczony osobno. Gdybyście mieli choć iskrę inicjatywy, to wzięlibyście zapalki i podpalili mitenki, a potem czekali z nadzieją.

- Jesteś bardzo pakudny i zły - rzucił Juruś. - Miałbym ochotę wziąć zapalną i podpalić cię.

Juruś nie cierpiał takich niegrzecznych rozmów, lecz gdy Robert popadł w podobny nastrój, lepiej było żartować. Zresztą, w żadnym wypadku nie zamierzał zaprzestać opierania się o płot ogrodowy, zanim Daisy nie wróci od międzymiejscowej.

- Prócz mitenek - zaczął Robert - oraz, oczywiście, tych trzech twoich szkiców, które są niewątpliwie arcydziełami...

Z jadalni wypadła Daisy z takim impetem, że o mało co nie trafiła w okrągły klomb, gdzie niegdyś wschodziły brokuły (rosła tam teraz cherlawa rezeda).

- Wpół do drugiej albo o drugiej - oznajmiła, nie mogąc powstrzymać się, a jednocześnie nie umiając nie skorzystać ze swego dam do miażdżącego sarkazmu. - Obiad jutro. Piknik, nic więcej, wiesz, jak tylko przyjedzie. Bardzo miłe z jej strony. Poprzednio nie poświęciła mi tak wiele uwagi.

- Lucia? - zapytał Juruś.

- Tak. Zaraz, moja kolej, co?

- Można to i tak nazwać - rzekł Robert. Nieczęsto trafiały mu się dwuuderzeniowe przewagi, więc tę wykorzystywał tę do cna.

- Zapewne powiedziałaś, że jesteś zajęta - zauważył Juruś.

Daisy nawet nie potrudziła się, aby odpowiedzieć, tylko kontynuowała grę. Był to najlepszy sposób na natrętne pytania. I dlatego te nowiny wkrótce rozeszły się po Riseholme. Następnego dnia rano doszedł do nich zadziwiający anons w „Timesie”, „Porannych Wiadomościach”, „Telegrafie” i „Daily Mail”, że pani Lucas wyjechała z Londynu w celu dwu-trzydniowego odpoczynku. W Riseholme wydawało się to niewiarygodne, lecz oczywiście mogło być prawdą, że (jak zauważyła Daisy) księżniczki ją wykończyły. Sarkastyczna Daisy nie mogła wiedzieć, że miała dużo racji - rzeczywiście i dosłownie jedna księżna wykończyła Lucię... W każdym razie Lucia znowu do nich wracała i choć Riseholme jeszcze zachowywało się nieco wyniośle, fakt, że Juruś przyjął jej zaproszenie na kolację, a Daisy na obiad, świadczył o Riseholme. Lucia w podły sposób ich porzuciła, przyjechała tylko raz od czasu owego fatalnego uśmiechu fortuny i przy tej okazji najwyraźniej nie miała zamiaru przebywać ze swymi starymi przyjaciółmi. W czasie wizyty tamtych jahuckich gości (nie istniało słowo, które lepiej opisałoby

panią Alingsby niż „Jahut”) wyśmiewała się z ich muzeum, zabiegała o pospolitą reklamę w prasie, która prowadziła rejestr jej ruchów w Londynie, a jednak Riseholme było gotowe wybaczyć i zapomnieć, jeśli tylko Lucia zacznie zachowywać się porządnie. Bowiem (choć nikt by się do tego nie przyznał) coraz bardziej do niej tęskniono. Szarogęsiła się i zachowywała po monarszemu, ale miała inicjatywę i choć sami założyli muzeum i choć płynęły sagi od Abfoua, była to podnieta chwilowa, a zresztą wszystkie te przedsięwzięcia stawały się interesujące dopiero w odniesieniu do Luci. Od tego czasu Abfou nadawał głównie marne powtórki, a nikt dłużej nie pozostanie pod wrażeniem denuncjacji snobizmu Luci. Lucia miała charakter. Gdyby tylko była tutaj i zajęła się golfem, Riseholme podziwiałoby jej zręczność i cieszyło się z jej niedoskonałości, natomiast wspaniałe rezultaty Daisy w mini-golfie (dziś nie była w formie) nie budziły większego zainteresowania. Tymczasem owe poniżające rejestry działań Luci spisywane przez Hermionę podniecały Riseholme (choć równocześnie napełniały obrzydzeniem), ponieważ dotyczyły jej właśnie. I choć miała teraz przyjechać w celu pełnego wypoczynku (cokolwiek by to miało znaczyć), sam fakt jej obecności spowoduje, że w Riseholme zaszumi. Tym razem zachowała się jak należy (być może zmądrzała) i zapowiedziała przyjazd, a także zaprosiła starych przyjaciół do siebie.

Stąd też obrady parlamentu na błoniach następnego dnia rano opanowały dwie emocje - wybaczenie oraz ekscytacja. Jedyne pani Boucher wyraziła poważne obawy w związku z sytuacją.

- Nie wierzę, aby była chora - oświadczyła. - Jeżeli jest chora, to będzie mi bardzo przykro, ale i tak w to nie wierzę. Jeśli jednak, to absolutnie popieram przyjęcie jej różna jako dam dla muzeum, gdyż odmowa byłaby nie w porządku. Może pan napisać, panie Jursiu, że komitet rzecz rozpatrzył i z radością go przyjmie. Ale najpierw poczekajmy i zobaczymy, czy jest chora. Prawdę mówiąc, zobaczymy, czy w ogóle przyjedzie.

Świnka przybiegła pędem z nowinami, podczas gdy Gąsia wrzeszczała do tuby matki. Zanim Świnka zdążyła cokolwiek powiedzieć, Gąsia obwieściła wszem i wobec:

- Przyjechała taksówka ze stacji, mamó, i zatrzymała się koło domu Przy Zagajniku - ryknęła Gąsia. - Przyjechała kucharka i pokojówka, i stos bagażu.

- Och, pani Boucher, czy słyszała pani nowinę? - wysapała Świnka.

- Tak, moja droga, właśnie słyszałam - odrzekła pani Boucher. - I wygląda na to, że przyjadą. Tylko tyle mogę powiedzieć. No, jeśli kucharka przyjechała przed wpół do dwunastej, nie wiem, Daisy, czemu masz nie dostać przyzwoitego obiadu. Nie ma potrzeby, aby podano filiżankę mocnego rosółu czy kanapki, które ja bym zaleciła, gdyby nie nadeszły inne wieści, odkąd zaproszono cię na piknik. Lecz skoro już jest kucharka...

Daisy była zbyt podniecona, by pójść do domu i skupić się na mini-golfie. Poszła więc do muzeum. Proboszcz Rushbold właśnie przekazał w darze dla muzeum swą unikalną kolekcję lasek i choć komitet nie umiał odmówić i sprawić mu przykrości, nie bardzo było wiadomo, jak sobie z nimi poradzić. Nie można było zgromadzić ich w jednym wielkim stojaku, ponieważ wówczas nie dawało się docenić ich urody. Wiele lasek miało pięknie rzeźbione gałki, niektóre na kształt potworów i gargulców z wywieszonymi ozorami, niektóre w ptaki i ryby, i była też jedna raczej nieskromna, z postaciami kobiety i mężczyzny splecionych w namiętym uścisku... Z drugiej strony, gdy stały ustawione w równych odstępach, oparte o ścianę, nawet niewielki ruch za-chwiewał równowagę jednej, upadała na drugą i cała reszta roz-skakiwała się jak kręgle. Prawdę powiedziawszy, chłopiec przy kołowrocie twierdził, że cały swój czas poświęca na podnoszenie ich. Daisy obmyśliła, że na ścianie zawiesi się rozciągniętą siatkę do tenisa i gustownie zamota w niej laski...

Riseholme ociągało się z rozejściem się z błoni i dawno minęła pierwsza, czyli zwykła pora obiadu. Wreszcie, dwadzieścia pięć minut po pierwszej, ich poświęcenie zostało nagrodzone. Z samochodu wysiadł Pepino ubrany w bardzo grubą jesionkę i wielki szalik. Kichnął dwukrotnie, wyciągając rękę do wysiadającej Luci. Uczepiła się jej i opierając się na niej ciężko poszła chwiejnym krokiem obok ogródka Perdity do domu. A więc była chora.

Dziesięć minut później Daisy i Robert Quantock siedzieli u nich przy obiadowym stole. Lucia z pewnością wyglądała nieźle i jadła jak powinna, lecz rozmawiała lekko zgaszonym tonem, odpowiednim dla kogoś, kto zjechał na całkowity odpoczynek.

- Ale Riseholme, drogie Riseholme wkrótce całkiem mnie uleczy - zapowiedziała. - Jakaż to radość być tutaj! Czy są jakieś nowiny, Daisy?

Doprawdy było ich niewiele. Daisy streściła tematy, które w czasie ubiegłych tygodni zajmowały Riseholme i pomyślała, że jedyną sprawą, która powodowała autentyczne, gorączkowe zaciekawienie Riseholme, była kronika lucynych przygód. Poza tym był jeszcze jej mini-golf oraz ambarasująca darowizna lasek do muzeum... Po czym przypomniało się jej, że komitet zatwierdził przyjęcie elżbietańskiego rożna, jeśliby Lucia wyglądała na chorą i dość nieoczekiwanie zdecydowała, że jest wystarczająco chora.

- Cóż, byliśmy zajęci sprawami muzeum - zaczęła.

- Ach, to drogie muzeum - rzekła tęsknie Lucia. To całkiem załatwiło sprawę.

- Bardzo chcielibyśmy przyjąć elżbietański rożen dla muzeum, jeśli można - oznajmiła Daisy. - Byłby dla nas istotnym nabytkiem.

- Oczywiście, z radością - odparła Lucia. - Każę go wysłać. Były inne dary?

Daisy opowiedziała o laskach, w obecności mężczyzny nie wspominając o tej nieskromnej. Opisała trudności z odpowiednim ich ustawieniem. Było ich razem osiemdziesiąt jeden (w tym ta nie skromna) i siatka tenisowa ledwo by je udźwignęła. Chora nie wyraziła większego zainteresowania kwestią lasek. Niewiele większy entuzjazm wzbudził mini-golf Daisy. Lecz wkrótce odzyskała nieco animuszu i zrobiła się bardziej podobna do siebie. Zanim obiad dobiegł końca, Daisy uświadomiła sobie, że z nich dwojga to Pepino był chory. Rzeczywiście był nadzwyczaj przeziębiony i ledwo mówił. Zastanowiła się, czy nie nazbyt raptownie wzięła rożen, ponieważ w ten sposób Lucia znalazła się jakby jedną nogą w muzeum.

Lucia wyzdrowiała jeszcze bardziej, gdy poszli sobie goście i jak zwykle wypełniła ją energia. Właśnie zrobiła wrażenie na Riseholme powrotem w chorobie, dowodząc tym samym prawdziwości notatki prasowej, ale po cichu powinna zacząć działać od nowa. Może zacząć od pozbycia się natychmiast tego uciążliwego rożna.

- Chyba udam się na małą przejażdżkę, Pepino - powiedziała - choć na twoim miejscu zajęłabym się przeziębieniem, żeby wy-



zdrowieć do soboty, gdy mamy jechać do Adeli. Uważam, że ogrodnik mógłby wyjąć rozeń z kominka, załadować go do samochodu, a ja podrzuciłabym go do muzeum. Tak mi się wydawało, że niebawem zechcą go mieć... A ten mini-golf, o którym mówiła Daisy, wydaje mi się zabawny; akurat na niedzielne popołudnia, gdy będą u nas goście. Chyba mówiła, że można kupić komplet w domach towarowych. Organizowalibyśmy małe turnieje.

Rozeń dało się z łatwością wymontować i Lucia, po napisaniu zamówienia do wysyłkowego domu towarowego na komplet do mini-golfa, kazała załadować rozeń i zawieźć do muzeum. Jedno załatwione. Pomachała dłonią i palcami w kierunku Świnki i Gąsi, które zabawiały się na błoniach, i mszyła w kierunku wsi, zadowolona ze swego mądrego posunięcia i opuszczenia Londynu, dzięki czemu Londyn nie opuścił jej. Poza tym postąpiła rozsądnie, że przyjechała do Riseholme i daje wszystkim znowu posmakować swej nadzwyczajnej obecności zanim w sierpniu odbierze swoją palmę przywódcy. Sądząc po tym, że arcyplotkarka Daisy nie miała wiele nowin do przekazania, podczas jej nieobecności były tu przeraźliwe nudy i choć popełniła przykry błąd w tamten weekend, troszkę działań pojednawczych niebawem to naprawi. Na dodatek Daisy nie miała niczego do powiedzenia o Abfou; chyba im się trochę znudził. Abfoua dałoby się ożywić: mini-golf i świeża partia ou-ijy przyjemnie rozpoczną sierpień. O wiele bardziej wolałaby Aix, lecz Pepino jasno się wyraził na ten temat...

Jurusia czekało przyjemne zaskoczenie, gdy przyszedł na kolację. Lucia prawie całkiem zdążyła wrócić do siebie. Pepino, nadal cierpiący na ciężkie przeziębienie, poszedł niebawem do łóżka, a Juruś z Lucią usadowili się w saloniku muzycznym.

- Najpierw pogadajmy, Juruś - zaproponowała. - A potem, nalegam, trochę muzyki. Niczego ostatnio nie grałam, przekonasz się, że strasznie zardzewiałam, ale nie wolno ci na mnie krzyczeć. Tak, rozeń zniknął, droga Daisy powiedziała, że muzeum z niecierpliwością na niego czeka, więc sama go zawiozłam dzisiejszego popołudnia. Muszę zobaczyć, co jeszcze z moich rzeczy jest godne muzeum.

To wszystko było całkiem wspaniałe. Lucia miała cudowną umiejętność absolutnego zapomnienia o przeszłości i posuwania się naprzód w przyszłość.

- A ty, czy wiele grywałeś ostatnio? - zapytała.

- Niewiele - przyznał Juruś. - Nie mam z kim grać. Świnka chciała grać duety, ale jej podziękowałem.

- Jursiu, leniłeś się - skarciła go. - Nie miałeś nikogo, kto by cię przypilnował. A Olga? Czy przyjeżdżała?

- Nie, od czasu... od czasu tej niedzieli, gdy byliście tu obie.

- To nieładnie, że w taki sposób porzuciła Riseholme. Lecz zapewne powiesz, że i z mojej strony nieładnie. Cóż, teraz musimy sięść razem i zaplanować wielkie rzeczy na sierpień. Przez cały sierpień będę na miejscu, by was pędzić. Jeszcze tylko jedna wizyta, którą Pepino i ja złożymy drogiej Adeli Brixton w sobotę, po czym będę już tutaj nieprzerwanie. Londyn? Tak, świetna zabawa, choć tobie nie udało się ustalić z nami daty przyjazdu. Będziemy musieli twoją wizytę przełożyć na jesień, jak pojedziemy w listopadzie. Lecz, ach, taka byłam zmęczona, gdy wczoraj zdecydowaliśmy się wyjechać z miasta. Zupełnie osłabłam. Jeszcze miałam tyle zaproszeń, ale po prostu wszystkie odwołałam. Ludzie muszą być dla mnie mili i wybaczyć mi. I czasem czuję, że strasznie namamowałam czasu. Nie robiłam nic innego, tylko spotykałam się i spotykałam z ludźmi. Różnymi, począwszy od Alfa Watsona, tego boksera...

- Nie! - rzekł Juruś, czując jak znowu oszałamia go obecność Luci.

- Owszem, był u mnie na prozzonej kolacji, kochaniutkie stworzenie, i wziął ze sobą swój flet. Dużo mówiło się o mojej kolacji wydanej na cześć Alfa, a jak kobiety wkoło niego krążyły!

- Kto jeszcze? - dopytywał się zachłannie Juruś.

- Mój drogi, a kogóż tam nie było? Marcelle... Marcelle Periscope przyszedł innego wieczoru. Adela, Sophy Alingsby, Bertie Alton, Aggie (muszę zaprosić tu drogą Aggie), Tony - Tony Limpsfield; i jeszcze tysiąc innych. No i oczywiście często droga Marcia Whitby. Jutrzejszego wieczoru wydaje bal. Szkoda, że mnie tam nie będzie, ale byłam po prostu finito. Ach, twoja przyjaciółka, księżniczka Isabel. Paskudna grypa. Powinieneś zadzwonić do niej do domu, Jursiu, i zapytać jak się miewa. Zajrzałam tam wczoraj. Takie to smutne! Ale pomówmy o weselszych rzeczach. Mini-golf Daisy.. muszę wpaść do niej jutro i zobaczyć, jak gra. Sądzę, że jest cudowna. Zamówiłam komplet, więc będziemy wspaniale się bawić.

- Od tygodni niczego innego nie robi - zauważył Juruś. - Zapewne świetnie jej idzie, ale nikt się tym nie interesuje. Zanudza...

- Jursiu, nie mów tak nieładnie o drogiej Daisy - powiedziała Lucia. - Musimy zorganizować małe turnieje, z nagrodami. Czy można grać parami? Ty i ja będziemy parą mieszaną. A co z Abfouem?

Wydawało się Jirusiowi, że oto była prawdziwa Lucia, i bez wątplenia miał rację. Zamierzała złapać każdą pojawiającą się okazję i sobie przywłaszczyć. Była to kradzież, nie inaczej, kradzież intelektualna i fizyczna, lecz Lucia wlewała życie w stare kości i sprawiała, że stawały się interesujące. Kibicowanie Daisy kiwającej kijkiem golfowym lub gra z nią była ciężką pracą, bowiem nikogo nie obchodziło, czy wygra, czy nie. Daisy potrafiła zadzwonić z opowieścią o co bardziej niesamowitych trafieniach, a nikogo nie obchodziła ta niesamowitość. Ale co za różnica gdyby to Lucia była boginią mini-golfa...

- Nie abfouowałem całe wieki - przyznał Juruś. - Chyba dała spokój.

- No to musimy zacząć znowu - oświadczyła rażno Lucia - i już więcej nie będziesz się lenił, Jursiu. Chodź, zagramy jakiś duet. Mój drogi fortepian! Od czego zaczniemy?

Zaczęli i przerobili wiele, po czym Lucia zagrała część „Sonaty Księżycowej” i Juruś wzdychał jak zwykle, aż wreszcie Lucia wyprowadziła go i odprowadziła do bramy ogrodowej. Świeciło pełno gwiazd i jak zwykle zacytowała: „Patrz, oto grubą warstwą ścielą się na dnie niebios...”. - Powiedziała, że musi do niego zadzwonić rano, po tym, jak się dobrze wyśpi.

W saloniku Daisy świeciło się światło. Jak tylko znalazł się naprzeciwko okien, usłyszała dźwięk jego kroków (nasłuchiwała od dłuższego czasu) i wyjrzała.

- To ty, Jursiu? - zapytała, doskonale wiedząc, że to musi być on.

- Tak - odparł Juruś. - Tak późno i nie śpisz?

- Jak się miewa Lucia?

Juruś na chwilę zupełnie zapomniał, że Lucia miała odpoczywać.

- Jest w prześwietniej formie - rzekł. - Co za rozmowa, co za gra.

- No proszę! - rzuciła Daisy. - Nic jej nie jest. Już nie chce żadnego odpoczynku, gwiazdki z nieba. O co tu chodzi, Jurusiu? Zapamiętaj moje słowa, tu o coś chodzi.

Rzeczywiście następnego dnia nie wydawało się, aby Lucia potrzebowała jakiegokolwiek wypoczynku. Wkrótce po śniadaniu wpadła do Daisy i poprosiła o lekcję gry w golfa. Daisy pokazała jej, jak trzymać kij, jak ustawić nogi. Powiedziała, że jest absolutnie konieczne, aby stała nieruchomo jak kamień i skupiła się. Pa-towanie jest niemożliwe, jeśli ktoś obok się odezwie. Wreszcie pozwoliła Luci spróbować. Lucia stanęła zupełnie źle i trzymała kij jak parasolkę, i trafiła do dziury z najdalszego stanowiska, nie przerywając zdania.

Rozegrały mecz. Daisy zaproponowała Luci, żeby od razu dodała do swojego wyniku cztery uderzenia. Lucia odmówiła i Daisy, wierząc się z podniecenia i wyższości, wcale nie dała rady wygrać. Lucia wygrała z łatwością, podczas gdy Robert się przyglądał. Pochwaliła kij golfowy Daisy i oznajmiła, że jest pięknie wyważony, choć Daisy zachodziła w głowę, skąd u niej takie porównania.

- A teraz muszę lecieć - powiedziała Lucia. - Musimy spotkać się któregoś dnia na rewanż. Świetna zabawa! Zamówiłam komplet przez pocztę, więc będziesz musiała dawać mi lekcje. Żegnaj, droga Daisy. Wyjeżdżam na niedzielę do drogiej Adeli Brixton, ale potem (cudownie) będę mogła znowu rozgościć się w Rise-holme. Musisz też pokazać mi swoją ouiję. Dziś rano czuję się całkiem wypoczęta. Czy mam ci później pomóc przy laskach?

Z niespokojnym sercem Daisy wróciła do gry. To straszne że Lucia, po amatorsku, pokonała poważnego adepta sztuki. Już miała ponure wizje Luci w charakterze impresaria golfowego popularyzującego grę w Riseholme. Sama będzie musiała nauczyć się bezzwłocznie wszystkich technik i spowodować, żeby Riseholme zaczęło na poważnie grać w golfa, nie w miniaturze, ale na prawdziwym polu.

Następnie Lucia złożyła wizytę w muzeum i ustawiła rożen w pustym i dobrze widocznym miejscu pomiędzy skamielinami Daisy a ceramiką pułkownika Bouchera. Wzięła udział w porannym parlamencie na błoniach, idąc obok wózka pani Boucher. Wrzeszczała do trąbki pani Antrobus, traciła czas razem ze Świnką

i Gasią, i nawet nie nadmieniła o jakiegokolwiek księżnej. Zdawała się pochłonięta sprawami Riseholme, oczekiwała ją jeszcze ta jedna nużąca wizyta, a potem, och radości! znowu wraca tu! Nawet pani Boucher poczuła się rozbrojona. Choć ani by o tym nie pomyślała, w charakterze Luci było coś, co wykraczało poza zwykły snobizm.

Tego popołudnia w czasie podwieczorku zajrzał Juruś. Było trochę chłodno i Lucia kazała rozpalić ogień na kominku w saloniku muzycznym. Ponieważ różem znikł, ogień płonął pięknie. Pepino, senny od przeziębienia, siedział tam, podczas gdy oni dwoje grali duety. Lucia zdążyła już zdjąć portret Sigismunda i zawiesić akwarelki Jurusia nad fortepianem. Świetnie bawili się kłócąc nad Mozartem. Juruś przyrzekł, że go przećwiczy, i Lucia przyrzekła, że przećwiczy. Ona nazwała go leniwym chłopcem, a on ją rozpuszczoną dziewczynką, zupełnie jak za dawnych czasów, nie opodał zaś drzemał Pepino. Wtedy przyszła wieczorna poczta razem z wieczorną prasą i Lucia chciała, zobaczyć, co napisał Hermiona na temat jej wyjazdu z Londynu. Przewracając strony spostrzegła dwa czy trzy listy, które podesłano z Brompton Square. Na wierzchu leżała duża kwadratowa koperta, taka jak te grube, kryjące kartę zaproszenia. Otworzyła ją. W następnej chwili skoczyła na równe nogi.

- Pepino, kochanie - wykrzyknęła. - Marcia! Jej bal. Bal u Marcii dzisiejszego wieczoru!

Pepino ożywił się nieco.

- Bal? Jaki bal? - zapytał. - Żadnego balu. Riseholme.

Lucia przepchnęła się koło Jurusia, siedzącego na stołeczku od fortepianu. Nie wydawało się, aby go zauważyła.

- Nie, kochanie, oczywiście, że ty nie pojedziesz - ciągnęła. - Ale wiesz, chyba zajrzę tam na godzinę. Juruś przyjdzie do ciebie na kolację, prawda, Jurusiu? I położysz się wcześniej spać. Wpół do siódmej! Tak, zajadę do miasta na dziesiątą. Zostanie mi cała masa czasu. Ubiorę się na Brompton Square. Tylko wezmę ze sobą kanapkę, żeby zjeść w samochodzie.

Obróciła się do Jurusia i potrząsnęła dzwonkiem.

- Marcia Whitby - powiedziała. - Zakończenie sezonu. Z łatwością zdążę, a Marcii będzie przykro, jeśli się nie zjawię. Zaraz... czy mam jutro wracać, Pepino? Może byłoby prościej, gdybym została i odesłała samochód. Wtedy mógłbyś następnego dnia wy-

godnie przyjechać i razem pojechalibyśmy do Adeli. Mam tyle rzeczy do załatwienia w Londynie na jutro. To przyjęcie u Aggie. Zadzwoń do Aggie i powiem, że jednak mogę przyjść. Moja pokojówka, mój szofer - rzuciła lokajowi, do złudzenia przypominając Shylocka.

- Chcę moją pokojówkę, mojego szofera i mój samochód. Niech szybko zje kolację... nie, zje kolację na Brompton Square. Każ mu natychmiast się stawić.

Juruś siedział całkowicie oniemiały, Lucia działała jak w amoku. Mozart, ouija, mini-golf, elżbietański rozeń, wszystkie prostolinijne radości Riseholme pogasły niczym wilgotne fajerwerki. A także jak kamfora zniknęła jej potrzeba całkowitego odpoczynku. Nigdy nie była tak pełna rozbuchanej, dzikiej żywotności.

- Droga Marcia - mówiła. - Tak mi się wydawało od początku, że to przeoczenie, lecz naturalnie, Juruś, choć jesteśmy ze sobą tak blisko, nie śniło mi się by, jej przypomnieć. Cóż za błogosławieństwem był mój pyszny pobyt w Riseholme; dzień zaledwie, a czuję, że mogłabym pójść na pięć bali i się nie zmęczyć. Co za cudowny dom, Juruś, gdy przyjedziesz do nas na jesieni będę musiała cię tam zaprowadzić. Pepino, czy to nie wspaniale, że wzięłam ze sobą tylko trochę najpotrzebniejszych rzeczy na dzień lub dwa, zostawiając wszystko w Londynie, i mieliśmy to zabrać po drodze jadąc do Adeli? Ależ to będzie widok, o ile wiem przychodzi cała prawie królewska rodzina, cały korpus dyplomatyczny, wiem że Gioconda się wybiera. A jednak bal niewielki, żadna z tych powszechnych imprez, które tak nienawidzę. Marcię wprost napastowano o zaproszenia! Jacy ludzie są wulgarni, jak się przepychają! Pa, i pamiętaj abyś ćwiczył Mozarta, Juruś. Ach, powiedz proszę Daisy, że nie będę mogła przyjść do niej jutro i zagrać w mini-golfa. Powrócę we wtorek po wizycie u Adeli, a już potem całe tygodnie będę mieć Riseholme. Jakżeż się grzebią! Pobiegnę tylko na górę i ponaglę pokojówkę.

Jak tylko pobiegła, Juruś wyszedł. Zajrzał do Daisy i opowiedział jej, słuchającej z ustami otwartymi z obrzydzenia, jak wyglądała ta zadziwiająca scena.

- Pojawia się pytanie - rzekł - dotyczące pełnego wypoczynku, który jej zalecono. Nie wierzę, aby zalecano jej jakikolwiek wypoczynek. Wierzę, że...

Daisy zaskrzeczała triumfalnie: rozumowanie indukcyjne zaprowadziło ją akurat do tego samego punktu w tym samym momencie.

- Ależ oczywiście! - wtrąciła. - Zawsze mi się wydawało, że coś się za tym kryje. Powiedziałam ci, że chodzi o coś zupełnie innego. Nie zaproszono jej, a więc...

- A więc przyjechała tutaj na wypoczynek - dodał donośnym głosem Juruś. Uparł się, że pierwszy to powie. - Ponieważ jej nie zaproszono...

- A jak tylko ją zaproszono, poleciała - dokończyła Daisy. - Jasne jak słońce. Koniec odpoczynku, dziękuję bardzo.

- Ona jest cudowna - podkreślił Juruś. - Pasjonująca!

Lucia pędziła w ten letni wieczór by cofnąć swój własny wyrok, zbyt podniecona, aby jeść, zbyt szczęśliwa aby zastanowić się jak to się stało. Jakaż była rozsądna, że trzymała język za zębami i nie oddała się namiętym lamentom z powodu swego wykluczenia z rajy, do którego właśnie zmierzała! Nie wypowiedziała ani jednego złego słowa pod adresem Marcii, nie poprosiła nikogo o wstawiennictwo, włączała się do rozmów o balu jakby miała iść, a wreszcie uniemożliwiła sobie pójście, oświadczając, że zalecono jej kilka dni całkowitego wypoczynku. Będzie w stanie doskonale wytłumaczyć swoją obecność - poczuła się o wiele lepiej (lekarze tylko straszą), w ostatniej chwili poczyniła mały wysiłek, no i jest.

Głośny wybuch przerwał te przyjemne refleksje i samochód zatrzymał się. Pękła opona. Co prawda wieźli koło zapasowe i choć przestój wydawał się przeraźliwie długi, niebawem mszyli znów w drogę. Przejechali dziesięć mil i na północnym wschodzie żar londyńskich świateł zabarwił czerwienią matową letnią noc. Gwiazdy płonęły jasno i wyobraziła sobie Pepina przy teleskopie... nie, Pepino był paskudnie przeziębiony i nie będzie stał przy teleskopie. I wtedy usłyszała następną eksplozję - czyżby te parszywe gwiazdy sprzysięgły się przeciwko niej? - i samochód po raz wtóry zatrzymał się na poboczu pustej drogi.

- Co się stało? - zapytała Lucia zduszonym głosem.

- Następną opona, psze pani - odparł szofer. - Pierwsze słyszę!

Lucia spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. Powinna już być na Brompton Square. Nie mieli drugiego koła do założenia, oponę należało zdjąć i załatać. Minuty mijały niczym sekundy... Lucia, zdawałoby się, spokojna siedziała na kocu przy drodze i bezskutecznie starała się nie przeklinać wszechmogącej Opatrzności. Wszedł księżyc. Zaczęła liczyć godziny pomiędzy tragiczną terażniejszością a, powiedzmy, czwartą rano. Zdecydowała, że bez względu na wszelkie katastrofy, które się jej jeszcze mogą przydarzyć, pojedzie do siedziby Whitby, choćby śmieciarką, o ile będzie szansa, że znajduje się tam choć jeden gość. A właśnie, że pójdzie...

Przez ten cały czas, gdyby tylko wiedziała, gwiazdy wcale nie sprzysięgły się przeciwko niej, wręcz odwrotnie. Oponę załatano i Lucia dotarła na Brompton Square równo kwadrans po jedenastej. Trzaskały drzwi od szaf i plądrowano szuflady, zmalretowana pokojówka rozplakała się. Na szyi Luci zapięto perły po ciotce Amy, do sukni przypięto włosy Pepina w relikwiarzu ze złotych kiełbasek, niegdyś przeznaczonym dla loku Beethovena, i pięć minut po północy Lucia spieszyła w górę po wielkich schodach w siedzibie Whitbych. Akurat w chwili, gdy stanęła przed drzwiami sali balowej pojawiło się czoło procesji zdążającej na kolację. Przez moment Marcia patrzyła na nią jakby zobaczyła ducha, ale Lucia była tak zajęta dyganiem, że nawet o tym nie pomyślała. Dygała raz po raz siedem razy i z przyzwyczajenia o mało co nie dygnęła Adeli, która (jak to Adela) szła obok.

- Właśnie zjechałam z Riseholme, najdroższa Adelo - powiedziała. - Czuję się całkiem wypoczęta. Jak się pan miewa, lordzie Tony? Dlatego też poczyniłam ten malutki wysiłek. Pepino namawiał mnie, abym jechała. Jakże to miło pana widzieć, ekscelencjo! Millie! Najdroższa Olgo! Jak wielu przyjaciół! Jak się czuje biedna księżniczka Isabel?

Następnego dnia katar biednego Pepina zamiast zelżeć jeszcze się pogorszył. Bolało go wszystko, gorączkował i posłał po leka rza, który w krótkich słowach nakazał mu się położyć. Nie było powodu do obaw, ale byłoby szczytem głupoty wybierać się na jakiegokolwiek dłuższe wizyty. Do łóżka.



Pepino nadał telegram do lady Brixton, przeprasząc wiele-kroć za niespodziewane okoliczności, oraz zatelefonował do Luci. Stan jego głosu uniemożliwił jasne rozumienie wypowiedzi, lecz całkowicie pojęła, iż nie ma się czym martwić, oraz że on ma nadzieję, że ona pojedzie do Adeli bez niego. Z drugiej strony, jej głos był cudownie wyraźny i małżonek usłyszał wiele o serii przykrych przypadków, których zbieg doprowadził do tak olśniewającego końca poprzedniej nocy. Potem w jednym ciągu wymieniła siedem imion i zauważyła, że zezwolono na zrobienie zdjęcia z fleszem podczas kolacji. Chyba na tym zdjęciu się znalazła, choć raczej w tle.

Luci było bardzo przykro z powodu niedyspozycji Pepina, lecz tak jak jej kazał, nie martwiła się o niego. Poza tym uważała, że osobiście nie będzie nadmiernie żałować, że uniemożliwiono mu stawienie się u Adeli, ponieważ miało tam być wielu gości, a Pepino, niebożę, czasami troszkę głupiał przy takich olśniewających zgromadzeniach. Nie umiał szybko i pewnie pojąć kto był kim i raz chwycił dłoń wybitnego pisarza, aby powiedzieć mu, jak bardzo podziwiał jego obraz na wystawie w Akademii. (Lucia nieustannie robiła to samo, ale wydobywała się z dołeków własnoręcznie wykopanych tak genialnym manewrowaniem, że nie zaznawała szkody, zaś niefortunny Pepino głupiał jeszcze bardziej.) Ponadto wiedziała, iż obecność Pepina w jakiś sposób hamowała jej polot. Nie mogła udawać genialnego światowca, znajdując się w zasięgu jego cierpliwego, choć dumnego wzroku, ze stylem, który przyjmowała w jego nieobecności. Zawsze miała świadomość, iż on najlepiej ją zna w jej inkarnacji riseholmowskiej, grającą duety z Jumsiem, pierwszą część „Sonaty Księżycowej” lub podkradającą wszystkie pomysły Daisy. Przechodził przez niego prąd, gdy widział ją błyszczącą niczym motyla, lecz przy tej okazji doznawał też zaskoczeń i lekkich szoków. Gdy wymieniała z imienia jakąś kobietę, z którą łączyło ją jedynie to, że odmówiła zaproszeniu na kolację do Brompton Square - Pepino zastanawiał się. Na jesieni musi trochę spoważnieć, zaprosić na ciche kolacyjki zwykłych ludzi, bowiem jak dotąd przy Brompton Square zjawiało się niewielu „zwykłych” ludzi; zwabiano tam raczej szlachetne lwy różnego autoramentu. No, a przyjęcie u Adeli będzie o charakterze lwim - znajdzie się tam elegancki świat, jacyś intelektualiści i kilku polityków, i Lucia dobrze wiedziała, że sama będzie musiała bardzo się

starać, rzucać aluzje, udawać, że wie to, czego nie wie, i sprawiać wrażenie, iż pływa z raczej dystyngowanymi prądami. Drogiego Pe-pina na takie coś nie było stać, nie umiałby się z tym zmierzyć, a ona mierzyła się najlepiej pod jego nieobecność. Prawdopodobnie w chwili, gdy ta zrozumiała myśl zaświtała w głowie Luci, Nemezis zwróciła na nią swe nieubłagane oko.

Nieświadoma śmiertelności spojrzenia, Lucia zajęła się niecierpiącymi zwłoki sprawami. W kalendarzyku wyczytała, iż tego dnia, kiedy przytrafił się jej absolutny wypoczynek, miała wiele rzeczy do zrobienia. Ogłosiła więc telefonicznie radosne wieści, że może przyjść na obiad tu oraz zajrzeć tam, i zjeść kolację u Aggie. Odnowienie stosunków poszło dobrze i cały dzień miała wypełniony, a także następny, aż do godziny, gdy wyjeżdżała do Adeli. Sprawiwszy się z tym przyjemnym zajęciem, zamierzała zadzwonić do Stefana i umówić się z nim na te trzy kwadransy, które jej pozostały wolne, gdy zadzwonił telefon i powitał ją głos Stefana.

- Stefano *mio* - rzekła. - Skąd zgadłeś, że wróciłam?

- Bo najpierw zadzwoniłem do Riseholme - odparł. - I powiedzieli, że pojechałaś do miasta. Byłaś tam zeszłej nocy?

Nie było potrzeby pytać, co oznaczało „tam”. Zeszłej nocy w Londynie było tylko jedno miejsce.

- Tak. Pyszne tańce - oświadczyła Lucia. - Właśnie miałam do ciebie zadzwonić i upewnić się, czy mógłbyś przyjść porozmawiać o 16.45. Będę wolna aż do 17.30. Taka zabawa! I zrobili nam zdjęcie z fleszem.

- Nie! - powiedział Stefan po riseholmowsku. - Ogromnie jestem ciekaw. Naprawdę było siedmioro?

- Owszem - przyznała Lucia.

- Wspaniale! Ale nic z tego o 16.45. Nie dałabyś rady o innej porze?

- Niemożliwe, mój drogi - odparła Lucia. - Wiesz, jak jest ostatnimi czasy w Londynie. Bieganina.

- Cóż, spotkamy się jutro - powiedział.

- Niestety, jutro jadę do Adeli.

- Tak, i ja też - wyznał Stefan. - Zaprosiła mnie dziś rano. Zastanawiałem się, czy podwoziłabyś mnie swoim samochodem. Zmieścimy się - ty, Pepino i ja?

Lucia błyskawicznie rozważyła sytuację. Zupełnie jasno pojęła, że Adela zaprosiła Stefana w ostatniej chwili w miejsce Pepina. Naturalnie, Adela nie powiedziała mu tego ani Lucia nie zamierzała. Popsułoby mu przyjemność (a przynajmniej jej by popsuło), gdyby się dowiedział... A cóż za cudowne wejście (aczkolwiek dość odważne) - zajechać z kochankiem. Może mu powiedzieć o niedyspozycji Pepina jutro rano, jakby jej właśnie przyszła do głowy ta myśl.

- Tak, Stefano, jest pełno miejsca - powiedziała. - Z radością przyjadę po ciebie, dobrze, po drodze, o trzeciej z minutami.

- Anielsko - odparł. - Będziemy się świetnie bawić.

Z dużym prawdopodobieństwem akurat w tejże chwili Nemezis oblizła się. - Świetnie! - pomyślała Nemezis.

Adela zaprosiła też Marcję Whitby. Przyjechała rano i jadły razem obiad z Adelą. Główny temat ich rozmowy był oczywisty.

- Zobaczyłam jej anons w gazecie - opowiadała rozwścieczona Marcja - że wyjechała na wieś, aby kilka dni całkowicie odpocząć i naturalnie pomyślałam, że nic mi nie grozi. Przysięgłam sobie, że nie przyjdzie na mój bal, a gdy przeczytałam tamto uznałam, że jej się już nie uda. A więc z czystego dobrego serca posłałam jej kartę, żeby mogła wszystkim opowiadać, że ją zaproszono. Nawet mi się nie śniło, że istnieje możliwość, iż przyjdzie. Zamiast tego zgotowała mi najbardziej zauważalne wejście. Jestem pewna, że je wyreżyserowała. Jestem przekonana, że czekała na schodach, póki nie zobaczyła, że wychodzimy na kolację.

- Ciekawe! - rzekła Adela. - Jeśli tak, to jest geniuszem. I jeszcze dygnęła siedem razy. Moje wiekowe kolana głośno by strzelały.

- Została aż do samego końca - ciągnęła Marcja. - Wyszła absolutnie ostatnia. Nigdy w życiu już nie zrobię nic z dobrego serca.

- Brzydko się o niej wyrażasz - zauważyła Adela. - A zresztą, co ona takiego zrobiła? Zaprosiłaś ją i przyszła. Nie krzyczysz na swych gości, że przychodzą gdy ich prosisz. Nie spodobałoby ci się, gdyby nikt nie przyszedł.

- To co innego - odparła Marcja. - Nie byłabym zdziwiona, gdyby zaanonsowała, że potrzebuje całkowitego odpoczynku, żeby mnie schwytać w pułapkę.

Adela westchnęła, ale potrząsnęła głową.

- Och, moja droga, to byłoby genialne - powiedziała. - Lecz obawiam się, że nie uwierzę. Powiedziałabym, że pojechała na wieś, ponieważ jej nie zaprosiłaś, a to i tak było niezłe. Ale to drugie... nie. A jednak, zapytamy Tony'ego, co o tym myśli.

- Co ma do tego Tony? - zapytała Marcia.

- Jakże, jest nią jeszcze bardziej pochłonięty niż ja - oznajmiła Adela. - O niczym innym nie myśli.

Marcia przez chwilę milczała. Wreszcie w jej gniewnym oku zabłysło łagodniejsze światło.

- Opowiedz mi coś więcej o niej - poprosiła. Adela klasnęła w dłonie.

- Cudownie - ucieszyła się. - Zaczynasz żywić cieplejsze uczucia. Nie umiem sobie wyobrazić, co poczęlibyśmy bez naszej Luci. Nie wiem, o czym byśmy rozmawiali.

- Jest śmieszna! - oświadczyła Marcia, czując chwilowy nawrót.

- Nie, nie wolno ci tak myśleć - powiedziała Adela. - Nigdy nie wolno ci się z niej śmiać. Powinnaś się nią delectować.

- To snobka! - rzuciła Marcia jakby odkrywała Amerykę.

- I ja też, i ty też, i my wszyscy - ciągnęła Adela. - Wszyscy biegamy za wybijającymi się ludźmi takimi jak... jak Alf i Marcelle. Różnica między tobą a Lucią działa wyłącznie na jej korzyść, ponieważ ty udajesz, że nie jesteś snobką, ona zaś całkiem szczerze i otwarcie się do tego przyznaje. A zresztą, po co ma istnieć księżna taka jak ty, jeśli nie po to, by sprawiać snobom przyjemność? Kochana, to twoje zadanie na tym świecie, dlatego tu cię przysłano. Nie rób uników, bo na stare lata będziesz cierpieć straszliwe wyrzuty sumienia. Sama przecież jesteś snobką. Podobało ci się, że na twoim balu było siedmioro (a może siedemdziesięcioro?) członków rodziny królewskiej.

- No, to opowiedz mi więcej o Luci - skapitulowała Marcia, za-frapowana dość genialnym przedstawieniem sprawy z takiego punktu widzenia.

- Oczywiście, że to zrobię: pragnę abyś dała się nawrócić na luciafilizm. Dzisiaj będą cudowne wydarzenia. Widzisz, Lucia ma kochanka...

- Całkowicie i absolutnie niemożliwe! - rzekła twardo Marcia.

- Och, nie przerywaj. Oczywiście, że jest to tylko kochanek oficjalny, kochanek publiczny i nazywa się Stefan Merriall. Idealna dama. Teraz słuchaj. Pepino, mąż Luci, miał z nią dzisiaj przyje-

chać, ale się wymówił, ponieważ jest bardzo przeziębiony. Nawet się cieszę. Lucia ma więcej... więcej polotu, gdy go nie ma w pobliżu. A więc zaprosiłam zamiast niego kochanka Luci...

- Nie! - powiedziała Marcia. - Mów dalej.

- Moja droga, są o wiele lepsi od wszystkich sztuk teatralnych, jakie kiedykolwiek widziałam. Robią to pięknie: rzucają sobie krótkie spojrzenia i uśmiezki, po czym zaczynają pośpiesznie rozmowę z kimś innym. Bez wątpienia oboje są czyści jak śnieg albo i bardziej, jeśli to możliwe. Wydaje mi się, że proces Babs dał Luci pomysł, że w tym niegrzecznym świecie kobieta, którą podejrzewa się o posiadanie kochanka zyskuje pewien *cachet*. Są bezpieczni: nie ma niczego, co mogłoby wyjść na jaw. Zachowują się jak kochankowie wyłącznie w towarzystwie. Na samym początku byłam przerażona, że pan Merriall weźmie sobie do głowy, że o coś jej chodzi i będzie usiłował ją pocałować, bo tak popsułby całą delikatną konstrukcję, ale jestem przekonana, że wie.

- Doskonale! - przyznała Marcia.

- Nieprawdaż? Czyżbyś ciążyła w kierunku luciafilów? Jestem o tym przekonana. Musisz się nią delektować; jeśli Lucia kogoś denerwuje, to posądzam go o brak poczucia humoru. Naprawdę wiele tmdu mnie kosztowało zgromadzenie ludzi, w których się rozsmakuje. Premier, ty, ten pianista Greatorex, jedyny, który umie zagrać Strawińskiego, profesor Bonstetter, ten od psychoanalizy, ambasador Włoch, jej kochanek, Tony... nie mogę dłużej. Aha, muszę pamiętać i powiedzieć jej, że Archie Singleton jest bratem Babs, bo jeszcze powie coś strasznego. No i wielu rozsmakuje się w Luci, a najpierw ja. Uwielbiam ją, naprawdę, Marciu. Ona ma charakter, ma wolę z żelaza, a ja lubię silne, gadatliwe kobiety o wiele bardziej niż silnych, milczących mężczyzn.

- O, tak, ma wolę - oświadczyła Marcia. - Uparła się przyjść na mój bal i przyszła. Przyznaję, że dałam jej szansę.

- Takie szanse trafiają się ludziom utalentowanym - zauważyła Adela. - Nie trafiają się zwykłym ludziom.

- A jeśli będę dziko flirtować z jej kochankiem? - zapytała Marcia.

Adeli przyszła do głowy pewna myśl i oczy jej zabłyły.

- Nie mam pojęcia, co zrobiłaby - rzekła. - Ale jestem pewna, że zrobiłaby coś wartego uwagi. Inaczej nie byłaby Lucią. Ale nie wolno ci tego robić.

- Tylko jeden wieczór - powiedziała Marcia. - Godzinkę lub dwie. Przecież nie będę kłusować, bo on nie jest jej kochankiem. To tylko gra.

Adela zawahała się.

- Cudownie byłoby dowiedzieć się, co robi - przyznała. - Prawda, że to tylko gra... Może godzinkę lub dwie jutro, a potem go oddaj.

Adela nie spodziewała się swoich gości aż do czasu podwieczorku, więc ona i Marcia udały się na poobiednią siestę. Adela była w domu już od czterech czy pięciu dni. Na bal do Marcii pojechała samochodem i wróciła następnego dnia wcześniej rano, aby trzy całe dni przygotowywać wszystko, co miało związek z gośćmi: umieścić ich po pokojach, omówić kwestie najwyższej wagi z kucharzem i przygotować się na powitanie do możliwie najliczniejszych pociągów. Dlatego też Stefan Merriall, z powodu przepełnienia domu, dostał przestronną garderobę, wyposażoną w sprzęty sypialniane, sąsiadującą z pokojem Luci. Pierwotnie miał tam zamieszkać Pepino. Adela powiedziała majordomusowi iż pan Lucas nie przyjedzie oraz że jego pokój zostanie zajęty przez pana Merrialla i przestała o tym myśleć. Zapomniała też zmienić wizytówkę na drzwiach. Te dwa pokoje znajdowały się w połowie długiego korytarza wiodącego do licznych sypialni i łazienek, biegnącego przez całą długość domu: był to korytarz obszerny, wyłożony płytami dębowymi, dość ciemny, do którego prowadziły z jednego końca szerokie schody. Piętro niżej znajdowały się po koje dzienne, począwszy od biblioteki, następnie duży salon muzyczny, salon podobny do długiej galerii oraz jadalnia. Wszystkie wychodziły na brukowany taras nad ogrodem i kortem tenisowym. To właśnie tutaj, w chłodnym cieniu domu, zaczęli zbierać się goście Adeli. Zjawiali się pojedynczo i dwójkami, niektórzy jadąc samochodem z Londynu, inni przybywając pociągiem. Dopiero gdy zebrało się ich tuzin, a między nimi kilku najzagorzalszych luciafilów, obiekt ich uwielbienia, w towarzystwie kochanka, pojawił się i to najwyraźniej w szczytowej formie.

- Najdroższa Adelo - witała się Lucia. - To pyszne, że znowu znalazłam się w wiejskim chłodzie. Marciu droga! Jadąc na twój bal miałam takie przygody: pękły nam dwie opony, wydawało mi się, że nie dojadę nigdy. Jak się pan miewa, ekscelencjo? Widziałam pana u księżnej, ale nie udało mi się zamienić słowa. Aggie kochana! Ach, lord Tony! Owszem, filiżankę herbaty z przyjemnością. Bez cukru, Stefanie, dziękuję.

Lucia nie dostrzegła wszystkich. Była jedna czy dwie osoby znajdujące się w dalszej odległości od stołu zastawionego podwieczorkiem. Zresztą, nie sprawiali wrażenia ważności, z pewnością nie siedział z nimi premier. Stefan krążył, kochankopodobnie, w okolicach oparcia jej krzesła. Zwróciła się do ambasadora Włoch.

- Jadąc cały czas obawiałam się, że przytrafi mi się wypadek samochodowy - powiedziała - ponieważ wczoraj śniło mi się potłuczone lustro. Jakie dziwne bywają sny, choć doprawdy psychoanalizy, którzy je interpretują, są jeszcze dziwniejsi. Byłam na spotkaniu u Sophy, drogiej Sophy Alingsby... jestem pewna, że wasza ekscelencja zna Sophy Alingsby. Wysłuchałam na ten temat wykładu. Zaraz, niech pomyślę. Gotowany królik, jeśli się przyśni gotowany królik...

Nagle Lucia stała się świadoma pewnego rodzaju napięcia. Nic więcej. Szybko się rozejrzała i rozpoznała jednego z mężczyzn, na którego nie zwróciła większej uwagi. Wskoczyła z krzesła.

- Profesor Bonstetter - umiechnęła się. - Jak się pan miewa? Wiem, że pan mnie nie będzie pamiętał, ale miałam zaszczyt uścisnąć pana dłoń po pańskim porywającym wykładzie kilka dni temu. Proszę, niech pan tu przyjdzie i opowie jego ekscelencji i mnie więcej na ten temat. Chciałam zadać panu mnóstwo pytań.

Adela miała ochotę klaskać, lecz musiała się zadowolić rzuceniem spojrzenia w oczy Marcii - czy Lucia była wielka, czy nie? Stefan też - jak idealnie podała mu swoją pustą filiżankę po herbacie, bez słowa, a on ją wziął i zapytał „jeszcze?“, na co ona tylko potrząsnęła głową, nie odwracając uwagi od profesora Bonstette-ra. Potem przyjechał premier. Lucia powiedziała, że rezydencja w Chequers musi wyglądać pięknie. Nie zaanektowała go, po prostu krążyła i rzucała aluzje, nie czyniąc żadnych bezpośrednich uwag, i oczywiście, po pięciu minutach zapytał ją, czy zna Chequers.

A jakże, ale tylko od strony turystycznej... i jedno potoczyło się za drugim. We wtorek, gdy wyruszy w długą podróż do Riseholme, czeka na nią miły przerywnik w postaci obiadu w Chequers, i nie będzie musiała nałożyć więcej niż czterdzieści mil drogi.

Goście rozeszli się i spacerowali po tarasie, po czym zeszli się znowu. Niektórzy udali się do swoich pokoi. Lucia przeszła się w tę i z powrotem razem z ambasadorem, z wielkim taktem rozmawiając o Mussolinim, przeszła się też z lordem Tonym i przez długi czas nie pozwoliła, by dołączył do niej Stefan. Lecz wkrótce udali się z wolna do ogrodu, gdzie zobaczono ich, jak stoją bardzo blisko siebie i publicznie się kłócą o kwiatek.

Lucia, uświadomiwszy sobie, że na nich patrzą, zawołała na Adelę z pytaniem, czy jest to ogórecznik Dropmore'a, czy nie. Niebawem wrócili. Stefan poszedł na górę do swojego pokoju, Lucia została na dole. Adela oprowadziła ją po bibliotece, saloniku muzycznym i długim salonie, po czym zniknęła. Lucia posunęła w kierunku saloniku muzycznego, otworzyła fortepian i zaczęła grać pierwszą część „Sonaty Księżycowej”.

Mniej więcej w połowie uświadomiła sobie, że ktoś wszedł. Lecz oczy miała jak zwykle w rozmarzeniu utkwione w krawędzi sufitu, a jej palce bezbłędnie wybijały powolne triole. Gdy skończyła, króciutko westchnęła, przycisnęła palce do oczu i powoli zbudziła się, jakby przytomniejąc po melodyjnym narkotyku.

Wszedł mężczyzna i usadowił się nieopodal klawiatury.

- Czarujące! - powiedział. - Dziękuję.

Lucia nie pamiętała, aby był na tarasie, może właśnie przyjechał. Miała niejasne wrażenie, że na tarasie czy gdzieś indziej już go widziała. Drgnęła z wdziękiem.

- Ach, nie miałam pojęcia, że mam słuchaczy - oświadczyła.

- Nigdy nie odważyłabym się grać dalej. To zaledwie ćwiczenia

- tak strasznie dawno nie grałam.

- A więc proszę ćwiczyć dalej - rzekł uprzejmy nieznajomy. Przebiegła palcami lekkimi jak motyle po klawiaturze.

- Kawałek Strawińskiego?

W połowie kawałka weszła Adela i zobaczyła jak Lucia gra Strawińskiego dla pana Greatorexa. Sytuacja przerastała ją o całą orbitę i najzwyczajniej czekała z niezachwianą wiarą w Lucię na



to, co się stanie, gdy Lucia uświadomi sobie, komu gra... Kawałek ten był całkiem długi, bliższy raczej całemu posiłkowi, poza tym nadzwyczaj przypominał groch z kapustą. Wreszcie Lucia z optymizmem weszła w rozbieżne podwójne skale chromatyczne wieńczące dzieło i roześmiała się radośnie.

- Moje biedne palce - powiedziała. - Przepyszny fortepian, droga Adelo. Kocham bechsteiny. To był kawałek Strawińskiego. Szaleńczy, nieprawdaż? Jak ci się wydaje? Aczkolwiek zupełnie taki, jakie są współczesne idee: są tu rozgorączkowane wycieczki i strzępki melodii, niewiążące się wcale. A jednak zawsze powtarzam, że coś w nim jest, gdy się mu bliżej przyjrzeć. Jakże ja pracowałam nad tym kawałkiem i obawiam się, że jest jeszcze daleki od doskonałości.

Lucia zagrała palcami jednej ręki pasaż, jednocześnie zachodząc w głowę, gdzie wcześniej widziała tego mężczyznę. Obróciła się na stołku od fortepianu. Była przekonana, że jest artystą, a nie chciała, by Adela ją przedstawiła, bo wyglądałoby to, że nie zna wszystkich gości. Przeszła na malarstwo.

- Wydaje mi się, że w sztukach pięknych szkołę Strawińskiego reprezentują postkubiści - ciągnęła. - Przedstawiają nam układy linii w podobny sposób jak Strawiński przedstawia nam układy nut, a współczesny poeta układy słów. Kilka dni temu na wieczorze u Sophy Alingsby uraczono nas całą ucztą układów. Droga Sophy, cóż za mieszanka gustów! W muzyce opowiada się wyłącznie za ultraprymitywizmem, zaś w sztuce za ultranowoczesnością. Zanim weszłaś, Adelo, usiłowałam przypomnieć sobie pierwszą część „Księżycowej” Beethovena, te triole, choć wydają się łatwe, trzeba pilnować, aby brzmiały równo. Jednakże Sophy uważa Bee-thovena za absolutnego dekadenta. Powinnam była zabrać ją na koncertik divy... Dalrymple, gdyż zapewniam was, że Strawiński był klasykiem w porównaniu z pozostałymi pozycjami programu. Podziwu godne wykonanie, też, panie... (jakżesz on się nazywał?) Greatorex.

Wymówiła to słowo, zanim sobie uświadomiła, z czym się łączy. Zaśmiała się po swojemu.

- Ach, okrutni ludzie - wykrzyknęła. - Spisek, toż to jawny spisek. Jak pan mógł, panie Greatorex? Adela powiedziała panu, by pan tu wszedł, gdy usłyszała moje pobrzdąkiwania, i kazała panu

usiąść i mnie zachęcać. Nie zaprzeczaj, Adelo! Wiem, że tak było. Powiem wszystkim, jaka byłaś niedobra, chyba że pan Greatorex natychmiast usiądzie do fortepianu i magicznie tchnie życie we wszystko, co właśnie pomordowałam.

Adela niczemu nie zaprzeczała. Faktycznie nie było czasu zaprzeczać, bowiem Lucia najzwyczajniej posadziła pana Greatorexa na stołku i natychmiast przybrała muzyczny natchniony wyraz twarzy, z brodą wspartą na dłoni i oczyma spoglądającymi marząco do góry. Można by pomyśleć, że Nemezis zsyła na nią ciosy, lecz sama Nemezis nie była godną przeciwniczką dla zadziwiająco szybkiej Luci. Odbijała ciosy i dęgała znowu, a proszę (ach, cóż za materiał do przyszłych wspomnień!), oto był pan Greatorex, który grał Strawińskiego dla niej, nie mając innej widowni poza nią i Adelą, która się właściwie nie liczyła, ponieważ lubiła tylko jedną melodię: hymn „Ziemio nadziei i chwały”... Wielka była Lucia!

Adela pozostawiła tych dwoje, ostrzegając, że najwyższy czas iść się przebrać, ale najpierw zabrzmiało jeszcze trochę Strawińskiego, tylko dla uszu Luci. Adela powiedziała jej, gdzie znajduje się jej pokój i dodała, że na drzwiach jest wizytówka z jej nazwiskiem, i Lucia znalazła go od razu. Był to piękny pokój, z łazienką z jednej strony oraz wspianym łóżem z czasów Karola II, udra-powanym u wezłowania wełnianą tapiserią. Trochę to było późne, jak na elżbietańskie gusta Luci, i zauważyła, że wielka szafa była Chippendalem, czyli jeszcze późniejsza. Na ścianach widniały chińskie tapety, a na podłodze dywany perskie i choć znalazłaby tu powody do krytyki, całość łatwo dawała się podziwiać. Była tam też bardzo elegancka suknia oraz ozdoby w postaci pereł po ciotce Amy i broszy Beethovena. Lucia zdecydowała się unikać wszelkiej konkurencyjności i włożyła perły z powrotem do pudła z biżuterią. Była przekonana, że broszka beethovenowska nie ma sobie równych.

Lucia odniosła wrażenie, iż w jej przypadku kolacja była olśniewającym sukcesem. Stefana posadzono naprzeciwko i od czasu do czasu wymieniała z nim z dala małe uśmieszki. Z jednej strony miała lorda Tony'ego, któremu ogromnie spodobała się jej opowiastka o Strawińskim i Greatorexie. Powiedziała mu też, co ambasador Włoch powiedział o Mussolinim oraz premier o rezydencji

w Chequers; ma wpaść tam na obiad po drodze, gdy będzie wracała z pysznej gościny u Adeli do Riseholme. Potem rozmowy zmieniły tor, Lucia obróciła się ku lewej i zagadnęła mężczyznę, którego tożsamości nie była pewna. Weszła na sprawy znane publicznie i zaczęła mówić o biednej Babs i o tym, jak podziwia jej zachowanie się podczas tej strasznej rozprawy sądowej, która skończyła się tak katastrofalnie. I znowu wyczuła lekkie napięcie.

Następnie goście grali w brydża i Mah Jonga, w międzyczasie przeplatając grę głęboką, aluzyjną konwersacją, w poczuciu (tak drogim dla Luci), że są w samym środku wszystkiego, co dystygowane. Gdy panie udały się na górę, pospieszyła do swojego pokoju, szybko przebrała się w szaty o większej prostocie i, korzystając z zaproszenia, udała się na poszukiwanie pokoju Marcii, który znajdował się w dalszym końcu korytarza - żeby porozmawiać. Była tam Adela i droga (raczej pospolita) Aggie, i Aggie trochę bez umiaru obrzucała pochlebstwami te sześć rzędów pereł Whit-bych. Lucia poczuła ulgę, że ograniczyła swe splendory do broszy beethovenowskiej.

- Dlaczego nie założyłaś swych pereł, Luciu? - zapytała Adela- Miałam nadzieję, że je zobaczę.

Słyszała, jak mówiono o perłach ciotki Amy, ale nie zauważyła ich podczas balu u Marcii.

- Te moje ziarenka! - wykrzyknęła Lucia. - Ziarenka, w porównaniu do tych kul Marcii! Maluteńkie drobiażdżki!

Aggie widziała je i wiedziała, że Lucia nie przesadza, mówiąc o ich nikłych rozmiarach. Jak prawdziwy luciafil zmieniła temat, który mógł się okazać drażliwy.

- Zabieraj swoje świecidła, Marcia - powiedziała Aggie. - Są przecież chorobowym wytworem pospolitego skorupiaka, którego się jada, jeśli jest zdrowy, i nosi, gdy ma tumor... To przykre, że my wszyscy nie będziemy się już spotykać dzień w dzień, jak dotychczas! Adela jedzie do Ameryki, a Marcia do Szkocji (co za paskudne miejsce, Marciu, jedź zamiast tego ze mną do Marienbadu). A co ty zamierzasz, Luciu?

- Och, moja droga, jakże chciałam jechać do Aix czy do Marienbadu - westchnęła. - Ale mój Pepino mówi, że to niemożliwe. Musimy przycupnąć w Riseholme. Szekle, te dręczące szekle.

- No i proszę, mówi o Riseholme, jakby musiała się tam udać na straszną pokutę - roześmiała się Adela. - Ty uwielbiasz Riseholme, Luciu, a jeśli nie, to powinnaś. Olga szaleje z zachwytu. Mówi, że tylko tam jest naprawdę szczęśliwa. Kiedy mnie tam zaprosisz?

- Adelo, jakbyś nie wiedziała, że zawsze cię tam z radością powitam - odparła Lucia.

- I mnie - dodała Marcia.

- Obie macie stałe zaproszenie na zawsze - oświadczyła Lucia. - Droga Marciu, jakie to słodkie, że chcesz tam przyjechać! Sama udam się tam we wtorek i już zostanę. Lecz to prawda, że uwielbiam Riseholme. Żadnych bali, żadnych przyjęć i tacy kochani Arkadczycy. Nie wierzysz, że istnieją, póki ich nie zobaczysz. Życie w swej najprostszej formie, kochane.

- Z pewnością nie może być prostsze niż w Szkocji - rzuciła Marcia. - W Szkocji cały dzień zabija się ptactwo i ryby, a wieczorem się je zjada. I to wszystko.

Prawdopodobnie w czasie wszystkich tych miesięcy wielkiego wysiłku Lucia nie czuła się tak wynagrodzona jak w tej chwili. Cały wieczór rozmawiała bez wysiłku z najważniejszymi, najszlachetniejszymi, najbardziej dystygowanymi i najwybitniejszymi osobistościami w kraju, a teraz znalazła się w sypialni księżnej, na pogaduszkach przed snem. Nirwana były jeszcze bliżej niż na balu u Marcii. A te trzy kobiety czekały bez wątpienia i oczekiwały czegoś od niej, zupełnie jak Riseholme czekało na jej przywództwo. Czuła, że nareszcie znalazła się na szczycie, więc oparła podbródek na dłoni i spojrzała z lekka w górę.

- Gdy powrócę do Riseholme, to strasznie utną mi nosa - wyznała. - Jestem przekonana, że Riseholme uważa, iż tracę czas na puste zabawy. Może przeczytają w popołudniowej gazecie, że byłam na przyjęciu u Aggie albo u Adeli, lub na balu Marcii, i zapewnią was, że bardzo podejrzliwie będą na mnie patrzeć. Całkiem jak gdybym nie wiedziała, że te wszystkie wspaniałości są symbolami.

Adela przybrała kataleptyczny wyraz twarzy postaci z witrażu, była do tego stopnia wniebowzięta. Chciała jednak pojąć wszystko do końca.

- Luciu, nie bądź tak przeraźliwie mądra - skarciła ją. - Za wysokie loty jak dla mnie. Poszybowałaś hen, niczym samolot. Wyjaśnij, co rozumiesz przez symbole.

- Moja droga, wiesz - odparła. - Cała nasza bieranina, nasze wesołości są symbolami sympatii: uwielbiamy się spotykać, ponieważ inni nam się udzielają. Ciekawi ludzie, wyjątkowi ludzie, nieznani ludzie, zwykli ludzie, pragniemy ich wszystkich włączyć w nasze życie, aby rozszerzyć własne horyzonty. Uczymy się lub staramy się uczyć innych zainteresowań niż nasze własne. Będę musiała przekonać drogie Riseholme, że nasz mały Alf, grający na flecie w moim domu, czy pół tuzina książąt pojadających przepiórki w rezydencji Marcii, to jedno i to samo, nieprawdaż? Dowiadujemy się, jakie są punkty widzenia bokserów i książąt. A mnie się wydaje, wydaje mi się... - Spojrzenie Luci stało się troszkę bardziej zagubione i wyniosłe. - Wydaje mi się, że rozszerzają się nasze dusze - ciągnęła - przez to, że zahaczają o życie innych. Jakże źle to ujmuję! Jednakże kiedy Eryk Greatorex (jakie to czarujące z jego strony) grał mi owe pyszne kawałki Strawińskiego przed kolacją, poczułam jakbym przechodziła przez pewnego rodzaju granicę do Strawińskiego. Eryk wydał mi paszport. Zwielokrotnienie doświadczeń, chyba właśnie o to mi chodzi.

Żadna z obecnych pań nie potrafiłaby z większą dokładnością powiedzieć, o co chodziło Luci, lecz ogólny kierunek zdawał się wskazywać, że godzina spędzona z włamywaczem lub kanibalem była wartościowa, gdyż potęgowała duszę.

- A także dziwacy - dodała. - To dobre, gdy człowiek spotyka na swej drodze coś zupełnie nieznanego. Marcelle... Marcelle Periscope. Spotkałaś go u mnie, Aggie, prawda?

- Dlaczego mnie nie zaproszono? - zapytała Marcia.

Lucia podała szybki uśmiezek, jakby przerwało jej jakieś kochane i słodkie dziecko.

- Droga Marcio, dlaczego się sama nie zaprosiłaś? Z pewnością znasz mnie na tyle dobrze, aby to zrobić. Tak, Marcelle, artysta filmowy. Nowy horyzont, nowe podejście do życia. Dobrze mi to zrobiło. Lepiej, gdy nie jest się zbyt ograniczonym. *Dio mio*! Jakże się modlę, aby nigdy nie być ograniczoną. Lub zaszokowaną! To szokujące, że można być zaszokowanym. Gdybyście wszystkie miały po pięćdziesięciu kochanków, uważałabym się za uprzywilejowaną, gdybym o nich wszystkich wiedziała.

Marcia bardzo pragnęła, tak pilnie jakby chciała kichnąć, poczynić bezpośrednią aluzję do Stefana. Podniosła oczy na pół se-

kundy w kierunku Adeli, kapłanki tego kultu, który właśnie (wiedziała doskonale) zyskiwał nową wierną, lecz jeśli kiedykolwiek ktoś bezgłośnie wrzasnął „nie” w odpowiedzi na nieśmiałe zapytanie, zrobiła to właśnie Adela. Kiedy Lucia zechce coś napomknąć

o Stefanie, zaprawdę spadnie manna z nieba, lecz pytać? Nigdy! Aggie, usadowiona do nich bokiem, nie zauważyła tej telegraficznej wymiany i niemądrze wygłosiła te słowa:

- Jeśli zwykła przystojna kobieta powie mi, że nie ma kochanka albo mężczyzny, który chciałby zostać jej kochankiem, zawsze odpowiadam: „łżesz!” I tak jest. Zaczynasz ty, Luciu, o swoich kochankach.

Nic gorszego nie mogło się zdarzyć. Adela miała ochotę rzucić wszystkie sześć sznurków pereł Whitbych w twarz Aggie. Lucia nie miała kochanka, a zaledwie cień kochanka, na którego nigdy nie wolno błysnąć bezpośrednim światłem. Krótkie zastanowienie powinno było uświadomić to Aggie. Skutkiem jej nieostrożności było to, że Lucia wyraźnie się zmieszała, spojrzała na zegar

i wstała w nagłym pośpiechu.

- Gwałtu rety - wykrzyknęła. - Która to już godzina! Kto mógłby przypuszczać, że nasza pogawędka trwała tak długo? Tak, droga Adelo, wiem gdzie jest mój pokój, z lewej strony, z wizytówką na drzwiach. Nawet niech ci się nie śni, aby mi go pokazać.

Lucia rozdała małe uściski i całusy i, zaciągając swą elegancką błękitną podomkę ciasno wokół siebie, wysunęła się bezgłośnie w kapciach na korytarz. Było późno, w domu panowała cisza. Przez kwadrans słyszała odgłosy kroków panów, którzy trzeszcząc udawali się do swych pokoi. Wyłączono główne światło i w długiej, cichej nawie tylko tu i tam płonęła lampka. Lucia minęła na palcach pół tuzina drzwi, aż doszła do tych, na których udało się jej odczytać na wizytówce nazwisko Filipa Lucasa, poprzedzone hieroglifem, który z pewnością oznaczał „pani”. Przekreśliła kłamkę i weszła.

Dwa jardy przez nią, przy łóżku stał Stefan w zmysłowej piżamie miodowego kolom. Przez straszną sekundę (gdyż ona była przekonana, że to był jej pokój, i on też) patrzyli na siebie w martwej ciszy.

- Jak pani śmie! - powiedział Stefan, tak poruszony, że ledwo udało mu się wykrztusić te sylaby.

- A jak pan śmie? - wyszczała Lucia. - Proszę natychmiast wyjść z mego pokoju.  
- Niech się pani wynosi z mojego pokoju! - odrzekł Stefan.

Oko Luci, płonące słusznym gniewem, zsunęło się z jego przerażonej twarzy i przebiegło pokój. Na ścianie nie było żadnej chiń-szczyzny, ale ładny papier Morrisa, nie było łoża z okresu Karola II z tapiserią, ale kanapa z mosiężnymi słupkami pod baldachimem, nie było szafy w stylu Chippendale, ale coś użytecznego zakupionego na Tottenham Court Road. Lucia pisnęła raz, mniej więcej pomiędzy muzycznym stylem kredy o tablicę a głosem nietoperza, i zamknęła drzwi. Ledwo idąc trafiła pod następne drzwi, gdzie znowu na wizytówce dało się odczytać „Filip Lucas”, wpadła do środka i zaryglowała je. Pospieszyła do drzwi łączących ten pokój z fatalnym sąsiedztwem i zamykając je usłyszała, jak z drugiej strony lokator gwałtownie zaciąga rygiel.

Usiadła na łóżku w stanie bolesnego poruszenia. Jej wejście do fatalnej komnaty było strasznym, koszmarnym błędem (któż tego nie wiedział lepiej niż ona sama?), ale jak to wyjaśnić kochankowi? Od tygodni reklamowali winę swego niewinnego związku, a teraz wydawało się jej, że niemożliwością będzie go kontynuować. Za każdym razem, gdy pośle Stefanowi spojrzenie lub uśmiech, które doprowadziła do perfekcji, na myśl jej przyjdzie ten moment niemego przerażenia i jej uśmiech zamieni się w tragiczny grymas, a jej chore spojrzenie będzie jego unikać. Co gorsze, jak ma o tym z nim porozmawiać, jak namiętnie udowodniać swą niewinność? Na pewno pomyślał, że przyszła do niego do pokoju (tak było), gdy zrobiło się cicho, z podejrzaną misją miłosną i ją odepchnął, odwdzięczyła się tym samym, zdążyła zauważyć obrzydzenie i oburzenie kochanka. Gdyby tylko zachowała głowę, gdyby tylko powiedziała natychmiast: „Przepraszam, pomyliłam pokoje”, może wszystko byłoby w porządku, ale jak tu się zebrać w sobie i powiedzieć to później? A mimo całkowitej prawości jej charakteru, który był purytański aż po pruderyjność, nie podobało się jej (żadnej kobiecie nie spodobałoby się) jego autentyczne przerażenie z powodu jej wejścia.

W sąsiednim pokoju siedział Stefan w niewiele lepszym nastroju. Spotkał go poważny wstrząs. Od kilku tygodni Lucia za-

chęcała go, by udawał kochanka. Czyżby (pytał siebie) ta przyjemna towarzyska gra przekształciła się dla niej w rzeczywistość, w naturalną potrzebę? Udała, gdy ją oczywiście odtrącił, że przypadkowo weszła do jego pokoju, lecz czyżby? A może naprawdę przyszła mając straszną motywację? Zresztą, ona powinna się wytłumaczyć i upierać się przy swej niewinności, jeśli niewinną była. Z wdzięcznością jej uwierzy. Lecz obecnie, bez tego, myśl o wznowieniu w towarzystwie gry w kochanka była, szczerze mówiąc, nierealna. Jeszcze ją znowu zachęci... Choć w danej chwili był bezpieczny za zamkniętymi na klucz i zasuwę drzwiami, wiedział, że nie zaśnie i połknał większą dawkę aspiryny.

Lucia była bardziej dokładna. Nigdy nie odsuwała trudności, ale się z nimi mierzyła. Wciąż siedziała na brzegu łóżka, długo jeszcze potem, jak nerwy Stefana ucichły. Uspakajając się, rozmyślała. Na ten czas kochankopodobne stosunki w towarzystwie były niemożliwe. Na szczęście za kilka dni zostanie internowana w Riseholme. Po czym w przebłysku geniuszu objawiło się jej interesujące zachowanie, które będzie można wykorzystać w międzyczasie. Będzie sprawiać wrażenie, że kochankowie pokłócili się. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej ją przekonywało. Ludzie zauważą, będą się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, a ich ciekawość nigdy nie zostanie zaspokojona, gdyż Lucia była przekonana (sądząc po przerażeniu malującym się na twarzy Stefana), że on, podobnie jak ona, będzie po wsze czasy milczał na temat spotkania o północy. Nie może wyglądać na nieszczęśliwą, wręcz przeciwnie, musi być jeszcze bardziej żywa i chętna, i po prostu zupełnie ignorować Stefana. Ale żadnego podwożenia samochodem z powrotem do Londynu - będzie musiał pojechać pociągiem.

Eks-kochankowie zeszli na dół bardzo późno, z obawy, że spotkają się sam na sam, więc siedzieli przez połowę ranka w łączących się pokojach. Stefan miał trochę pracy jako Hermiona, gdyż gościna wymagała kilku akapitów opisu, ale bez względu na liczbę akapitów Hermiona absolutnie nie wspomni o Luci w żadnym. Natomiast Hermiona wiedział, że na miejscu był pan Stefan Merriall i napisał o tym. Złośliwym zrządzeniem Nemezis, która w taki sposób doświadcza tych, których chce ukarać,



wyszli ze swoich pokoi dokładnie w tej samej chwili i musieli razem zejść na dół, zimno gratulując sobie wzajem z okazji urody dnia. Na szczęście na tarasie było kilka osób, wśród nich Marcia. Pomyślała, że jest to świetna okazja, aby rozpocząć mały flirt z Stefanem i natychmiast uprowadziła go do ogrodu kuchennego, bo jeśli nie zje w niedzielne przedpołudnie agrestu, niechybnie umrze. Lucia zdawała się cudownie nieświadoma ich odejścia i dołączyła do doborowej grupki przy premierze. Pomiędzy dyskusją z nim o problemach mieszkaniowych, przechadzką z lordem Tonym, który ubłagał ją, by dała spokój tytułowi oraz trochę Strawińskiego z Greatorexem, przedpołudnie minęło całkiem przyjemnie. Wchodząc do jadalni na obiad, spostrzegła jednak, że Marcia i Stefan nie powrócili z wyprawy po agrest. Przy stole brakowało tylko trzech osób i uświadomiła sobie, że Stefan siedziałby przy niej. Obiad minął półmetek, gdy wreszcie się pojawili.

- Jestem rozpaczliwie nieuprzejma, droga Adelo - usprawiedliwiła się Marcia - ale nie mieliśmy pojęcia, że jest tak późno, prawda, panie Merriall? Poszliśmy na agrest i... i chyba już tam zostaliśmy. Pana wina, panie Merriall, wy mężczyźni nie macie poczucia czasu.

- Poczucie czasu? Przy pani, księżno? - rzekł szarmancko Stefan.

- Pan jest słodki. A teraz proszę mówić dalej. Właśnie opowiadał mi pan coś całkiem podniecającego. I proszę, Adelo, niech nikt na nas nie czeka. Widzę, że już kończycie obiad, a ja nawet nie zaczęłam, natomiast agrest, jak zwykle, dodał mi apetytu. Tak, panie Merriall?

Przez cały czas, gdy Marcia wzięła w posiadanie kochanka Luci, Adela oczekiwała na najmniejszą oznakę złości lub niepokoju. Nie pojawiło się po prostu nic, nie można było zobaczyć czegoś, co najzwyczajniej nie istniało. Wydawało się, że Lucia jest zupełnie nieświadoma jakiegokolwiek anektowania, a nawet istnienia Stefana. Siedziała tam, z Tonym i z nią, rozmawiając

O balu u Marcii oraz o tomiku ryzykownych wspomnień, które zrecenzowano w gazecie niedzielnej; o czarnym pokoju u Sophy

i o Alfie; nigdy dotąd nie była tak otoczona z każdej strony, nigdy dotąd nie znalazła się tak wspaniale w środku. Adela pomyślała,

że Marcia w cudowny sposób poniosła klęskę, jeśli wydawało się jej, że Lucia objawi jakąkolwiek emocję. Kochankowie rozumieli się zbyt dobrze... Albo (pomyślała nagle) pokłócili się? Doprawdy, wszystko na to wskazywało. Choć z Tonym prowadzili niezłe studium luciafilowskie, prawie chciała, by Luci z nimi nie było, aby mogli wspólnie rozważyć tę oczarowującą możliwość. Jakże naturalnie nazywała go Tonym, chyba ćwiczyła na pokojówce.

W głębi domu zadzwonił telefon i na taras wyszedł lokaj.

- Luciu, wiem że to do ciebie - oznajmiła Adela. - Gdziekolwiek jesteś, ktoś zawsze cię prosi do telefonu. Gdybyś się znalazła na środku Sahary, z piasków pustyni zadzwoniłby do ciebie telefon. Tak? Do kogo? - zapytała lokaja.

- Pani Lucas, jaśnie pani - odparł. Lucia wstała z rozkoszą.

- Zawsze mi docinasz, Adelo - roześmiała się. - Telefon jest takim uprzykrzeniem. Nigdy nie da człowiekowi odpocząć. Ale to nie potrwa długo.

Poszła.

- Tony, mamy wiele do omówienia - szybko powiedziała Adela. - Jaka jest obecnie sytuacja między kochankami? Doskonale porozumienie, a może kłótnia? I kto do niej wydzwaniał? Czy założyłbyś się, że to...

- Alf - wtrącił Tony.

- Zastanawiam mnie, Tony, kochankowie. Coś tu się stało. Nigdy nie widziałam wspanialszej obojętności. Ale się uśmieję z Marcii. Nie odniosła żadnego efektu. Lucia wcale nie zwraca uwagi. Wiedziałam, że będzie wielka. Wczorajszej nocy miałyśmy cudowną pogawędkę w pokoju Marcii, póki Aggie nie zachowała się jak osioł. Oto jest. Zaraz się dowiemy.

Lucia szła szybko wzdłuż tarasu.

- Adelo, droga - rzuciła. - Czy będzie to straszne z mojej strony jeśli, wyjadę dzisiejszego popołudnia? Dzwonili do mnie z Riseholme. Juruś dzwonił. Z moim Pepinem nie jest dobrze. Nic szczególnie martwiącego, ale leży w łóżku i jest sam. Uważam, że powinnam pojechać.

- Och, moja droga - odparła Adela. - Oczywiście, że zrobisz dokładnie tak, jak zechcesz. Straszliwie mi przykro, wszystkim nam

będzie przykro, gdy pojedziesz. Lecz jeśli uważasz, że będziesz spokojniejsza...

Lucia rozejrzała się i popatrzyła na wszystkie błyskotliwe grupki. Opuszczała wyjątkowo cudowne przyjęcie i najwyższą grzędę, na jakiej dotąd udało się jej zasiąść. Z drugiej strony, pozostawiała kochankę, co stanowiło pewną rekompensatę. Lecz naprawdę nawet o tym nie pomyślała.

- Mój biedny Pepino - rzekła. - Muszą jechać, Adelo.

Dzisiaj, ostatniego dnia sierpnia, po raz pierwszy zezwolono Pepinowi wyjść na pół godzinki pospacerować w ogrodzie i posiedzieć na słońcu. Jego choroba, która spowodowała wycofanie się Luci z towarzystwa, okazała się groźna i przez kilka dni był poważnie chory na zapalenie płuc. Lecz po niebezpiecznym wirażu wyszedł już na prostą i poczynił zadawalające postępy.

Lucia, której zachowanie przez te wszystkie tygodnie było podziwu godne, wyszłaby razem z nim, ale lekarz pod koniec wizyty powiedział, że chce z nią porozmawiać i około dwudziestu minut konwersowali w saloniku muzycznym. Po jego odjeździe Lucia siedziała tam jeszcze przez kilka minut, pozbierała myśli i wyszła na spotkanie Pepina.

- Miła i pocieszająca rozmowa, *caro* - powiedziała. - Jesteś wzorem dla rekonwalescentów (mój drogi, cóż to za słowo). Jesteś pacjentem na medal. Teraz musisz już tylko kontynuować dobrą robotę, z dnia na dzień rozszerzając swój program, i za miesiąc będziesz już nadzwyczaj silny. Masz świetny organizm.

- I żadnych morskich podróży? - zapytał Pepino. Ta przerażająca perspektywa w swoim czasie pojawiła się przed nim.

- Nie, chyba że doradzą nam dla zdrowia miesiąc lub dwa na Riwierze zimą. Wtedy trzeba by popłynąć z Dover do Calais, ale to wszystko. Teraz wiem, o czym myślisz. Powiedziałeś mi, że nie uda się nam pojechać do Aix w sierpniu z powodu wydatków, a więc jak będzie nas stać na dwa miesiące w Cannes?

Lucia urwała na chwilę.

- Marcia opowiadała pyszną historyjkę - oznajmiła - o jej kuzynostwie, którzy musieli oszczędzać. Omówili wszystko i zdecydowali, że mogą się obyć tylko bez poobiedniej kawy. Ale my damy sobie radę lepiej niż oni...

Lucia urwała znowu. Pepino miał już dosyć poruszania się, więc usadowili się w rozslonecznionej altance przy zegarze słonecznym, na którym wyrzeźbiono wiele stosownych sentencji.

- Lekarz powiedział mi także, iż na twoim miejscu nie byłoby rozsądne osiedlić się w Londynie na dłuższy czas - ciągnęła. - Mgły, brak słońca, wilgotne ciemności. Wszystko niezdrowe. A ja wiem, co znowu przychodzi ci do twojej miłej głowy. Uważasz, że uwielbiam Londyn i będę potrafiła mieszkać tam miesiąc albo dwa jesienią i na wiosnę, przyjeżdżając tu tylko na weekendy. Nie mam najmniejszego zamiaru. Nie będę tam siedzieć sama. Poza tym, skąd wziąć forszę, jak powiedział ten słodki mały Alf, skąd wziąć forszę na naszą Riwierę?

- Wynająć dom na zimę? - zapytał Pepino.

- Świetny pomysł, gdybyśmy mogli być pewni, że go wynajmiemy. Ale nie możemy tego być pewni, a cały czas będzie płynął strumień opłat i podatków, a także pensja dozorczy. Byłoby smętnie, gdybyśmy zawsze się tym martwili i wiecznie liczyli forszę. Przeliczyłam, ile wydaliśmy tam tego lata, *caro*, i nogi się pode mną ugięły. Głosuję za sprzedażą domu. Ja nie będę z niego korzystać bez ciebie, a ty wcale nie będziesz z niego korzystał. Wiesz, jak bardzo chciałam tam być ze względu na ciebie - masz tam swój klub, czytelnię w Muzeum Brytyjskim i królewskiego astronoma, ale to wszystko teraz kaput, jak mawia Tony. Przywieziemy tu wszystkie rzeczy szczególnie związane z ciocią: jej portret namalowany przez Sargenta, oczywiście, choć teraz Sargenty są nadzwyczaj w cenie... albo orzechowe biurko, albo krzesła Chippendale'a, albo ten mały wełniany dywanik z jej sypialni, ale głosuję za tym, żeby sprzedać dom w całości, papiery, meble, wszystko. Jakbyśmy nie mogli raz na jakiś czas zatrzymać się w Claridge's, gdy będę chciała wydać śniadanie dla wszystkich naszych przyjaciół! No i wówczas nie będziemy mieli więcej zmartwień, a jeśli powiedzą ci, że powinieneś uciec od zimna i wilgoci, będziemy pewni, że nie robimy niczego, co wykraczałoby poza nasze możliwości. To byłoby wstrętne, tego nam nie wolno zrobić.

- Ale tobie już nigdy nie wystarczy Riseholme - zauważył Pepino. - Po wszystkich twych balach i przyjęciach, czym ty się zajmiesz w Riseholme?

Lucia zwróciła na niego swój przenikliwy wzrok.

- Będę wielkim głupcem, jeśli nie znajdę jakiegoś zajęcia - oświadczyła. - Czyżbym się tak leniła i tak mi brakło zajęć, zanim pojechaliśmy do Londynu? Dobry Boże, zawsze musiałam tu pracować do upadłego. Niech cię to nie martwi, Pepino, bo inaczej stwierdzę, że mnie wcale nie rozumiesz. Zresztą, nasze drogie Risholme podczas naszej nieobecności stało się strasznie opieszale i apatyczne, i z tego powodu czuję się winna. Nic się tam nie dzieje, nie ma tam już bąbelków ani pianki, ani hurra, jak było. Oni wegetują, zamieniają się w próchno, a Juruś tyje. Nigdy nie ma żadnych nowin. Jedyne, co się dzieje, to Daisy, która rano na błoniach siecze piłkę golfową, po czym jedzie na pole golfowe po południu i jedyne nowiny następnego dnia zawierają informację, czy udało się jej obejść wszystkie dołki poniżej tysiąca uderzeń, cokolwiek to ma znaczyć.

Lucia westchnęła pobłażająco.

- Droga Daisy miewa czasem pomysły - stwierdziła - i temu nie zaprzeczam. Miała pomysł z seansami, pomysł z muzeum i choć mówi, że pochodził od Abfoua przecież wymyśliła Abfoua Miała też pomysł z golfem. Ale nie umie wdrożyć swych pomysłów w barwny i podniecający sposób, aby nie dać ludziom ostygnąć w zapale. Powinniśmy być w nieustannym stanie gotowości! Mieć do zrobienia tysiące rzeczy, które zdają się ogromnie istotne i które są istotne właśnie dlatego. Człowiek potrzebuje pewnego talentu, aby nadać rzeczom znaczenie, ale tego brakuje Daisy. Wszystkie jej zajęcia wydają się błahe. Zobaczą, że wróciłam do domu. Co mi tam, czy to bal u Marcii, czy akompaniowanie Alfowi, czy golf z Daisy, albo dueciki z biednym kochanym Juruśkiem, którego palce zrobiły się jak kołki, skoro mi to sprawia przyjemność? Jeśli mnie znudzi, caro, to będę, jak to kiedyś ujęła Adela, cholerną idiotką. Droga Adela, zawsze miała w sobie taką żyłkę rubaszości.

Lucia spotkała się z większym oporem ze strony Pepina, niż się spodziewała, gdyż czerpał powód do ogromnej dumy z jej triumfalnej kampanii letniej w Londynie i choć nieraz czuł się oszołomiony i popędzany wichrem towarzyskiej aktywności i można by powiedzieć, że musiał przymknąć załzawione oczy i trzymać kapelusz, mimo to pławił się w nieustannych i niezmordowanych podmuchach chwały, dzięki którym spadały z drzew najprzedniejsze owoce. Uważał, że będzie ich stać i nie będą musieli wejść

na finansowy margines, aby potrzywać dom jeszcze rok; przyznał, że nazbyt pesymistycznie wyraził się o Aix, nadmienił nawet o wspomnieniach cioci Amy, skupionych wokół Brompton Square 25 i jak przykro byłoby je zniszczyć. Jednakże Lucia po rozmowie z lekarzem zdecydowała się. Natychmiast odrzuciła myśl

O kontynuowaniu swojego zwycięskiego marszu na Londyn, jeśli musiałyby uważać na pieniądze, a co ważniejsze, jeśli musiałyby zostawić Pepina w Riseholme. To było nie do pomyślenia, ze względu na małżeńskie uczucia, nie mniej niż na przyzwoitość.

dlatego, raz zdecydowawszy, mszyła do celu z całą swoją energią. Znała też wartość nieustającego ataku - przebojowy mały Alf, na ten przykład, gdy uderzył mu się cios w twarz przeciwnika, nie czekał aż tamten się pozbiera, ale natychmiast dodawał następny i następny, aż ofiara padła i ją wyliczono. Dokładnie w taki sam sposób Lucia zachowywała się wobec Pepina: przedstawiała kolumny cyfr, aby udowodnić, że żyją ponad stan, cytowała (albo zmyślała) jakąś wypowiedź premiera o planowanej podwyżce podatków od dochodu, przyjęła za pewnik, że pojedą na Riwierę i przerażały ją ceny biletów Błękitnego Pociągu oraz opłaty hotelowe.

- A mając wszystkich tych przyjaciół w Londynie, Pepino - rzekła w decydującej rundzie walki - którzy pragną przyjechać do nas do Risenholme na tydzień, nasze wydatki tutaj wzrosną. Nie zapominaj o tym. Będzie tu parada gości w październiku, aż do czasu naszego wyjazdu na południe. Jest jeszcze ta łąka na końcu ogrodu, do tej pory jej nie kupiłeś, a ja się na nią uparłam. Na wiosenny ogródek. Setki żonkili i chodniczek wykładany płytami. Obiecałeś mi. Opisałam jego przyszły wygląd Tony'emu i jest wściekle zazdrosny. Wcale się nie dziwię. I twój nowy teleskop. Absolutnie nalegam na ten teleskop i naprawdę nie wiem, skąd wziąć pieniądze. Mój stary drogi fortepian chwieje się na nogach i dłużej nie wytrwa, a ja wiem, że ty nie spodziewasz się, że przeżyję, dosłownie utrzymam się przy życiu, nie mając w domu dobrego fortepianu.

Pepino słabł. Nawet wtedy, gdy był w pełni sił, nie potrafił jej sprostać, a ten deszcz ciosów powalał go na ziemię.

- Ja cię nie chcę ponaglać, *caro* - ciągnęła. - Wiesz, że nigdy nie namawiam, jeśli nie uważasz, że tak będzie najlepiej.

- Ale przecież namawiasz mnie - wtrącił Pepino. - Tylko dlatego, żebyś postąpił najlepiej jak uważasz. Jeśli zaś chodzi o wspomnienia ciotki Amy i Brompton Square, nie wolno ci dać się ponieść fałszywym sentymentom. Nigdy jej tam nie widziałeś od czasów, kiedy była chłopcem, i jeśli przywieziesz tu jej portret i ten dziany dywanik, którym, jak pamiętasz, okrywała sobie kolana, powiedziałabym, że to całkiem wystarczy... Co za słodki poranek! Chodź na koniec ogrodu i wyobraź sobie, jak będzie wyglądać łąka z chodniczkiem i bukietami żonkili... Krzesła Chippendale, jak sądzę, się sprzedadzą.

Lucia sama nie miała szczególnej ochoty na portret ciotki Amy, ponieważ wiedziała, iż od czasu do czasu wiele mówiła o perłach ciotki Amy, a one na nim się znajdowały, ta obróżka z maciu-peńkich perełek, oddana jak żywa. Zresztą, Juruś widział je wtedy w Operze i Lucia miała wrażenie, iż mamie zna Riseholme, jeżeli do tej pory nie wiedzą o naturze i miniaturowych rozmiarach pereł ciotki Amy. Lepiej i je sprzedać, a także (pomyślała) jej własny portret autorstwa Sigismunda, gdyż postkubiści nie nazbyt zaznaczali swą obecność w świecie sztuki.

Czynnikiem decydującym, w jej przekonaniu, w kwestii porzucenia kariery londyńskiej, na co po kilku dniach obłączenia uzyskała zgodę Pepina, był sam Pepino. Nie mógł być z nią w Londynie, a ona nie mogła go zostawić na długie tygodnie (gdyż tego, nie mniej, wymagałyby wszelkie prace nad postępami w Londynie) samego w Riseholme. Poważnym czynnikiem było też odkrycie, jak mało obecnie liczyła się w Riseholme, a tego znieść niepodobna. Riseholme ją zdetronizowało, Riseholme nie zamierzało poddać się rządzeniu z Brompton Square. Tron stał pusty, gdyż biedna Daisy, ani też, szczerze powiedziawszy, biedny Juruś nie byli wcale materiałem na tronujących. Bardzo chciała znowu być tam królową i choć wiedziała, że to będzie wymagać najwyższego wysiłku z jej strony, po co był wysiłek, jeśli nie po to, aby zaprowadzić człowieka tam, gdzie zechce?

W tej chwili była niczym w Riseholme. Żalowali jej, ponieważ Pepino ciężko chorował, lecz w miarę jego rekonwalescencji, gdy zaczęła do ludzi telefonować i zaglądać, i mieć wobec nich plany, uświadomiła sobie, że obchodzi ich nie więcej niż Świnka i Gąsia...

Tak, na błoniach, widziała to przez okna przedpokoju, stała Daisy, robiąc wiatrak ramionami i uderzając piłeczkę kijem, który rozszerzał się na końcu. Z przerażeniem spostrzegła, że był tam też Juruś i starał się robić to samo. Czyżby Daisy zbierała plony swego uporu - ktoś się zainteresował golfem? Wielkie nieba, były tam też Świnka i Gąsia, udając wiatraki. Najwyraźniej Riseholme poświęcało się grze w golfa.

Będę musiała zająć się golfem - pomyślała Lucia. - Co za nuda! Strasznie głupia gra.

W tejże chwili mała biała piłeczka przeskoczyła nad jej żywopłotem z cisu i zastukała do frontowych drzwi.

Ależ ta piłka przebyła ogromną odległość - pomyślała. - Ciekawa jestem, które ją tak odbiło?

Sprawa się wkrótce wyjaśniła, ponieważ przez ogród w poszukiwaniu piłki wędrowała Daisy. Lucia, cała w uśmiechach, poszła ją przywitać.

- Dzień dobry, droga Daisy. Czyżbyś posłała piłeczkę aż tak ogromnie daleko? Cudownie! Nic nie szkodzi. Zapewne jesteś świetną zawodniczką.

- Tak mi przykro - wysapała Daisy. - Ale pomyślałam, że wypróbuję kij do zagrywki. Mój błąd, nie spodziewałam się, że piłka polecą tak daleko i tak krzywo.

- Cudowny strzał - rzekła Lucia. - Pamiętam, jak ślicznie grałaś w mini-golfa. Czy to też jest technika gry? Proszę, pokaż mi jak to zrobiłaś.

Daisy nie potrafiła odtworzyć akurat tego arcydzieła, ale posłała piłkę wysoko w powietrze, albo płasko po ziemi, i wyjaśniła że jedno to lob, a drugie pod wiatr.

- Podoba mi się ten drugi - oznamiła Lucia. - Daj, ogromnie chciałabym spróbować.

Raz czy dwa w ogóle nie trafiła w piłkę, po czym ślicznie uderzyła pod wiatr, ale tym razem Daisy nazwała to topem. Daisy miała trzy kije. Dwa kładła na ziemi, gdy używała trzeciego, po czym o nich zapominała, więc musiały po nie wracać... Podszedł Juruś, który też grał pod wiatr.

- Dzień dobry, Luciu. To paskudnie, gdy się nie trafi w piłkę, ale w innym przypadku to świetna zabawa. Czy rozstawiłaś już mini-golfa? O, ale poszła!



Lucia zapomniała zupełnie o mini-golfie. Został schowany na dno tak zwanej „szafki gier”, w której znajdowały się kule do gry w kręgle (była to bowiem gra elżbietańska), kilka starych rakiet do tenisa oraz kij do krykieta z czasów szkolnych Pepina.

- Rozstawię dzisiaj po południu - obiecała. - Przyjdź po obiedzie, Jursiu i zagraj ze mną. I ty też, Daisy.

- Dziękuję, ale mieliśmy iść z Jursiem grać na prawdziwym polu - powiedziała Daisy z pewną wyższością.

- Ależ zabawa! - rzekła pochlebco Lucia. - Przespaceruję się tam i popatrzę na was. Chyba powinnam się zacząć uczyć. Nie widziałam nigdy nic tak interesującego jak golf.

Przyjemnie było to słyszeć. Daisy wcale nie była niechętna, aby pokazać Luci, jak się coś robi, ale poza tym wcale nie była pewna, czy jej się podoba owo nagłe zainteresowanie golfem. Teraz, gdy właściwie całe Riseholme się wciągnęło, a ona sama mogła ze wszystkimi wygrać (zaczęła bowiem dużo wcześniej), miała nadzieję, że Lucia znieawidzi tę grę i wyląduje całkiem sama na te śliczne popołudnia. Teraz po obiedzie wszyscy chodzili na maleńkie, dziewięciodołkowe pole: proboszcz (pan Rushbold) i jego żona, wikary, pułkownik Boucher, Juruś, pani Antrobus (która w czasie wyczynów atletycznych występowała bez tuby i nigdy nie słyszała ostrzegawczych okrzyków) oraz Świnka i Gąsia, często też pani Boucher zajeżdżała w swoim fotelu na kółkach i biła brawo po co piękniejszych patach do ostatniego dołka. Daisy otworzyła małą szkółkę u siebie w ogrodzie i Riseholme stało w rzędach, ćwicząc zamach i skupiając wzrok na żdźble trawy. Istniała nadzieja, że golf wypełni czas i uszczęśliwi Riseholme tak samo, jak organizacja muzeum. Oczywiście, jeśli Lucia zechce się nauczyć (i nie nauczy się zbyt wiele), Daisy z radością ją podszkoli, a jednak w podświadomości Daisy zalał się dziwny niepokój. Pocięszała się myślą, że Lucia znowu na jesieni wróci do Londynu oraz że popołudniem zniszczy Jursia.

Lucia podeszła z nimi trochę i zawróciła do baraku, w którym mieścił się klub. Tam zebrała informacje o klubie. Był założony niedawno, poprzedniej wiosny, przez handlowców z Riseholme i sąsiedniego miasteczka, Blitton. Następnie odbyła miłą rozmowę z właścicielem gospody Pod Herbem Ambermere, który właśnie skończył grę i powiedział, jak bardzo wszyscy się cieszyli, że szlachta się wzięła za golfa.

- Pani Quantock, szanowna pani - oznajmił. - Przychodzi każdego popołudnia, a każdego dnia rano ćwiczy na błoniach. Teraźniejszymi czasy człowiek ryzykuje życiem, jeśli się chce przejść po błoniach. Nie widziałem jeszcze takiego entuzjazmu, choć ona nigdy nie trafi w piłkę.

- Ależ nie wolno panu nas zniechęcać, panie Stratton - powiedziała Lucia. - Tej jesieni również zamierzam poświęcić się grze w golfa.

- Nie wątpię, że pani pójdzie lepiej - rzucił unieżenie pan Stratton. - Mówią, że pani Quantock celuje nieźle, gdy się już znajdzie przy dołku, ale potrzebuje bardzo wielu uderzeń, żeby się tam dostać. Można powiedzieć, że przegrywa dołek, zanim miałyby szansę go wygrać.

Lucia pilnie myślała przez chwilę.

- Muszę się postarać i natychmiast się zapisać - oświadczyła. - Kto... kto jest w komitecie?

- Cóż, mieliśmy go rekonstituować w październiku - odparł - skoro dołączają do nas panie i panowie z Riseholme. Byłoby nam miło, gdyby jedna z pań została naszą przewodniczącą, a jeden z panów członkiem komitetu.

Lucia nawet się nie zawahała.

- Byłabym szczęśliwa gdyby obecnie istniejący komitet zaszczycił mnie taką propozycją. A na przykład pan Pillson? Jeśli pan chce, postaram się wywiedzieć, jakie jest jego zdanie. Ale nie mówmy nic, póki nie zbierze się wasz komitet.

A więc to pięknie uzgodniono. Pan Stratton wiedział, jak bardzo wdzięczny będzie komitet, zaś Lucia, na długo zanim wrócili Juruś i Daisy, kupiła cztery kije i zaczęła pobierać lekcje od niewysokiego, żyłastego kaddiego.

Codziennie rano, podczas gdy Daisy puszyła się na błoniach, ucząc Jurusia, Świnkę i Gąsię jak należy grać w golfa, Lucia po kryjomu szła na lekcje w dolinę, a po południu pokornie zajmowała swe miejsce w komplecie z Daisy i patrzyła, jak Daisy robi wszystko na opak. Lucia bawiła się w mini-golfa, kupiła piękną ilustrowaną książkę, którą studiowała, niczego o swych zajęciach nie mówiąc. W głębi duszy szczerze nienawidziła golfa, ale teraz szczytem miejscowej mody był golf, a ona musiała odbić Riseholme...

Pewnego ranka, wkrótce po tym, jak Lucia wróciła z lekcji, zajrzał do niej Jumś i zobaczył, jak trafia do dołka z najdalszej pozycji.

- Moja droga, co za piękny pat! - pochwalił. - Widzę, że cię wciągnęła gra.

- Owszem - odrzekła. - Świetna zabawa. Czasem chodzę na pole golfowe i rozbijam się z piłką. Bądź kochany dziś po południu i chodź ze mną.

- Oczywiście, że pójdę. - zgodził się. - Z radością dam ci radę lub dwie, jeśli będę mógł. Wczoraj byłem o dwa uderzenia lepszy od Daisy.

- Jakiś ty sprytny, Jumsiu! Są nowiny?

Jumś wydał dźwięk mający wyrazić dezaprobatę.

- Zupełnie zapomniałem - powiedział. - Przyszedłem ci powiedzieć, że pani Boucher, Daisy i ja nie wiemy co mamy zrobić.

Komitet muzealny - pomyślała Lucia.

- Co się stało, Jumsiu? Może biedna Lucia pomoże.

- Cóż - rzekł Jumś. - Znasz mopsa?

- To wyleniałe zwierzę należące do lady Ambermere?

- Tak. Mops zdechł, nie wiem z jakiego powodu...

- Od śmietany, jak sądzę - rzuciła Lucia. - I ciasta.

- Możliwe. Zresztą, lady Ambermere kazała go wypchać i gdy mnie nie było w domu dzisiaj rano, przywiozła go w szklanej gablocie, jako dar dla muzeum. Leży w tej gablocie na błękitnej poduszce, ma nastawione jedno ucho i wielkie wodniste oko, i koniec swego paskudnego jęzora między wargami.

- Nie! - wykrzyknęła Lucia.

- Zapewniam cię, że tak. I nie wiemy, co robić. Nie możemy wystawić go w muzeum, prawda? Ale obawiamy się, że zabierze mitenki, jeśli tego nie zrobimy. Jak możemy jej odmówić? Napisała do mnie liścik o „jej ślicznym mopsie”.

Luci przypomniało się, jak podziękowali za elżbietański rożen, choć później go przyjęli. Jednakże nie zamierzała tego przypominać Jursiowi. Chciała mieć mocniejszą pozycję w muzeum niż tę, którą sobie zyskała rożnem.

- Straszne! - oświadczyła. - A więc przyszedłeś zobaczyć, czy wasza stara, biedna Lucia nie mogłaby pomóc.

- Cóż, wszyscy zastanawialiśmy się, czy nie udałoby ci się czegoś wymyśleć.

Lucia bawiła się nieźle. Muzeum potrzebowało jej... Zwróciła wzrok na Jurusia.

- Może uda mi się was wydobyć z dołka - oznajmiła. - Juru-siu, wydaje mi się, że chcesz, abym to ja odwiozła jej tego wstrętnego mopsa. Domyślam się, co się stało. Kazała go wypchać, a potem doszła do wniosku, że jest tak straszny, że nie da się go trzymać w domu i że byłby hojnym darem dla muzeum. My, a raczej wy nie chcecie, aby muzeum stało się śmietnikiem dla wszystkich rzeczy, których ludzie nie chcą mieć po domach. Nieprawdaż?

- Absolutnie tak - przyznał Juruś.

Czyżby Lucia miała coś na myśli? Najwyraźniej miała. Stała się energiczna i wymowna.

- Oczywiście, gdybyś chciał znać moją opinię - rzekła Lucia -powiedziałabym, że już trochę przesadzono z zaśmiecaniem. Jednakże, nie w tym rzecz, prawda? Zresztą, to nie moja sprawa. Ponadto, nie chcecie więcej śmieci. Natomiast jeśli chodzi o wycofywanie mitenek (zaledwie wypożyczonych, czyż nie?), nic takiego nie robi. Ona lubi niewolić ludzi i pokazywać im swoją wyższość. A jednak pomogę wam, Jurusiu. Powiedz pani Boucher i Daisy, że pomogę. Pojadę dziś popołudniu... nie, nie mogę, bo umówiłam się z tobą na cudowną rundkę golfa... Podjadę jutro i odwiozę mopsa, z ubolewaniem komitetu. Albo, jeśli wolisz, zrobię to na własny rachunek. To dziwne, bać się żalosnej starej lady Ambermere! Nie szkodzi, ja się nie boję. Wy wszyscy siłą zmuszacie mnie, żebym robiła, co wam się żywnie podoba! Zawsze byłam miejscową niewolnicą. Zawieź mopsa z gablotą w ładny kawałek papieru pakowego, ponieważ nie chcę widzieć tego poronionego paskudztwa, i nie myśl o tym więcej. A teraz, do czasu obiadu, możemy rozegrać miły mecz mini-golfowy.

Juruś pogubił się zupełnie w owym miłym meczu mini-golfowym i tym bardziej się nie znalazł po południu na polu. Lucia wykonywała cudowne zamachy, a jeśli udało się jej trafić w piłkę, najkrótszy lot piłeczki bez wątpienia mierzył nie mniej niż sto jardów, zaś Daisy uważała, iż osiemdziesiąt jardów jest szacunku godne i była wyraźnie zadowolona, gdy piłka poszła w bunkier z piaskiem, znajdujący się w odległości siedemdziesięciu jardów z kawałkiem, uważając, że powinno się bunkry umieszczać dalej ze względu na tych graczy, którzy daleko posyłają piłki. W okolicach dołka, choć

Juruś doskonale zobaczył, że Lucia uderzyła w ziemię, piłka potoczyła się jak po sznurku, gdy zaś Daisy trafiła w ziemię, piłka nie drgnęła. Na dodatek przez cały czas gadała wesoło, aż do chwili uderzenia, mówiąc: „A teraz, paśkudna niegżeczna piłeczko, Lucia da ci klapsa!” Gdy grała Daisy, jej przeciwnik oraz kaddi musieli zaniemówić i skamienieć, podczas gdy ona brała głęboki oddech i machała kijkiem niczym wahadłem nad piłeczką.

- Ależ jesteś wspaniała - pochwalił Juruś, przegrywając o trzy uderzenia, przy rozpoczęciu gry o czwarty dołek, gdy patrzył jak piłka Luci żegluję ponad malutką owcą hen w oddali. - Zaczęłaś grać zaledwie trzy tygodnie temu. Naprawdę jesteś zdolna! Sądzę, że niewiele byś przegrała z Daisy.

- Och, Juruś, pochlebco - zaśmiała się Lucia. - A teraz przyłóż mocno swojej piłce, bo chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- Zaraz, to ma być wolny powrót, tak? A może szybki? Wydaje mi się, że Daisy mówi raz jedno, raz drugie.

Daisy i Świnka, które zaczęły wcześniej, grały równolegle i w przeciwnym kierunku. Daisy zaczęła od pechowego pierwszego uderzenia i pech nie opuścił jej przy drugim. Luci udało się uciec przed jej trzecim i Daisy pospiesznie ich minęła.

- Ale lot! - powiedziała. - Jak ci idzie, Luciu? He razy zagrałaś do tamtego dołka?

- Jak dotąd raz, kochanie - odparła Lucia. - A jednak to trudne, nieprawdaż?

Daisy straciła humor

- Raz? - powtórzyła. Lucia posłała jej całusa.

- To wszystko - rzekła. - Czy Juruś powiedział ci, że zajmę się waszym mopsem?

Daisy rozejrzała się marsowo. Zaczęła się skupiać na piłce i nikomu nie wolno było się odzywać.

Lucia popatrzyła, jak Daisy ponawia próbę i wróciła do Juruś, który znalazł się w „paśkudnym” miejscu i wokół fruwały kępki trawy.

- Juruś, tamtego dnia porozmawiałam chwilę z panem Strattonem - oświadczyła. - W październiku będą wybory do nowego komitetu klubu golfowego i bardzo by chcieli, abyś ty się w nim znalazł. A teraz bądź dobry i zgódź się.

Juruś nie miał zamiaru się nie zgodzić.

- Chcą także, abym ja została przewodniczącą - ciągnęła Lucia. - A więc poślę panu Strattonowi liścik i przekażę naszą zgodę, co? Byłoby to miłe z naszej strony. Ach, na marginesie, przyjdź dziś wieczorem na kolację. Pepino (o wiele lepiej się czuje, dzięki), to Pepino powiedział mi, żeby ciebie zaprosić. Sprawisz mu radość. Po prostu znów jeden z naszych sympatycznych wieczorków.

Lucia wprowadzała do boju ciężkie działa. Pierwszym celem (choć wcale nie ostatnim) był Juruś. Zатеknął do komitetu klubu golfowego. Był ogromnie wdzięczny za obietnicę wywózki mopsa.

O wiele zabawniej grało się w golfa z Lucią, niż z komenderującą Daisy, która po każdym strzale wytykała mu, co powinien był zrobić, a czego nigdy sama zrobić nie potrafiła. Gra nie powinna stawać się wykładem.

Lucia pomyślała, że czas zwierzyć się mu z planów odwrotu z Brompton Square. Juruś uwielbiał wiedzieć coś, czego nikt inny jeszcze nie wiedział. Poczekala, aż nie udało mu się trafić z bliska do dołka i podarowała mu następny punkt, czego nigdy nie robiła Daisy.

- Mam nadzieję, Juruś, że będziemy mieli wiele naszych wspólnych wieczorków - powiedziała. - Zostajemy tu aż do Bożego Narodzenia. Nie, nie wolno już nam wcale Londynu, choć na razie to sekret.

- Co? - zapytał Juruś.

- Poczekaj chwileczkę - rzuciła Lucia, stawiając piłkę na rzutni do ostatniego dołka. - A teraz, pisesieńko, leć do domciu. Już! -

i pisesieńka poleciała mniej więcej pod kątem prostym do domciu, ale niesamowicie daleko.

Podeszła z nim kawałek.

- Pepinowi nie wolno nigdy więcej mieszkać w Londynie -oznajmiła. - Sprzeda się wszystko. Dom i meble, i perły. Będziesz znowu musiał znosić Lucię w Riseholme. O, jaki cudowny strzał, Juruś. Mało brakowało, a trafiłbyś Daisy. Powinieneś być wrzasnąć, jak rasowy golfiarz, co?

Lucia czuła się coraz pewniej. Juruś, przekupiony obietnicą członkostwa w komitecie klubu golfowego oraz jej podziwem jego gry, a także jej szlachetną deklaracją zajęcia się mopsiem, pędem wra-

cał do jej boku i to już coś znaczyło. Następnego dnia rano odbyła rozmowę z lady Ambermere...

Powiedziano jej, iż lady Ambermere nie ma w domu, choć Lucia spostrzegła jej majestatyczną twarz spozierającą przez okna różowego salonu. Wobec tego poprosiła pannę Lyall, sponiewieraną damę do towarzystwa, i czekała na nią w hallu. Jej szofer postawił wielką paczkę owiniętą w brązowy papier na sławnej mozaikowej posadzce.

- Panno Lyall - zwróciła się do niej Lucia. - Tak mi przykro, że lady Ambermere nie ma w domu, gdyż pragnęłam przekazać serdeczne podziękowania komitetu muzeum za jej piękny dar w postaci biednego mopsa. Jednakże ich odczucia są takie, że nie mogliby... Tak, w tym papierze znajduje się mops. Słodki. Czy mogłaby pani wszystko dokładnie wyjaśnić, gdy wróci lady Ambermere?

Panna Lyall, coraz bardziej przypominająca mysz, rozważyła swe obowiązki w tej tmdnej sytuacji. Uważała, iż lady Ambermere powinna wiedzieć, z jaką misją przybywa Lucia i osobiście się tym zająć.

- Zobaczę, czy nie weszła lady Ambermere, proszę pani - powiedziała. - Być może właśnie weszła. Wie pani, z ogrodu. Może zechce wiedzieć, co pani przyniosła. Oj, rety!

Biedna panna Lyall pobiegła i niebawem drzwi różowego salonu rozwarły się. Po efektownej pauzie pojawiła się lady Ambermere z marsem na twarzy. Najwyraźniej przekazano jej cel owej zdumiewającej misji.

- Pani Lucas, ma się rozumieć - rzekła, jakby nie była pewna.

Na to Lucia, po wszystkich swych księżnych, nie dała sobie pozwolić. Być może lady Ambermere miała rzymski nos, ale nie miała żadnych manier.

- Lady Ambermere, ma się rozumieć - odparowała.

Stały naprzeciwko siebie. Lady Ambermere obrzuciła ją spojrzeniem, które powinno było zamienić Lucię w kamień. Lucia ani drgnęła.

- O ile mi wiadomo, przybyła pani, aby mi przekazać pewną wiadomość od komitetu tego waszego malutkiego muzeum w Riseholme, którą chyba źle zrozumiałam.

Lucia wiedziała, że na to, co robi nie odważyłaby się w swoich najodważniejszych chwilach pani Boucher czy Daisy. Zaś Juruś...

- Nie, lady Ambermere - rzekła. - Nie sędzę, aby pani źle zrozumiała. Wypchany pies na poduszce. W ogólnym poczuciu muzeum nie jest dla tego odpowiednim miejscem. Przywiozłam to pani z powrotem z ich podziękowaniem i wyrazami ubolewania. To bardzo miłe z pani strony... tak im przykro. Oto paczka. Zdaje mi się, że to wszystko.

- Czy jest pani świadoma, pani Lucas - oznajmiła lady Ambermere - że mitenki królowej Karoliny zostały przeze mnie wypożyczone do tego waszego żalosego muzeum?

Lucia przycisnęła palec do czoła.

- Mitenki? Tak, o ile mi wiadomo, są tam jakieś mitenki. Chyba je nawet widziałam. Bez wątpienia to właśnie te. Tak?

To było całkiem genialne: implikowało całkowitą obojętność komitetu (w którym Lucia z pewnością wnet się znajdzie) wobec postępowania, jakie lady Ambermere uzna za stosowne w ich przypadku.

- Komitet usłyszcy ode mnie - rzekła lady Ambermere i majestatycznie odeszła do różowego salonu.

Luci było żal panny Lyall, bo prawdopodobnie ona nie będzie miała przyjemnego dnia, lecz nie żywiła większych obaw (jak wyjaśniła członkom komitetu, którzy zmartwieni oczekiwali na błoniach na jej powrót), że właścicielka wycofa te wełniane relikwie.

- Blef, zwykły blef - powiedziała. - A nawet, jeżeli... Z pewnością, Daisy kochanie, lepiej nie mieć mitenek i mopsa niż mieć i jedno, i drugie, mops (zobaczyłam jak wygląda przez szparę w papierze) mops zrobiłby pośmiewisko z waszego muzeum.

- Bardzo była straszna? - zapytał Juruś. Lucia zaśmiała się srebrzyście.

- Tak, drogi Jurusiu, całkiem straszna. Chyba zemdlałbyś, gdyby do ciebie powiedziała: „Pan Pillson, ma się rozumieć”, prawda? Nie udawaj, że jesteś odważniejszy niż jesteś.

- Cóż, uważam, że wszyscy jesteśmy pani bardzo wdzięczni, pani Lucas - oświadczyła pani Boucher. - Jestem tego pewna. Nigdy nie stawiałabym jej czoła w taki sposób! A jeśli zabierze te mitenki, będę miała ochotę wstawić do gabloty inną parę, bo gablota do nas należy, a nie do niej, i podpisać je: „Te mitenki nie należały do królowej Karoliny i nie zostały sprezentowane przez lady Ambermere”. To by jej pokazało.



Lucia znowu zaśmiała się radośnie.

- Cieszę się bardzo, że mogłam się przydać. A teraz, Daisy kochanie, czy będziesz dla mnie tak dobra jak wczoraj Juruś i zechcesz po południu zagrać ze mną w golfa? Nie będzie to dla ciebie szczególna zabawa, ale mnie robi bardzo dobrze.

Poprzedniego dnia Daisy zauważyła kilka lucinych strzałów i raczej przerażało ją to zaproszenie, gdyż obawiała się, że - jak powiedziała Lucia - nie będzie to dla niej szczególna zabawa. Na szczęście już umówiła się na golfa z Jurusiem oraz, antycypując najgorsze, zaklepała Świnkę, Gasię, panią Antrobus i pułkownika Bouchera na wszystkie pozostałe dni tygodnia. W międzyczasie zamierzała ćwiczyć jak szalona. I wtedy, jak kruk wykrakujący katastrofę, podły Juruś ją zawiódł.

- Wolałbym dzisiajszego popołudnia nie grać - powiedział. - Wolałbym się przejść z wami.

- Na pewno, Jurusiu? - zapytała Lucia. - A to miłe. Och, jaka będę spięta!

Daisy poczyniła jeszcze jeden wysiłek, aby zapobiec swemu upadkowi. Gdy wychodziły tego popołudnia zaoferowała, że przy każdym dołku odda Luci jedno uderzenie. Lucia powiedziała, że wie, że Daisy potrafi, ale czy mogłyby, dla zabawy, grać równo? W miarę postępu po polu dobroć Luci stawała się prawie nie do zniesienia. Powiedziała, że widzi, że Daisy ma zły dzień, wtedy gdy Daisy wcale nie miała złego dnia; mówiła: „Ale pech!”, gdy Daisy nie trafiała z najbliższych odległości do dołka; błagała, by Daisy wyjmowała piłkę z krzaków i nie liczyła punktów karnych... O wpół do czwartej Riseholme wiedziało, że Daisy zremisowała przy czterech dołkach i przegrała pozostałe pięć. Jej krótkie rządy na tronie królowej golfa skończyły się.

Komitet muzeum zebrał się po podwieczorku u pani Boucher (tego dnia Daisy odwołała lekcję golfa, która zawsze odbywała się w jej ogrodzie). Juruś uznał, iż taktownie byłoby nie mówić o kandydaturze Luci do komitetu muzeum natychmiast po katastrofie Daisy. Odbył prywatną konsultację z panią Boucher, która przychyliła się do jego wniosku, choć pozwoliła sobie na kilka piękających uwag o tym, jak Daisy oszukiwała ich wszystkich co do jej umiejętności golfowych. Komitet zajął się przede wszystkim propozycją za-

mknięcia muzeum na zimę. Sezon turystyczny się skończył, nie przyjeżdżały już autokary z turystami i od trzech dni ani żywa dusza nie przeszła przez kołowrót.

- Po co więc - zauważyła pani Boucher - płacić chłopcu za wpuszczanie ludzi do muzeum, jeśli nikt nie chce wchodzić? Ja mówię, że to wyrzucanie pieniędzy. Lepiej zamknąć je do wiosny i nie mieć więcej wydatków. No, raz na tydzień dać mu szylinga, żeby otwierał okna i wywietrzył pomieszczenie, powiedzmy we wtorek i piątek albo w środę i sobotę.

- Moim zdaniem w poniedziałek i w czwartek - powiedziała bardzo zdecydowanie Daisy. Jeśli nie może postawić na swoim na polu golfowym, to przynajmniej da się poznać jako członek komitetu.

- Bardzo dobrze, poniedziałek i czwartek - zgodziła się pani Boucher. - I jeszcze jedna rzecz. Robi się tam bardzo wilgotno. Jeśli ktoś chce wziąć zimną kąpiel, wystarczy rozebrać się i stanąć tam w środku. Woda ścieka ze ścian. Proponuję parę piecyków olejowych, niech się palą wtedy, gdy się tam nie wietrzy. Chłopiec się nimi zajmie i dostanie pół korony zamiast szylinga. Jutro jadę do Blitton i jeśli chcecie, zamówię je. Nie, przywiozę je ze sobą i zapalę jutro rano. I nie zwlekajmy, chyba że chcecie w przyszłym roku na wiosnę pokazać sam grzyb. Plony grzybowe nie wystarczą, żeby przyciągnąć gości, a nic innego tam nie będzie.

Juruś postukał w stolik.

- Głosuję, żebyśmy zabrali stamtąd manuskrypt „Lukrecji” i żeby jedno z nas przechowywało go do czasu wiosennego otwarcia.

- Z radością go przechowam - rzekła Daisy.

Juruś sam go chciał, ale tego dnia wolał nie sprzeciwiać się Daisy. Poza tym spieszył się, ponieważ Lucia poprosiła go, żeby przyszedł z planszatką i sprawdził, czy Abfou nie miałby ochoty na trochę zainteresowania. Nikt się do niego nie odezwał od tygodni.

- Dobrze - powiedział. - A jeśli to wszystko...

- Nie wiem, czy nie byłabym spokojniejsza, gdyby go oddać do banku - rozważała pani Boucher. - A jak go ktoś ukradnie?

Juruś wielkodusznie stanął po stronie Daisy. Wiedział, jak ona się czuje. Panią Boucher przegłosowano, a on wstał.

- Jeśli to wszystko, to uciekam.

Daisy nabrała przekonania, że idzie coś zrobić z Lucią, być może uczyć się golfa.

- Przyjdiesz do mnie? - zapytała.

- Obawiam się, że nie mogę - odparł. - Jestem zajęty aż do kolacji.

No i oczywiście idąc do domu zobaczyła go, jak spieszy do domu Przy Zagajniku ze swoją planszatką.

Lucia nawet nie nadmieniła nic o swym sportowym triumfie tego popołudnia. Nie leżało to w jej stylu, po prostu triumfowała, a potem niech inni o tym mówią. Lecz jej zasady nie powstrzymały jej od mówienia o golfie w sposób abstrakcyjny.

- Musimy być bardziej zorganizowani, ty i ja, gdy znajdziemy się w składzie komitetu, Jursiu - tłumaczyła mu. - Muszą być zawody i turnieje, a ja ufunduję puchar, Puchar Przewodniczącego. Widzisz, obecnie tam nie ma żadnej organizacji, wspaniała zabawa, ale organizacji brak. Będziemy musieli nad tym popracować głowami. I czwórki. Czytałamo czwórkach: dwie osoby grają przeciwko dwom i każdy po kolei rozgrywa piłkę. Jestem przekonana, że Pepino ufundowałby małe puchar dla konkurencji czwórek, puchar Lucasów... Przyniosłeś planszatkę? Musisz mnie nauczyć, jak się nią posługiwać. Co za dobre zajęcie na zimowe wieczory, Jursiu. Musimy też zorganizować turnieje brydżowe. Deszczowe popołudnia, wiesz, potem podwieczorek, a potem jeszcze trochę brydża. Ale o tym wszystkim porozmawiamy później, tylko ostrzegam cię, że się spodziewam, że wymyślisz różnego rodzaju rozrywki dla Pepina.

Lucia westchnęła krótko.

- Pepino uwielbiał Londyn - ciągnęła. - Musimy koniecznie poprawić mu humor, Jursiu, nie pozwolić, by się nudził. Musisz wymyślić pełno rozrywek: małe przyjemne, pochłaniające zajęcia na te długie wieczory: muzyka i brydż, i trochę planszетки. Po czym ja zorganizuję czytanie Szekspira: fragmenty ze sztuk; i żeby była mała rólka dla Pepina i też dla Daisy. Już mogę przewidzieć, że będziemy mieć na jesieni pełno zajęć. Ale wy wszyscy musicie być bardzo kochani i przychodzić tu do nas się bawić. To szaleństwo aby Pepino wychodził z domu po zachodzie słońca. A teraz chodźmy do naszej planszетки. Ależ ja gadam, Jursiu!

Juruś objaśnił technikę posługiwania się planszatką, jak ważne było niepopychanie jej, ale z drugiej strony niepowstrzymywanie

jej samoistnych ruchów. Gdy mówił, Lucia przeglądała zasady użytkowania planszетки, które przyniósł ze sobą.

- Może nam nic nie wyjść - powiedział. - Czasami Abfou był bardzo rozczarowujący. Możemy dalej rozmawiać, czasami lepiej jest nie zwracać uwagi na to, co robi.

- Rozumiem - odrzekła Lucia. - No to mówmy dalej, bardzo się spóźniłam Jurusiu, spodziewałam się ciebie już od pół godziny. Ach, mówiłeś, że może cię zatrzymać zebranie komitetu muzeum.

- Tak. Zdecydowaliśmy zamknąć muzeum na zimę - oznajmił. - Wstawi się tylko piecyk olejowy albo dwa, żeby było tam sucho. Chciałem (wiem, że chciała też pani Boucher) zapytać cię...

Urwał, bowiem planszетка zaczęła drgać w bardzo nietypowy sposób.

- Chyba coś się stanie - powiedział.

- Nie ! Ależ to interesujące! - rzekła Lucia. - Co mamy robić?

- Nic - odparł Juruś. - Niech robi, co chce. Skupmy się: to znaczy nie myślmymy o niczym.

Juruś oczywiście zauważył i w duszy przyklasnął wyniosłej powściągliwości Luci na temat popołudniowej katastrofy Daisy. Mimo to z dużą podejrzliwością odnosił się do jej chęci łidzowania i całkowicie się spodziewał, że jeśli „objawi się” Abfou, i zechce się porozumiewać nie tylko po arabsku, wyszydzi Daisy i jej golfa. Będą jadowite uwagi odpowiadające „snobowi” i impertynencjom na temat krótkiej fryzury Luci, a wtedy Juruś uzna, że Lucia popychała planszettekę. Może twierdzić, że nie, podobnie jak Daisy, ale gdyby Abfou wyraził się o golfie, będzie bardzo nieprzekonywająca. Miał nadzieję, że tak się nie stanie, ponieważ wcześniejsza trafność uwag Abfoua bardzo podważyła wiarę Jurusia w niego. Był gotów uwierzyć, że to podświadomość Daisy zainspirowała Abfoua (a przynajmniej starał się w to uwierzyć), lecz okazało się niemożliwe, aby całkowicie wykluczyć udział Daisy w owych ostrych krytycyzmach.

Planszетка ruszyła.

- Zapewne arabski - powiedział Juruś. - Nigdy nie wiesz na pewno. Oczyść swój umysł ze wszystkich myśli, Luciu.

Nie odpowiedziała i spojrzał na nią. Jej twarz przybrała ten rozmarzony wyraz, który kojarzył z graniem „Sonaty Księżycowej”. Potem zamknęła oczy.

Planszетка poruszała się spokojnie i jednostajnie. Gdy dojechała do brzegu kartki, wracała i zaczynała od nowa. Juruś był całkiem przekonany, że nic nie popychał, po prostu nie chciał, aby marnowała swą moc na obrusie. W pewnej chwili był przekonany, że wypisała „strzał”, ale nie mógł być pewny. A teraz chyba „komitet”? Ogarnęło go rozczarowanie: jaka szkoda, jeśli Abfou pisze tylko o klubie golfowym, który zapewne wypełnia podświadomość, jak i świadomość Luci... Nagle całkiem się przestraszył, ponieważ głowa Luci opadła w przód, a ona zaczęła oddychać dziwnie i szybko.

- Luciu - odezwał się ostro.

Lucia podniosła głowę i planszетка zatrzymała się.

- Rety, czuję się całkiem senna - przyznała. - Rozmawiajmy dalej, Jursiu. Lady Ambermere dziś rano, żałuj, że jej nie widziałeś.

- Planszетка pisała - przypomniał Juruś.

- Nie! - zdziwiła się Lucia. - Doprawdy? Możemy zobaczyć? Juruś podniósł urządzenie w górę. Wcale nie było arabskiego, ani nie było to pismo Abfouą które w dziwny sposób przypominało charakter pisma Daisy, gdy pisał szybko.

- „Vittoria - odczytał. - To ja, Yittoria”.

- Jursiu, co za głupota - rzekła Lucia. - A może to sama królowa?

- Zobaczmy, co ma do powiedzenia - dodał Juruś. - „To ja Wtoria. Przybywam do Riseholme. Dowodem jest pies i *uecchia*...”

- To po włosku - powiedziała z podnieceniem Lucia. - Widzisz, Vittoria jest Włoszką. *Vecchia* znaczy, zaraz niech pomyślę, ależ tak, znaczy „stara kobieta”. Pies i stara kobieta, która jest zła. Och, Jursiu, to ty zrobiłeś! Myślałeś o mopsie i o lady Ambermere.

- Klnę się, że nie - odparł Juruś. - Nawet mi nie przyszło do głowy. Zobaczmy, co jeszcze. „I Vittoria przybywa powiedzieć wam o ogniu i wodzie, ogniu i wodzie. Potężne żywioły, co palą i moczą. Ogień i woda i światło księżycy”.

- Och, Jursiu, co za brednie - wykrzyknęła Lucia. - Głupie jak Abfou. Co to znaczy? Księżyc! Zapewne powiesz, że to ja popychałam, myśląc o „Sonacie Księżycowej”.

Ta niegodna myśl zaświtała Jumsiowi, ale skąd tu ogień i woda? Nagle przyszła mu do głowy wstrząsająca interpretacja.

- To nadzwyczajne! Właśnie odbyliśmy zebranie komitetu muzeum i pani Boucher powiedziała, że tam się leje po ścianach.

Uzgodniliśmy, że się kupi parę piecyków olejowych, by było sucho. No, i masz ogień i wodę!

Juruś wspomniał był o tym fakcie, ale tak mimochodem, że zupełnie o tym zapomniał. Lucia mu nie przypominała.

- A to dziwne! - powiedziała. - Lecz obawiam się, że to tylko zbieg okoliczności.

- Wcale tak nie uważam - odparł Juruś. - Uważam, że to nader ciekawe, ponieważ ani trochę o tym nie myślałem. Co tam jeszcze pisze? „Vittoria zaleca wam żywić w sercach miłość i wierność. Vittoria cierpiała i prosi, abyście dawali dobroć cierpiącym”.

- Ciekawe! - rzekła Lucia. - Może to się odnosić do Pepina, nieprawdaż? Och, Juruś, oczywiście, że to było w naszych myślach, właśnie skończyliśmy o tym mówić. Nie mówię, że z rozmysłem popychałeś i nie wolno ci mówić, że to ja popychałam, ale z łatwością ten kawałek mógł pochodzić od nas.

- Uważam, że to bardzo dziwne - oświadczył Juruś. - Poza tym, co ci się stało, Luciu? Wyglądałaś na półprzytomną. Sądzę, że to właśnie było to, co instrukcja do planszетки nazywa stanem lekkiej hipnozy.

- Nie! - zaprzeczyła Lucia. - Lekka hipnoza, znaczy się półsen, prawda? Rzeczywiście czułam się senna.

- To stan transu - odrzekł Juruś. - Spróbujmy raz jeszcze. Lucia nie wydawała się chętna.

- Chyba nie, Juruś - powiedziała. - To takie dziwne. Nie jestem przekonana, czy mi się to podoba.

- Nie może ci zaszkodzić, jeśli podejdziesz do próby z odpowiednim nastawieniem - rzekł Juruś, cytując instrukcję.

- Nie dzisiejszego wieczoru, Juruś. Już nie. Może jutro. To naprawdę interesujące i naprawdę dziwne, i jakoś nie wydaje mi się, aby Vittoria miała nas skrzywdzić. Wydawała się dobra. Doprawdy, w jej przesłaniu jest coś szlachetnego.

- O wiele szlachetniejszego niż u Abfou. I objawiła się natychmiast, zaś Abfou wypisywał najpierw kilka stron gryzmołów! Nigdy nie byłem do końca przekonany, że Abfou pisał po arabsku.

Lucia uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Z tego, co mi mówiłeś, nie było na to wielu dowodów. Byliście jedynie pewni, że nie był to angielski.

Juruś zostawił planszетkę u Luci, na wypadek, gdyby zdecydowała się spróbować następnego dnia, i pospieszył z powrotem. Nie trzeba chyba mówić, że nie do siebie, ale do Daisy. Pomyślał, że Vittoria była warta dwóch Abfou'ów... to przesłanie o ogniu i wodzie, dobroci dla cierpiących i o dochowywaniu wierności. Przy tym czuł się z lekka winien, ponieważ niewątpliwie różnie bywało z wiernością Luci w konsekwencji jej zachowania w czasie lata.

Podsumował krótko wszystkie te nadzwyczajne zajścia (wyjąwszy wierność) i opisał je Daisy, która przyjęła postawę pełną pogardy i wyższości.

- Vittoria, też coś! - prychnęła. - I jeszcze *oecchia*. Cała Lucia, wtrącająca łatwe włoskie słówka, nieprawdaż? Na dodatek mops i zła stara kobieta. Własna gloryfikacja i tyle. Przecież to nawet nie podświadomość, miała tego całą głowę pełną.

- No a ogień i woda? - zapytał Jumś. - Naprawdę odnosi się do wilgoci w muzeum i piecyków olejowych.

Daisy wiedziała, że chwieje się jej piedestał kapłanki Abfoua Prawda, że ostatnimi czasy nie celebrowała misteriów, ponieważ Riseholme (i ona też) miało raczej dość Abfoua, lecz na myśl o tym, że Lucia chce ukraść (właśnie ukraść) jej wynalazek i opatentować go pod patronatem Vittorii jako coś zupełnie nowego, czuła w ustach żółć i piołun.

- Czysty przypadek - oświadczyła Daisy. - Napisałaby o baraninie i muzyce, a znalazłbyś jakąś interpretację. Naciągane bzdury!

Jumś czuł, że robi mu się gorąco. Przypomnił sobie, gdy Abfou napisał „umrzeć”, uznali, iż to dotyczy morwy i Daisy była przekonana, że ją uśmierciła amatorskim prześwieteniem korzeni, a więc w kwestii naciąganych bzdur miałby coś do powiedzenia. Poza tym morwa wcale nie umarła, więc Abfou pomylił się, jeśli o to mu chodziło. Zresztą, nie zamierzał się wdawać w dyskusje z Daisy, nie tylko dla świętego spokoju, lecz ponieważ doskonale umiał zgadnąć, co czuje.

- Ale nic nie napisała o baraninie i muzyce - zauważył - więc nie musimy o tym rozprawiać. Jeszcze było o świetle księżycy. Nie wiem, co to mogło oznaczać.

- Księżycowe brednie - powiedziała pogodnie Daisy.

- Napisała światło księżycy - rzekł Jumś. - Oczywiście, jest „Sonata Księżycowa”, która mogła zaprzętać myśli Luci, jednakże

to wszystko jest dziwne. Na dodatek uważam, że Lucia weszła w stan lekkiej hipnozy...

- Lekkiego tralala! - oznajmiła Daisy... (dlaczego jej nie przyszło do głowy wejście w stan lekkiej hipnozy, gdy abfou'owała? O tyleż bardziej widowiskowe!). - Wszyscy potrafimy zamykać oczy i spuszczać głowy.

- A ja uważam, że to była lekka hipnoza - odparł hardo Juruś. - Bardzo to był dziwny widok. Mam nadzieję, że zgodzi się zasiać raz jeszcze. Nie miała szczególnej ochoty.

Daisy miała głęboką nadzieję, że Lucia nie zgodzi się na następny seans, ponieważ czuła, jak abfouizm wymyka się jej z rąk. Tak czy owak zamierzała natychmiast ożywić Abfoua Vittoria nie może mieć wszystkiego po swojej myśli. Wstała.

- Zobaczymy, Jursiu, czy Abfou ma coś do powiedzenia na ten temat, dobrze? - oświadczyła. - Przecież to Abfou nam powiedział, żebyśmy zorganizowali muzeum, co się okazało całkiem niezłe. Był praktyczny. Dał nam pomysł, który do czegoś doprowadził.

Choć załątek myśli, iż to Daisy zaplanowała muzeum, a potem popychała planszетkę, pojawił się w głowie Jursia, jednak w jej słowach było dużo racji, gdyż Abfou naprawdę napisał „muzeum” (chyba że było to „myszom”), nie powstałoby muzeum, które okazało się tak dochodowe dla komitetu.

- Moglibyśmy spróbować - zgodził się.

Daisy natychmiast wydobyła planszетkę, na której żałośnie zalegał kurz. Ruszyła niemal od razu, jak tylko położyli na niej dłonie: Abfou zaczął się spieszyć. Na dodatek nie było to mądre ze strony Daisy, że zamknęła oczy i parskła, doprawdy było to lekkie tralala - zwykłe i nieprzekonujące plagiatowanie Luci. Nieufność Jursia wobec Daisy i Abfoua pogłębiła się niezmiernie. Ołówek pisał wściekle, kilkakrotnie zjeżdżając z kartki i sunąc po stole, zanim Juruś zdążył wsunąć pod spód papier: najwyraźniej Abfou był bardzo czymś poruszony i bez dopytywania się było wiadomo, cóż to takiego. Przez pewien czas Juruś odnosił wrażenie, iż planszетка pisze po arabsku, lecz wkrótce ołówek wyhamował i Jursiowi wydawało się, że pojawiło się trochę angielskiego. Wreszcie Abfou zrobił wielki gryzmoł, jak zwykle, gdy zakończył przekaz, i Daisy uniosła na Jursia półprzytomne oczy.



- Jest coś? - zapytała.

- Pisała pilnie - rzekł Juruś.

Przyjrzeni się pismu. Tak jak się spodziewał, tekst zaczął się od sporych ilości arabskiego, a potem (jak się spodziewał) przeszedł na całkiem czytelny angielski.

- „Strzeżcie się szarlatanów - czytał Juruś. - Strzeżcie się szarlatanów z południa. Nie wszystkie dusze są wierne i prawdziwe jak Abfou, który założył wasze muzeum. Fałszywi przewodnicy oszukują. Ostrzeżenie od Abfou”.

- No, jeśli to nie jest przekonujące, to nie wiem co jest - oznajmiła Daisy.

Juruś też uważał, że to przekonujące.

Zaczynała unosić się wrzawa bitewna. Tego samego wieczoru rozniosła się wieść, ponieważ pułkownikostwo Boucher zjadło kolację u Jurusia, że Lucia wraz z nim (Juruś nie oddał całego honoru Luci) otrzymali zadziwiające przesłanie od Vittorii o ogniu, wodzie, psie i złej starej kobiecie; przy czym zgodzono się, że Abfou zaczynał wyglądać żałośnie i był temperamentnym zazdrośnikiem. Dlaczego Abfou nie wykazał się czymś lepszym, niż ostrzeżeniem przed południową szarlatanerią?

- Mając na względzie - powiedziała pani Boucher - że Egipt jest na południu, to szarlatani mogą równie dobrze pochodzić z Egiptu, jak z Włoch. Ogień i woda! Bardzo dziwne. Jest tam ta woda teraz, i dużo jej, a ogień tam będzie jutro. Muszę znowu wydobyć swoją planszетkę, ponieważ ją schowałam. Miałam dość ciąglej arabskiej pisaniny, o ile to w ogóle był arabski. Twierdę, że to bardzo dziwne. Ani słowa o golfie od Vittorii. Uważam, że to nadzwyczaj istotne. Gdyby Lucia popychała, napisałaby o grze w golfa z Daisy. Abfou i Vittoria! Ciekawa jestem, które wygra.

To stwierdzenie dość dobrze podsumowywało sytuację, ponieważ w ogólnym odczuciu Abfou i Vittoria nie mogli oboje kierować sprawami Riseholme z zaświatów, chyba że działaliby razem, zaś uwagi Abfoua o południowym szarlatanie i fałszywych duchach raczej wykluczały możliwość koalicji. Cały ten czas Riseholme żywiło głębokie, aczkolwiek nigdy nie wypowiedziane słowem w żadnych okolicznościach, przekonanie, iż Abfou i Vittoria (prócz symbolizowania siebie samych) odpowiadali Daisy i Luci. A jakże doskonalsza, większa, bardziej utalentowana pod każdym wzglę-

dem była Vittoria-Lucia. Lucia wnet przewyciężyła swoją niechęć do lidzowania i odbierała od tej wzniosłej duszy przesłania, może niezbyt konkretne, lecz o wybitnym ładunku moralnym. Nigdy nie pojawiło się ani słowo o golfie, ani o Abfou czy obłąkańcze twierdzenia o niegodnych lub pośledniejszych albo niewiarygodnych duchach. Najwyraźniej Vittoria była ponad to wszystko (w rzeczywistości znajdowała się w jakiejś sferze odległej o wiele mil od Abfoua), natomiast kartki jego autorstwa (Daisy siadywała nad planszatkę co rano i otrzymywała pliki kartek zapisanych potoczystą angielszczyzną) plamiły denuncjacje mocy niskich i o ziemskim rodowodzie, były pełne ponurych ostrzeżeń dla tych, którzy im zawierzą.

Faktycznie, Riseholme nie pamiętało, aby kiedykolwiek działo się tam więcej podniecających rzeczy. Nawet przyjsie „Gazety Wieczornej” w czasach, gdy Hermiona każdego tygodnia rejestrował tak wiele zajęć pani Filipowej Lucas, nie wznicało tylu emocji, co pojawienie się następnego przesłania Vittorii czy Abfoua. Znowu Lucia była wszystkiego przyczyną - od miesiący nikogo nie obchodziły rewelacje Abfoua, póki Lucia nie została adresatką przesłań Vittorii. Lucia wkładała w planszatkę tyle samo pracy, jak we wszystko, czym była zainteresowana. Z drugiej strony, powszechnie uważano, iż Abfou (choć doprawdy zniżył się do rzucania inwektyw) czegoś dokonał. Abfou-Daisy wymyślili muzeum, natomiast Vittoria-Lucia, prócz wysoce moralnych sentymentów, nie wymyśliły niczego (sentymenty nie mogły się liczyć). Z pewnością znalazł się tam ten nadzwyczajny kawałek o mopsie i złej lady Ambermere, ale fakty te były już Luci znane, natomiast kawałek o ogniu, wodzie i księżycu, choć nowe piecyki już stały w wilgotnym muzeum, nie mógł się równać z wynalezieniem muzeum, księżyc zaś (chyba że się odnosił do Sonaty) był całkiem niejasny. Mimo tego drobnego zastrzeżenia - nieśmiało wysuniętego przez Jursia, który bardzo chciał, aby Vittoria w jakiś zaskakujący sposób dowiodła swoich racji - Lucia była wspaniała.

- Prawda, Jursiu, nie mogę ci powiedzieć, co to znaczy - stwierdziła. - Jestem zaledwie pokornym skrybą. Dla mnie to tajemnica. Jeśli o mnie chodzi, to mnie wystarczy bycie medium Vittorii. Uważam to za wielki zaszczyt. Być może któregoś dnia to się wyjaśni i zobaczymy.

Zobaczyli.

W międzyczasie, ponieważ nikt nie da rady żywić się wyłącznie przesłaniami z zaświatów, kultywowano inne zainteresowania. Organizowano partyjki brydża w domu Przy Zagajniku, było dużo muzyki, było czytanie „Hamleta” (Lucia dublowała kilka najważniejszych ról, a Daisy odmówiła czytania kwestii ducha). Utworzył się nowy komitet klubu golfowego i na pierwszym zebraniu Lucia oznajmiła swój zamiar ufundowania Pucharu Przewodniczącego oraz Pucharu Lucasów, sprezentowanego przez Pepina dla czwórek. W budynku klubowym zawieszono informację o rzeczonych pucharach i gdy przeczytała ją Daisy, jej twarz nabrała tak ponurego wyrazu, iż można się było spodziewać czegoś druzgocącego od Abfoua. Wkrótce potem poszła zagrać z pułkownikiem Boucherem, który powrócił z wystraszoną i zmartwioną twarzą. Daisy wpadła do bunkra z piaskiem i po prostu rozsiekła piłkę na strzępy... Rekonwalescencja Pepina postępowała zadowolająco, Lucia rządziła przy stole brydżowym, a piecyki olejowe dobrze spełniały zadanie w muzeum. Rzeczywiście radziły sobie z dużymi płatami wilgoci na ścianach.

Któraś wieczoru Daisy przypomniała sobie, że nie zobaczyła ich osobiście, więc zajrzała tam tuż przed kolacją. Chłopak już je wygasił, ponieważ paliły się tylko w ciągu dnia. Z pewnością się sprawdzały. Daisy stwierdziła, że nie będzie mogła wnieść przeciwko nim sprzeciwu na następnym zebraniu komitetu, choć miała takie nadzieje. Chcąc przyspieszyć proces suszenia, napelniła oba piecyki i podłożyła ogień, aby paliły się całą noc. Wylało się jej trochę parafiny, ale to niebawem wyparuje. Juruś wracał przez błonia ze swej wizyty u pani Boucher, więc poszli do domu razem.

Tego wieczoru Juruś zjadł kolację w domu. Popracował nad krzyżówką i ze zdumieniem zobaczył, jak jest późno. Przez dłuższy czas wertował mapę Ameryki Południowej w poszukiwaniu rzeki na siedem liter, która miałaby w środku litery P i T, i doszedł do wniosku, że na dany wieczór ma już dosyć.

- Paskudztwo - mruknął. - Gdybym to miał, jestem przekonany, że odgadłbym trzydzieści jeden poziomo.

Podszedł do okna i odsunął na bok roletę. Noc była księżycowa, wiał silny wiatr i po niebie sunęły pojedyncze chmury. Właś-

nie miał opuścić roletę, gdy zauważył czerwonawą lunę na niebie, tuż nad swoim cisowym żywoplotem, i zastanowił się, cóż to może być. Ciekawość połączyła się z faktem, że przyjemnie jest j zaczerpnąć świeżego powietrza przed snem, więc Juruś otworzył I drzwi frontowe i wyrzwał. Syknał z przerażenia.

Okna muzeum iluminował czerwony blask. Z jednego, zapewne rozbitego, wydobywały się kłęby dymu, a na tle dymu strzelały języki ognia. Juruś skoczył do telefonu i z ogromną przytomnością umysłu zadzwonił po straż pożarną do Blitton.

- Riseholme - wrzasnął. - Dom się pali: natychmiast przyślijcie wóz.

Wybiegł znów do ogrodu i spostrzegłszy, że w salonie sąsiadów jeszcze świeci się światło (Daisy odbierała nieco uwag od Abfoua), zastukał do okna.

- Muzeum się pali - krzyknął i popędził na przelaj przez błonia do pożaru.

Do tego czasu pożar zdążyli zauważyć inni i wybiegali ze swych domów. Przypominali małe, czarne mrówki na czerwonym obrusie. Ogień się bardzo rozprzestrzenił, zapadł się kawałek dachu i płomienie z hukiem uderzyły w niebo. Wewnątrz budynku nie było żadnych urządzeń służących do gaszenia pożaru, a nawet jeśliby były, nikt nie zdążyłby ich użyć na czas. Z gospody Pod Herbem Ambermere przyniesiono wąż, ale okazał się za krótki i nie można było zrobić nic, tylko czekać na przyjazd wozu strażackiego z Blitton. Na szczęście muzeum stało w pewnej odległości od pozostałych domów i wydawało się, że nie ma większego niebez- | pieczeństwa, iż ogień się nie rozniesie.

Niebawem dał się słyszeć sygnał nadjeżdżającej straży, ale już było wiadomo, że nie uda się niczego uratować. Zawaliła się pozostała część dachu, ściana zachwiała się i runęła. Zamontowano węże i strumień wody poszedł przez okna, raz w jednym kierunku, raz w drugim, tam, gdzie buzował największy ogień. Kłęby pary zmieszały się z dymem. Lecz wszelkie wysiłki ratowania czegokolwiek spełzły na niczym, jedyne, co pozostawało do zrobienia, w miarę jak ogień się dopalał, to zagaszać wodą żar... Gdy Juruś patrzył, nagle przypomniał sobie trzy słowa.

- Ogień, woda, światło księżyca.. - powtórzył przejętym głosem... Zwycięska Yittoria!

Komitet, oczywiście, zebrał się następnego dnia rano, ze specjalnym zaproszeniem dla Roberta, doradcy finansowego. Juruś przybył do domu pani Boucher, gdzie miało się odbyć zebranie, zanim przyszli Daisy z Robertem. Pani Boucher ledwo wykrztusiła słowa powitania, tak była podniecona.

- Mówię, że to nadzwyczajne - oznajmiła. - Pies i zła starucha wcale mnie nie przekonali, ale to bije na głowę wszystko. Ogień, woda, światło księżycy! Toż to prorocstwo. W przyszłości uwierzę we wszystko, co powie Vittoria. Natomiast co do Abfoua... cóż...

Urwała taktownie widząc Daisy i Roberta.

- Dzień dobry - powiedziała. - Dzień dobry panie Robercie. Prawdziwa katastrofa. Wszystkie szkice pana Jurusia i laski, mitenki i rozen. Nic zupełnie nie zostało.

Robert zdawał się zadziwiająco wesoły.

- Nie widzę, aby to była aż taka katastrofa - oświadczył. - Na szczęście udało mi się wykupić ubezpieczenia. Od firmy ubezpieczeniowej dostaniemy dwa tysiące funtów, z czego pięćset otrzyma pułkownik Boucher za stodołę... to znaczy budynek muzeum.

- Też coś - rzekła pani Boucher. - A reszta? Nigdy nie rozumiałam, na czym polegają ubezpieczenia. Dla mnie to zaklęta księga.

- Cóż, reszta należy do tych, którzy włożyli pieniądze w wyposażenie muzeum - odparł. - Oczywiście, proporcjonalnie do przekazanych sum pieniędzy. W sumie kapitału było czterysta pięćdziesiąt funtów, z tego pani, Daisy i Juruś włożyliście po pięćdziesiąt. Reszta, cóż, resztę dołożyłem ja.

Po cichu przeprowadzono błyskawiczne kalkulacje. Wydawało się to trochę przykre, że Robert otrzyma tak dużo, ale interesy jakoś najlepiej szły bogaczom. Ale Robert wcale się nie wstydził. Traktował sprawę jak rzecz najbardziej oczywistą.

- Te... skarby muzealne niemal wszystkie należały do członków komitetu - ciągnął. - Zostały podarowane muzeum, które należało do komitetu. Bardzo proste. Gdyby to była kolekcja obiektów wypożyczonych... cóż, nie dostrzegalibyśmy tylu jasnych stron naszego nieszczęścia. Ja zajmę się sprawami ubezpieczeniowymi w imieniu wszystkich i wypłacę wam miłe czeki. Nie wątpię, że firma zada kilka pytań dotyczących źródła ognia.

- A, oto tajemnica - rzekła pani Boucher. - Piecyki zawsze paliły się w dzień i gaszono je na noc, i ja nie mogę pojąć, jak wybuchł tam ogień w środku nocy. Wargi Daisy drgnęły, lecz zaraz opanowała się.

- Bardzo tajemnicza sprawa - oznajmiła i spojrzała od niechcienia przez okno, w kierunku jeszcze dymiących resztek muzeum.

Jednocześnie Juruś podskoczył i natychmiast zmienił temat, stuknąwszy w stół.

- O jednej rzeczy zapomnieliśmy. Nie wszystko było naszą własnością. Mitenki królowej Karoliny były tylko wypożyczone.

Miny członków komitetu nieco zrzędyły.

- Szyling albo dwa - rzuciła z nadzieją w głosie pani Boucher.

- Tylko się cieszę, że nie mieliśmy tam mopsa, dzięki Luci! Natychmiast wszystkim przyszły do głów słowa Vittorii o psie

i złej, starej kobiecie, i ogniu, wodzie i świetle księżyca. Najprędzej przyszły do głowy Daisy i zaległa cisza, która mogłaby się stać pesząca, gdyby potrwała dłużej.

Przerwało ją wejście pokojówki pani Boucher, która niosła list w dużej, kwadratowej kopercie i szerokim, żałobnym marginesem oraz gigantyczną mitrą szła checką na odwrocie.

- Zaadresowane do komitetu muzeum, psze pani - powiedziała Pani Boucher otworzyła kopertę i zrobiła się czerwona.

- No, nie traciła czasu - oświadczyła. - Lady Ambermere. Chyba lepiej to przeczytam.

- Prosimy - powiedzieli wszyscy zduszonymi głosami. Pani Boucher zaczęła czytać:

***Do pań i panów członków komitetu muzeum Riseholme: Jak słyszę, wasze malutkie muzeum razem z zawartością strawił całkowicie ogień. Dlatego też muszę państwu przypomnieć, iż znajdowały się tam wypożyczone przeze mnie mitenki nieżyjącej królowej Karoliny. Żadna suma pieniędzy nie może wynagrodzić straty jedynej w swym rodzaju pamiątki, jednakże z chęcią usłyszę, możliwie jak najszybciej, jaką proponuje mi się rekompensu tę. Mnie osobiście proponowano, aby rekompensata wynosiła pięćdziesiąt funtów. Dziękuję za pilnie wysłany czek.***

***Z poważaniem***

***Kornelia Ambermere***

Nastąpiła głucha cisza, przerwana przez panią Boucher, jak tylko ochłonęła z oburzenia i mogła mówić.

- Prędzej będę się sądzić i odwoływać, jeżeli werdykt by był niekorzystny, aż po samą Izbę Lordów, niż zapłacę pięćdziesiąt funtów za te śmiecie. Przecież cała zawartość muzeum razem wzięta... Cóż, dajmy temu spokój.

Suma, na jaką ubezpieczono muzeum przepłynęła wszystkim przez myśl i lepiej było zachować godność, dając temu spokój, niż wyobrażać sobie ewentualny koniec zdania wypowiedzianego przez panią Boucher.

Zebrani w całości się zgodzili, ale nikt, nawet Robert, nie wiedział, co dalej.

- Proponuję zaofiarować jej dziesięć funtów - powiedział wreszcie Juruś. - I uważam to za pokąźną sumę.

- Pięć - rzekła Daisy, zupełnie jak na odwróconej aukcji. Robert potarł wierzch głowy, co było u niego w zwyczaju, gdy był skonfundowany.

- Trudno powiedzieć, co robić - oznajmił. - Nie słyszałem, aby istniały tabele wyceny starych ubrań nieżyjących królowych.

- Dwa - rzuciła pani Boucher, kontynuując aukcję - I to-wygórowana cena. Ciekawa jestem, ile kosztowałby mops, jeśli wymaga się od nas pięćdziesięciu funtów za dwie stare mitenki. Po funcie, mówię, i to straszliwie dużo. A jeśli chcecie wiedzieć, kto osobiście proponował lady Ambermere pięćdziesiąt, to wam powiem, że ta osoba nazywała się Kornelia Ambermere.

Propozycja lady Ambermere rzuciła pewien cień na radosne posiedzenie komitetu, choć wzbudziła miłe uczucie wściekłości. Pięćdziesiąt funtów było niczym w porównaniu z wypłatą z ubezpieczenia, ale to, że ktoś usiłował coś na nich wymóc, spowodowało godne pochwały oburzenie. Rozeszli się, aby każdy we własnym zakresie pomyślał co robić i pogrzebał w popiołach muzeum, czując się jak bogacz. Oczywiście, była tam cała reszta Riseholme, również grzebiąca w zgliszczach; Świnka i Gąsia przeskakiwały dymiące sterty popiołu, była tam też pani Antrobus i proboszcz. Nie było tylko Luci, a Juruś, przekonawszy się, że nie został ani ślad po jego szkicach, zajrzał do domu Przy Zagajniku.

W saloniku muzycznym siedziała Lucia, czytając gazetę. Oczywiście, że słyszała o całkowitej destrukcji muzeum, tego śmiesznego wymysłu Daisy i Abfoua, lecz nie dała po sobie poznać nawet cienia radości.

- Mój drogi, przykro mi z powodu muzeum - powiedziała. - Wszystkie wasze śliczne rzeczy. Biedna Daisy, to przecież był jej pomysł.

Juruś wyjaśnił, że nie ma tego złego.

- Ale w tej całej sprawie wyjątkowo cudowna jest Vittoria. Ogień, woda, księżyc. Nigdy nie słyszałem czegoś równie nadzwyczajnego. Myślałem, że to tylko znaczyło wilgoć na ścianach i piecyki olejowe. Luciu, to było proroctwo, i pani Boucher też tak uważa.

Lucia nadal nie zdradzała żadnych oznak uciechy. Dziwne, ale i ona uważała, że to znaczyło wilgoć i piecyki, ponieważ dobrze pamiętała, o czym Juruś zapomniał, że jej to powiedział tuż przed objawieniem Vittorii. A teraz nastąpiło owo zdumiewające potwierdzenie słów Vittorii, o czym nawet się jej nie śniło. Natomiast Abfou - szkoda nawet poświęcić choć jeszcze jedną myśl biednemu, złośliwemu Abfou'owi. Westchnęła.

- Tak, Juruś, to było dziwne - przyznała. - Na naszym pierwszym wspólnym seansie, prawda? Wtedy, gdy zrobiłam się senna i czułam tak dziwnie. Naprawdę tajemnicza sprawa, wydaje mi się, że przekonująca. Ale czy jeszcze będę używać planszетки po tym wszystkim, nie wiem.

- Ależ musisz - powiedział Juruś. - Po tych wszystkich bzdurach... Lucia uniosła palec.

- No, Juruś, nie bądź niemiły - rzekła. - Powiedzmy sobie „biedna Daisy” i zakończmy na tym. To wszystko. Są jeszcze jakieś nowiny?

Juruś przekazał potworne żądanie lady Ambermere.

- A, jak mówi Robert, tak trudno ocenić, ile jej dać - podsumował.

Lucia zaśmiała się najradośniej.

- Juruś, co biedne Riseholme zrobiłoby beze mnie? Chyba jestem stworzona, aby was wszystkich wyciągać z kłopotów. Cały ten źle prowadzony klub golfowy i mops, a teraz to. Cóż, mam być dobra i pomóc wam raz jeszcze?

Przewróciła strony gazety.



- O, jest. Słuchaj, Jursiu. Aukcja zorganizowana przez dom aukcyjny Pembertona, wczoraj na Knightsbridge. Varia. Autograf tego mordercy, Crippena. Rety, jakie wstrętne rzeczy chodzą ludziom po głowie! Broszka z macicy perłowej, należąca do małżonki poety, pana Roberta Montgomery, para brzytew, będąca własnością Carlyle'a; jak widzisz, drobiazgi i fatalaszki... aha, tutaj. Para kamaszy do jazdy konnej, w dobrym stanie, będących własnością Jego Królewskiej Mości Jerzego IV. Wydawałoby się, że można się na tym oprzeć, wyceniając wartość mitenek królowej Karoliny, prawda? I jak uważasz, za ile je sprzedano? Niebotyczna suma, Jursiu, do pięćdziesięciu funtów nawet się nie umywa. Sprzedano je za dziesięć szylingów i sześć pensów.

- Nie! - rzekł Juruś. - A lady Ambermere chce pięćdziesiąt funtów!

Lucia zaśmiała się znowu.

- Cóż, Jursiu, chyba powinnam być dobra - powiedziała. - Napiszę krótki liścik w imieniu waszego komitetu do lady Ambermere. Ależ wy mnie poganiacie, zaharujecie mnie na śmierć! Patrzcie, za ledwie wczoraj mówiłam Pepinowi, że te miesiące spędzone w Londynie były jak wakacje w porównaniu z tym, co mam do zrobienia tutaj. Drogie, stare Riseholme! Na pewno cieszę się, że mogę wyciągnąć je z tych wszystkich dołków.

Juruś syknął z podziwu. Za ledwie miesiąc czy dwa temu całe Riseholme cieszyło się, gdy Abfou nazwał ją snobką, a teraz wszyscy znów (poza Daisy) udawali się do niej po pomoc i przewodnictwo we wszystkich zajęciach i pasjach, które Riseholme tak uwielbiało. Turnieje golfowe i turnieje brydżowe, duety i prawdziwe seansy spirytystyczne, i ocalenie od lady Ambermere, i ponad wszystko, jej własna podniecająca osobowość.

- Jesteś wyjątkowo cudowna - przyznał. - Doprawdy, nie wiem, co poczęlibyśmy bez ciebie.

Lucia wstała.

- Cóż, skrobnę dla was ten list, nadmieniając o cenie kamaszy Jerzego IV, w dobrym stanie. Co mamy... to znaczy, co wy zamierzacie jej zaproponować? Wydaje mi się, że powinniście być hojni, Jursiu, i nie powinniście z dokładnością obliczać różnicy między parą kamaszy w dobrym stanie, należących do króla, a tamtą parą zżartych przez mole mitenek, należących do królowej małżonki. Za-

oferujcie jej tyle samo, zresztą, uważam, że powinniście załączyć banknot dziesięcioszylingowy oraz sześć znaczków. Będzie to więcej niż hojne, to będzie szczodre.

Lucia zasiadła do biurka i po kilku minutach zastanowienia zapisała parę kartek papieru listowego równym pismem, które ani trochę nie przypominało pisma Vittorii. Przeczytała je z zadowoleniem.

- Wydaje mi się, że to powinno załatwić sprawę - orzekła. - Jeżeli *Vecchia* będzie sprawiać dalsze kłopoty, powiedzcie mi. Jeszcze jedno, Jursiu, a potem zabierzemy się za troszkę muzyki. Jak uważasz, skąd wziął się pożar?

Juruś czuł na sobie jej świdrujący wzrok. Nie zadała tego pytania mimochodem. On usiłował mimochodem odpowiedzieć.

- Nadzwyczaj tajemnicza sprawa - oświadczył. - Piecyki zawsze gasi się wczesnym wieczorem i zapala następnego dnia rano. Chłopiec mówi, że zgasił je jak zwykle.

Lucia nadal na niego patrzyła.

- Jursiu, jak uważasz, skąd wziął się pożar? - powtórzyła. Tym razem Juruś poczuł się niewyraźnie. Czyżby Lucia posiadała dar jasnowidzenia?

- Nie wiem - odparł. - Czyżbyś miała jakiś pomysł?

- Owszem - powiedziała Lucia. - I ty także. Zdradzę ci mój pomysł, jeśli chcesz. Widziałam naszą błędzącą Daisy, jak wychodziła z muzeum przed siódmą wczorajszego wieczoru.

- Ja też - wyszeptał Juruś.

- Cóż, piecyki olejowe musiały się nie palić od dłuższego czasu. Prawda?

- Tak - rzekł Juruś.

- No to w jaki sposób w oknach muzeum paliło się światło? Nie takie mocne światło, ale się paliło, widziałam. Co ty uważasz?

- Nie wiem - odparł Juruś. Lucia podniosła potępiający palec.

- Jursiu, jesteś dziś chyba mało inteligentny - oświadczyła. - Ja uważam, że nasza biedna Daisy znowu zapaliła piecyki i w swój niezdarny sposób wylała trochę parafiny. A przynajmniej coś w tym stylu. Obawiam się, że faktycznie to Daisy spaliła muzeum.

Zaległa straszna cisza.

- Co mamy zrobić? - zapytał Juruś. Lucia roześmiała się.

- Zrobić? Nic, poza tym, żeby nigdy nic o tym nie wiedzieć. Doskonale wiemy, że Daisy nie zrobiła tego z rozmysłem. Nie ma ani takiej odwagi, ani wyobraźni podpalacza. Jest tylko fajłapą i niezdara.

- A co z pieniędzmi za ubezpieczenie?

- Jak to, co? Pożar był wypadkiem, bez względu na to, czy Daisy się przyznała, czy nie. Biedna Daisy! Musimy być dla niej mili, Jurusiu. Jej golf, jej Abfou! Takie rozczarowania. Myślę, że poproszę ją, żeby partnerowała mi w rozgrywkach czwórek o puchar Lucasów. A jeżeli jest jeszcze jedno miejsce wolne w składzie komitetu klubu golfowego, możemy podać jej kandydaturę.

Lucia westchnęła i uśmiechnęła się w zadumie.

- Szkoda, że nie jest trochę mądrzejsza.

Przez pewien czas Lucia siedziała z zadumą na twarzy. Potem, ku ogromnemu zdumieniu Jirusia wybuchła kaskadami śmiechu.

- Moja droga, co się stało? - powiedział.

Lucia dłuższą chwilę nie mogła się opanować, ale wreszcie wciągnęła oddech, otrzeźwiała i otarła oczy.

- Jurusiu, naprawdę nie błyszczysz inteligencją dziś rano! -orzekła. - Nie widzisz? To przez niezdarność Daisy Vittoria zyskała reputację, a Abfou rozpadł się w proch. Ogień, woda, światło księżyca: prorocstwo Vittorii. Vittoria wszystko zawdzięcza biednej, drogiej Daisy!

Śmiech Jirusia rozśmieszył Lucię i tak ich zastał Pepino.

- Dzień dobry, Jurusiu - rzekł. - Strasznie mi przykro z powodu muzeum. Taka strata. Z czego się śmiejecie?

- Z niczego, *caro* - powiedziała Lucia.- Malutki dowcip Daisy. Nie warto go powtarzać, ale rozbawił Jirusia i mnie. Chodź, Jurusiu, przez pół godzinki poćwiczmy niebiańskiego Mozartina. Leniliśmy się ostatnio.